Rada Szkół Katolickich

O WYCHOWANIU I RODZINIE

Materiały edukacyjno-formacyjne
z XXVI Forum Szkół Katolickich
oraz z Konferencji Dyrektorów
z roku 2015

Warszawa 2016

Przygotowanie i korekta: Biuro Rady Szkół Katolickich
Skład, łamanie: Agnieszka Siekierżycka

Wydano staraniem Rady Szkół Katolickich
z udziałem środków Renovabis

Do użytku wewnętrznego szkół katolickich

Tekst dostępny w wersji elektronicznej
na stronie internetowej: www.rsk.edu.pl

ISBN 978-83-7864-373-9

Wydawnictwo AA
ul. Swoboda 4
30-332 Kraków
www.religijna.pl, klub@religijna.pl

Rada Szkół Katolickich
Skwer Kard. S. Wyszyńskiego 6
01-015 Warszawa
www.rsk.edu.pl, biuro@rsk.edu.pl

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie. 5

Wykłady, konferencje, homilie z XXVI Forum Szkół Katolickich,
(13-14. 11. 2015)

Abp Henryk Hoser,
Drugie zadanie rodziny – służba życiu 7

Prof. Stanisław Grygiel
Mistrz i uczeń są obecni dla siebie nawzajem. 23

Prof. dr hab. Katarzyna Olbrycht,
Co to znaczy wychowywać do wspólnoty. 41

Ludmiła Grygiel,
Duszpasterstwo jako wychowanie 63

Abp Wacław Depo,
Wychowywać do odczytania powołania 85

Ks. dr Tomasz Jaklewicz,
Neutralność światopoglądowa a wychowanie 91

Pytania do Ludmiły i Stanisława Grygielów,
prowadzi ks. dr Tomasz Jaklewicz 109

Abp Henryk Hoser,
Homilia wygłoszona 13 listopada 2015 r 131

Abp Wacław Depo,
Homilia wygłoszona 14 listopada 2015 r 140

Wykłady, konferencje, homilie z konferencji dyrektorów – 2015 r.

Bp Roman Pindel,
Kompetencje i wiara w życiu Nauczyciela Narodów, (13.04.2015) 145

Prof. dr hab. inż. Jan Duda,
Refleksja na temat roli szkoły w wychowaniu, (20.08.2015) 163

Ks. dr Marek Studenski,
Wychowywać w Kościele i dla Kościoła, (12.11.2015) 179

Ks. dr Marek Studenski,
Homilia (12.11.2015) 191

Wprowadzenie

„Rodzina… znajduje się u podstaw wszystkich ludzkich wspólnot, wszystkich społeczności i społeczeństw”[1], uczy św. Jan Paweł II.

„Nauczanie, a ogólniej wychowanie, jest wyrazem miłości Chrystusa i pierwszym z dzieł miłosierdzia duchowego, należących do zadań Kościoła”[2], uczy Benedykt XVI.

W duchu nauczania Kościoła o małżeństwie i rodzinie, godności człowieka, o wychowaniu i dojrzałości do „bycia darem” – Rada Szkół Katolickich organizowała dla nauczycieli i dyrektorów konferencje i fora, szczególnie XXVI Forum Szkół Katolickich, aby szkolnictwo katolickie „nie ulegało naciskom pewnego typu kultury, nawet jeśli jest ona rozpowszechniona i czasem agresywna. Należy raczej zabiegać o to, aby dzięki jak najpełniejszej formacji ewangelicznej chrześcijańskie rodziny potrafiły coraz bardziej przekonująco ukazywać, że możliwe jest przeżywanie małżeństwa w sposób całkowicie zgodny z zamysłem

[1] Jan Paweł II, Homilia podczas Mszy św. (Masłów, 3.06.1991). L’Osservatore Romano 12: 1991 nr 5, s. 31.

[2] Benedykt XVI, Przemówienie do uczestników sesji plenarnej Kongregacji ds. Wychowania Katolickiego, 21.01.2008, w: „Służyć wzrastaniu w prawdzie i miłości”, Kraków 2009, s. 345-346.

Bożym oraz z prawdziwymi potrzebami ludzi - samych małżonków, a nade wszystko dzieci, istot jeszcze bardziej wrażliwych”[3].

„Nauczanie Kościoła odbywa się dzisiaj w takiej sytuacji społecznej i kulturowej, która utrudnia jego zrozumienie” (*abp H. Hoser*).

Niech publikacja wykładów i konferencji wygłoszonych podczas XXVI Forum Szkół Katolickich oraz konferencji dyrektorów w roku 2015, pomoże nauczycielom i rodzicom w zrozumieniu nauczania Kościoła o godności człowieka, rodzinie i wychowaniu. Niech przekaz wychowawczy szkoły katolickiej będzie jasnym świadectwem dla dzieci i młodzieży.

[3] Jan Paweł II, Novo millennio ineunte, nr 47.

Ks. Abp. Henryk Hoser

Drugie zadanie rodziny – służba życiu

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,
Serdecznie witam tak znakomite grono nauczycieli i wychowawców.

Kilka uwag wstępnych dotyczących samego przedmiotu mojego wystąpienia; w jakich warunkach historycznych odbyły się te wszystkie wydarzenia, które prowadziły do zredagowania adhortacji apostolskiej „Familiaris Consortio", dokumentu nadzwyczajnego, jednego z najbardziej świetlnych dokumentów pontyfikatu Jana Pawła II – uzasadnię zaraz dlaczego.

Drodzy Państwo, to był rok '80, który był rokiem zwołania pierwszego Synodu poświęconego rodzinie, bo Jan Paweł II nie tylko miał świadomość wagi rodziny w życiu społecznym i Kościoła, i świata, ale również miał świadomość historycznej chwili, w której się znajdował. Po entuzjazmie i zupełnie nieprawdopodobnym optymizmie jaki towarzyszył Soborowi Watykańskiemu II, którego uczestnikiem był Jan Paweł II (i współautorem niektórych dokumentów, z pewnością również tego dokumentu „Gaudium et Spes", który mówi o rodzinie) – nastąpił kryzys posoborowy. Dość szybko nastąpił ten kryzys. Co prawda, Papież Benedykt

kiedyś napisał, że po wszystkich wielkich soborach w historii Kościoła również pojawiały się kryzysy – takie przesilenia, można by powiedzieć. Nie mniej, żeby zrozumieć myśl Jana Pawła II musimy sobie uświadomić, że ten kryzys rozpoczął się w zupełnie tajemniczym roku 1968 – roku przełomu, bardzo znacznego w kulturze, w cywilizacji i również w historii świata, który był naznaczony na Zachodzie rewolucją studencką (proweniencji amerykańsko-francuskiej wychodzącej z uniwersytetów tych krajów), tego pokolenia młodzieży-kwiatów tamtego okresu, za którymi stał szereg ówczesnych filozofów, którzy ich inspirowali.

Z drugiej strony, to był również rok, w którym błogosławiony Papież Paweł VI opublikował encyklikę „Humanae Vitae" w lipcu '68 roku. W Polsce był też przełom, wydarzenia tzw. marcowe, w których brałem udział… zważywszy na siwiznę na mojej głowie (wtedy jeszcze nie byłem siwy)… Otóż brałem udział w tzw. wydarzeniach marcowych w Warszawie, i był to zryw młodzieży zupełnie innej kategorii, trochę być może przypominający tą przemianę, która się teraz w Polsce dokonuje. Ta encyklika, w tamtym okresie, w tamtym roku, w tamtej atmosferze, w tamtym nastawieniu ideologicznym – ciągle aktywnego marksizmu – została odrzucona, prawdę mówiąc. I to nie tylko przez media, które już zawyrokowały jaka ona powinna być nim się ukazała, jakie powinna przynieść rozstrzygnięcia nim została opublikowana – ale również została odrzucona przez hierarchię kościelną. Bardzo wiele Konferencji Episkopatów, zwłaszcza właśnie Europy, wydawało oświadczenia pełne zastrzeżeń, rezerwy, relatywizmu swoistego w stosunku do nauczania Pawła VI, który jednak podjął heroiczną decyzję, wbrew większości komisji, którą powołał do opracowania tego właśnie tematu, który znajduje się w „Humanae Vitae". Zakładam, że wszyscy tu obecni tę encyklikę profetyczną – jak ją już później nazywał Jan Paweł II – przeczytali.

Jan Paweł II był współuczestnikiem, współautorem tej encykliki, która właśnie rozpoczęła kryzys posoborowy, polegający na systematycznej kontestacji nauczania pontyfikalnego. Na to się złożył francuski gallikanizm, na to się złożył kompleks antyrzymski, tj. wyrażenie Ursa von Balhtasara w stosunku do Kościoła niemieckiego. Ów antyrzymski kompleks do dziś jest bardzo żywy i dobrze się miewający.

W tych warunkach, ponieważ Kościół stracił te pewne odniesienia, również doktrynalne, proszę zauważyć co się stało – to była zupełna katastrofa życia zakonnego i kapłańskiego. Zakonnicy, zakonnice, kapłani masowo porzucali swoje powołanie. Masowo – w tysiącach, w tysiącach… Był to krwotok Kościoła, który powodował jego niesłychane osłabienie i przyspieszył w sposób spektakularny laicyzację, która nastąpiła w Europie, i tę powszechną apostazję, której jesteśmy świadkami. Widzimy tam Kościoły opuszczone, które po prostu zanikają, i które nie mają następców. Ta garstka ludzi, którzy praktykują jeszcze np. w Belgii, ona nie ma następców. Będą i są już zupełnie bardzo małe wspólnoty chrześcijańskie, które przeżyją. No i ewentualnie imigranci, jeżeli będą wśród nich chrześcijanie, bo Belgia – jak inne kraje – ulega postępującej islamizacji.

Obawiam się, to już w nawiasie mówię, że los Europy jest przesądzony tak, jak został przesądzony los północnej Afryki, która była obszarem bardzo dynamicznego, żywego Kościoła Rzymskiego.

Jan Paweł II gdy rozpoczął swój pontyfikat w ’78 roku, natychmiast zajął się rodziną. Byłem świadkiem zjazdu Equipes Notre-Dame i organizacji francuskiej C.L.E.R. w ’79 roku na jesieni, kiedy Ojciec Święty po raz pierwszy sformułował prawo, które jest zawarte w adhortacji, które się nazywa prawem stopniowalności. Mówię o nim, bo do tego prawa się odnoszono na ostatnim Synodzie, w którym brałem udział. Otóż Ojciec Święty nie tylko zwrócił uwagę na rodzinę i jej się poświęcił zaczynając

ten długi czteroletni okres swoich katechez, które złożyły się później na jego korpus nauki o ludzkiej miłości, o zadaniach rodziny, i zwołał Synod – pierwszy Synod poświęcony rodzinie, którego dojrzałym, wspaniałym dziełem jest „Familiaris Consortio". Uprzedzając powiem, że jakościowo ten dokument jest o niebo lepszy niż to, co zredagowaliśmy na ostatnim Synodzie – trzecim już – poświęconym rodzinie.

Pontyfikat, długi pontyfikat Jana Pawła II zatrzymał kryzys posoborowy i dał nowe życie Kościołowi. Pojawiły się, już wcześniej kiełkujące nowe wspólnoty i ruchy, które specyficznie – wszystkie prawdę mówiąc – zajmowały się dwiema rzeczami, między innymi. Przede wszystkim wielkim powrotem do modlitwy, również modlitwy wspólnotowej, modlitwy charyzmatycznej, uwielbienia Pana, itd. To jest stały motyw wszystkich nowych wspólnot, które wyrosły po tej strasznej posusze życia duchowego. I drugi element: wszystkie te nowe wspólnoty i ruchy zajmują się rodziną. Myśmy to zauważyli też na ostatnim Synodzie. Ojciec Święty wzmocnił ten ruch i jednocześnie dał nam do ręki *Instrumentum Laboris* – tak to można powiedzieć – dojrzały podręcznik, nie tylko doktryny dotyczącej sakramentu małżeństwa, miłości ludzkiej, ale również podręcznik duszpasterstwa rodzin, który ja, gdzie byłem od tamtych lat 80-tych – w Rwandzie – tam aplikowałem właśnie jako podręcznik duszpasterstwa rodzin. Z tego zresztą wyrósł pewien model, który teraz przeszczepiłem do mojej diecezji.

Drodzy Państwo, ten dokument pewne rzeczy porządkuje i ukazuje. W jego strukturze – jest to zresztą tekst bardzo „gęsty", można by powiedzieć – są tam również pewne wskazania, które są ponadczasowe. To nieprawda, jak to mówiono na obrzeżach obecnego Synodu, że nauczanie Jana Pawła II jest już nieaktualne, przebrzmiałe, że ono odnosi się do sytuacji sprzed 30 lat, 35 lat, a więc jest już nieobowiązujące. Nawet

była taka tendencja, bardzo silna na tym zwyczajnym Synodzie II, po nadzwyczajnym – żeby nauczanie Pawła VI, Jana Pawła II i Benedykta XVI wziąć w nawias. Była taka sugestia, której tylko należy poświęcić uwagę: Sobór Watykański II i Papież Franciszek. A więc przeskoczyć tamten okres pontyfikatów posoborowych, które były dziełem wybitnych Papieży, z których już dwóch jest wyniesionych na ołtarze.

„Familiaris Consortio" zdefiniowało cztery zadania rodziny, słyszeliśmy przed chwilą, które są bardzo ważną również kategorią wychowawczą, ponieważ zwłaszcza gdy wychowujemy dzieci i młodzież, musi to być wychowanie zadaniowe. Takiego modelu, jaki mamy w harcerstwie, gdzie nie tylko uczymy i staramy się umeblować głowy tych młodych ludzi, ale jednocześnie uczymy ich osiągania pewnych sprawności. Sprawność w języku teologicznym jest niczym innym jak cnota, a więc zdobywanie sprawności w życiu harcerskim jest metodą wychowawczą i dlatego Ojciec Święty chyba też te zadania postawił przed nami, jako coś do wykonania, co prowadzi nas do pełnej dojrzałości i do tych celów, na które nakierowane są zadania rodziny. One są też hierarchicznie ustawione, mianowicie pierwszym jest „formowanie wspólnoty osób". Jest to ogromny zakres ludzko-boskiej rzeczywistości bo ta wspólnota osób się tworzy w odbiciu – że tak powiem – wspólnoty trynitarnej, a więc faktu, że człowiek został stworzony nie w izolacji, ale w relacjach. Proszę zauważyć, że to było już intuicją genialnego Michała Anioła, kiedy na suficie Kaplicy Sykstyńskiej ukazał stworzenie człowieka. My często pokazujemy ten moment jako spotkanie dwóch palców: Adama i Boga. Ale przecież tam jest wpisana elipsa życia. Reprodukcja tego fresku Michała Anioła znajduje się w naszej sali konferencyjnej Diecezjalnego Wydziału Formacji Rodzin, bo Bóg przyciska do siebie pod swym lewym ramieniem, tu od strony serca, piękną kobietę. To jest Ewa. Gdy stwarza Adama, On już w ramionach trzyma Ewę – kobietę, która jest

ostatnim słowem Stworzyciela. Na stworzeniu kobiety dzieło stworzenia, to pierwotne, się zakończyło. Co więcej, jest taka familiarność, można by powiedzieć, między Bogiem a kobietą bo ona się tam czuje bardzo dobrze i z zainteresowaniem spogląda na to co Pan Bóg robi: stwarza człowieka, który jest inny od niej. Ona – proszę też zauważyć na tej reprodukcji – trzyma Pana Boga za lewe przedramię a Pan Bóg ją przyciska do serca. Jednocześnie ta ręka, której się „uczepiła" Ewa, wskazuje palcem na dziecko.

Jak pytam ludzi, co tam jest wokół Pana Boga Stworzyciela, no to mi mówią: aniołkowie. Owszem, tam są aniołkowie – bobaski barokowe, ale wśród tych aniołków jest wyraźnie jeden większy, którego Pan Bóg wskazuje palcem, to jest dziecko. To jest stworzenie rodziny, to jest stworzenie człowieka w relacjach, a nie w samotności. Właśnie to doświadczenie pierwotnej samotności, wskazuje to, że człowiek nie jest do samotności stworzony. Tylko jest stworzony w relacjach. Te relacje właśnie w sposób fundamentalny znajdują się w rodzinie i one się w nich realizują. Dlatego rodzina jest w ogóle modelem życia – jest stworzona w tym samym czasie co człowiek, a zatem taka stara jak ludzkość. Dlatego też największym dobrem ludzkości jest właśnie rodzina. Rodzina – bo każdy się urodził w jakiejś rodzinie, każdy chciałby żyć w szczęśliwej rodzinie, i zapewne każdy chciałby umrzeć w szczęśliwej rodzinie. To jest bardzo podstawowa tęsknota człowieka. Otóż ta rodzina jest jednocześnie generatorem Miłości Bożej w świecie, tej miłości stwórczej, i stąd właśnie Bóg człowieka, rodzinę, małżeństwo powołał do tego dzieła przekazywania życia ludzkiego na obraz i podobieństwo Boże, a więc nie do reprodukcji tylko do prokreacji. To słowo trzeba też sobie zakonotować, że to nie jest to samo co zwierzęca reprodukcja. To jest czyn człowieka – bo to człowiek dokonuje tej prokreacji również, we współpracy z Bogiem – ale jest jednocześnie czyn ludzki a nie zwierzęcy. Ludzki, więc mający cechy podmiotu, który jest sam

obrazem Boga w tym świecie. Dojrzałe rodzicielstwo musi zakładać fakt, że jest to świadoma współpraca z Bogiem – Stworzycielem, który właśnie temu dziecku daje tchnienie nieśmiertelności. Ja bardzo lubię antropologię biblijną, której wyznawcą był też Jan Paweł II, i on o tym pisze, że jest duch, dusza i ciało. To stanowi tę całość ludzką, która określa jego specyfikę.

Wspólnota osób to jest pierwsze zadanie, a drugim zadaniem jest „służba życiu" – szeroko pojęta. My mamy być współpracownikami Miłości Boga Stworzyciela. Jakie cechy ma ta współpraca właśnie w drugim zadaniu, a więc przekazywania życia ludzkiego? Ona ma być wolna, a więc podejmowana z całą świadomością i dobrowolnie w odniesieniu do Boga, w odniesieniu do człowieka. Ma w związku z tym być odpowiedzialna.

To jest właściwie początek refleksji, którą można dłużej rozwijać, na temat odpowiedzialnego rodzicielstwa, co ono oznacza, jakie są jego wymiary i granice. To jest wolna, odpowiedzialna współpraca w przekazywaniu życia ludzkiego – przekazywaniu z pokolenia na pokolenie, ale również przekazywaniu w tym akcie stwórczym Boga, bo bez Niego człowiek nie ma tchnienia nieśmiertelności. Ci, którzy tak lekko podchodzą do faktu poczęcia człowieka zapominają, że nawet ta zygota ludzka, która w ten sposób się poczyna – ona już ma tchnienie nieśmiertelności, bo tam całe jej życie jest zakodowane. Jakie będzie zdziwienie tych, którzy po śmierci zobaczą, że te dzieci, które zostały odrzucone, zostały zabite przedwcześnie, przed urodzeniem jeszcze – one żyją, one istnieją. Matka Boża powiedziała bodajże Marcie Robin, że one są zawarte „w sercu Maryi", w niebie, tam one żyją w sercu Maryi. A więc to jest współodpowiedzialność, współpraca w przekazaniu życia ludzkiego. Podstawowym zadaniem rodziny jest w związku z tym służba życiu, szeroko pojęta.

Ojciec Święty mówi o płodności. Gdy szukam tego tematu w literaturze i wyszukiwarkach muszę powiedzieć, że to jest temat bardzo

mało poruszany. Co to jest płodność, co to jest płodność ludzka, jaka jest wartość płodności… Żyjemy w czasach, gdy płodność jest, globalnie rzecz biorąc, odrzucana, nie waloryzowana, zdewaluowana. To jest dramat współczesnej ludzkości, a przecież płodność jest owocem i znakiem miłości małżeńskiej – żywym świadectwem pełnego, wzajemnego oddania się małżonków, o czym już nie pamiętamy.

Pisze też Jan Paweł II: „Płodność miłości małżeńskiej nie zacieśnia się wszakże tylko do fizycznego rodzenia dzieci, choćby nawet była pojmowana w specyficznie ludzkim wymiarze: poszerza się i ubogaca wszelkimi owocami życia moralnego, duchowego i nadprzyrodzonego, jakie ojciec i matka z racji swego powołania winni przekazać w darze dzieciom, a poprzez dzieci, Kościołowi i światu." Tu już są zawarte inne zadania rodziny. Dlatego, że z tej wspólnoty miłości rodzicielskiej rodzi się nowy człowiek, i dlatego wyrażam się w ten sposób, że miłość małżeńska jest „miłością matrycową" dla dziecka. Dziecko wzrasta w cieple miłości małżeńskiej ojca do matki, i matki do ojca. To jest dla niego fundament życia. Jeżeli ono tego nie widzi – a dziecko jest doskonałym obserwatorem – nie potrafi zwerbalizować wielu swoich przeżyć, ale doskonale czuje atmosferę życia rodzinnego. Gdy widzi, że ta relacja jest ścisła, że ta relacja jest stała, jest wierna – wtedy nabiera zaufania do życia, wtedy zaczyna wzrastać na tej relacji. Natomiast gdy ta relacja się rozpadnie to jest katastrofa dożywotnia tego człowieka, bo nosi w sobie głębokie zranienie, którego nic nie jest w stanie załagodzić bez jakichkolwiek śladów. Ten ślad zawsze w człowieku zostaje. Gdy kardynał Erdő mówił w bardzo dobrym przemówieniu na początku tej sesji Synodu, to wskazał na to, że właśnie rozwody są przyczyną tego, że młodzi nie wierzą już w możliwość wiernej, dozgonnej miłości małżeńskiej, i dlatego nie chcą zawierać małżeństw sformalizowanych. Dlatego

próbują kohabitacji, bo uważają, że to jest czas przejściowy i związany przede wszystkim z życiem uczuciowym, a nie postawą wolitywną, że kryzys nie jest wyzwaniem – żeby go przezwyciężyć, tylko jest okazją, żeby się rozstać. Taka jest rzeczywistość.

Zatem to, czego Kościół naucza jest zawarte w jego ponadczasowym nauczaniu i nie będziemy tego nauczania zmieniać, bo ono jest ciągle aktualne. Nauczanie Kościoła odbywa się i dzisiaj w takiej sytuacji społecznej i kulturowej, która utrudnia jego zrozumienie. Zarazem sprawia, że jest ono bardziej pilne i niezastąpione w rozwijaniu prawdziwego dobra mężczyzny i kobiety.

Dziś nie jest zrozumiane stwierdzenie „Familiaris Consortio", że dziecko jest największym darem dla rodziców. Dziecko jest dzisiaj postrzegane jako obciążenie, jako ciężar, jako przeszkoda w realizacji jakichś – zresztą często hedonistycznych, egoistycznych czy wręcz narcystycznych – celów. Zatem, żeby to odkryć, trzeba w tę rzeczywistość wejść według planu Bożego i Bożego zamiaru. Wówczas człowiek odkrywa szczęściodajne działanie wiernej, ludzkiej, pełnej miłości małżeńskiej.

Mówiłem o dewaloryzacji płodności, o której mówi – opisując to drugie zadanie – Ojciec Święty Jan Paweł II. On mówi też o zniekształceniu, wręcz zatraceniu prawdziwego znaczenia płciowości ludzkiej. Proszę sobie uświadomić raz i na zawsze, że te dwie wartości: płodność i płciowość – płciowość i płodność, są ze sobą nierozerwalnie związane. Już anatomicznie – ja przez 6 lat uczyłem studentów anatomii człowieka, i zapewniam Państwa, że wszystkie narządy rozrodcze służą zawsze temu podwójnemu celowi: i płciowości i płodności. Nie ma rozróżnienia między układem rozrodczym dla płciowości i dla płodności, nie ma. A więc już mądrość ciała, cała struktura ciała i jego celowość wskazuje na jedność płodności wynikającej z płciowości ludzkiej. Cała fizjologia płciowości

jest nasterowana, nakierowana właśnie na zapłodnienie, na nic innego. Wszystkie przeżycia orgazmiczne właśnie temu też służą i o tym też nie wolno zapominać.

Co się dzisiaj dzieje z płciowością? Ona straciła cały swój wymiar znaczeniowy i symboliczny, bo znowu – Jan Paweł II mówi za Pawłem VI o znaczeniu płciowości i płodności jako swego rodzaju znaku i właściwie sensie, że one są tak zespolone ze sobą i nie wolno ich rozdzielać, bo wtedy tracą i znaczenie i sens; człowiek traci poczucie tego kim jest i sens tego, czemu służy płodność i płciowość ludzka. A więc dzisiaj płciowość już nie jest w zasadzie uważana za komunikowanie miłości drugiego człowieka, za akt oddania się drugiemu człowiekowi. Nie oznacza postawy, że miłość prawdziwa polega na tym, że ja żyję dla kogoś a nie dla siebie. Jest to instrumentalne traktowanie tzw. partnera seksualnego i sprowadzanie – zredukowanie płciowości ludzkiej do działalności rekreacyjnej, można by powiedzieć, higienicznie zabezpieczonej.

O tym pisze dużo znany Panu Profesorowi tu siedzącemu Stanisławowi Grygielowi, Tony Anatrella. On o tym bardzo dużo napisał, i bardzo polecam jego książki. Jest on psychoanalitykiem, bardzo przenikliwym właśnie w zakresie swojej specjalności. Otóż płciowość w dzisiejszym zrozumieniu, to jest tego typu działalność, która w języku polskim nazywana bywa „uprawianiem seksu". Tak jak się mówi, że uprawiam jakąś dyscyplinę sportową czy też uprawiam jakieś hobby, już nie mówiąc o uprawach ogrodniczo-rolniczych, ale właśnie w takim zakresie ludzkiej działalności. Banalizacja seksu jest rzeczywiście katastrofą również antropologiczną, ponieważ doprowadziła do radykalnego rozdzielenia płciowości i płodności. Jest zatem uprawianie seksu bez płodności i również zapłodnienie bez płciowości – zapłodnienie pozaustrojowe,

weterynaryjne jak mówimy w naszym zamkniętym kręgu. A więc tutaj mamy ten dramat, który już tutaj jest zasygnalizowany.

Pisze Jan Paweł II, cytując oczywiście Pawła VI, że: nauka Kościoła „ma swoją podstawę w ustanowionym przez Boga nierozerwalnym związku (…) między oznaczaniem jedności i oznaczaniem rodzicielstwa". W końcu przypomniał, że należy odrzucić – jako wewnętrznie nieuczciwe – „wszelkie działanie, które – bądź to w przewidywaniu zbliżenia małżonków, bądź podczas jego spełniania, czy w rozwoju jego naturalnych skutków – miałoby za cel uniemożliwienie poczęcia lub stanowiło środek prowadzący do tego celu".

Tu chciałbym wyjaśnić coś, czego większość ludzi nie rozumie. Kościół mówi, że małżeństwo ma być otwarte na życie. Mówią: no dobrze, nie będziemy stosować antykoncepcji, ale gdy stosujemy metodę rozpoznawania płodności, praktykujemy wstrzemięźliwość okresową, no przecież też skutek jest ten sam, że możemy odłożyć poczęcie dziecka, czy nawet z niego zrezygnować gdy takie okoliczności się jawią. Otóż w związku z tym na czym polega otwarcie na życie, skoro my już nie poczynamy nowego życia i raczej unikamy współżycia w okresie płodnym, który zresztą nie jest długi – około tygodnia w miesiącu. Otóż jest to po prostu postawa właśnie szacunku dla tej płodności potencjalnej, która w nas jest.

Ojciec Święty Paweł VI przypomniał w „Humanae Vitae" i o tym też trzeba pamiętać, że organizm ludzki, jego funkcje, jego procesy fizjologiczne są częścią osoby ludzkiej, a więc amputacja tych funkcji jest również redukcją osoby ludzkiej. Redukcja płodności w ten sposób pojętej – jako redukcja tej płodności potencjalnej, prowadzi również do osłabienia w ogóle płodności ludzkiej, jak to przed chwilą cytowałem, że odnosi się ona, poszerza, ubogaca wszelkimi owocami życia moralnego, duchowego, nadprzyrodzonego jakie ojciec i matka z racji swego

powołania winni przekazać w darze dzieciom, poprzez dzieci. Dzięki ich otwarciu na życie i dzięki temu, że oni nie wyzbywają się tego dobra, wyposażenia osoby ludzkiej właśnie w płodność, i nie dopuszczają do takich sytuacji redukcji osoby ludzkiej poprzez amputację płodności.

Tutaj warto też sobie uświadomić, że dopiero wejście w takie życie, zdolność do powstrzymania się od aktu seksualnego jest, zwłaszcza dla kobiety, większym dowodem miłości męża niż żądanie takiego aktu. Co więcej, antykoncepcja czy sterylizacja powoduje bardzo poważną ingerencję w relację między mężem i żoną, ponieważ relacja aktu małżeńskiego polega na tym, że człowiek daje się cały, ze swoją strukturą, funkcją – nie tylko biologiczną ale i duchową, a relacja antykoncepcyjna jest zawsze warunkowa: jest akceptacją drugiej osoby pod warunkiem, że ona jest niepłodna. To też działa na podświadomość, i w naszym kręgu specjalistów mówi się właśnie o roli schizoidalnej roli antykoncepcji, która osłabia relacje mężczyzny i kobiety przez takie działanie amputacyjne. „Le rôle de la contraception dans la dissolution du couple" – tak to było pierwotnie sformułowane, ja cię akceptuję, jeżeli będziesz pozbawiona swojej płodności.

Otóż Kościół jest nauczycielem i matką dla małżonków znajdujących się w trudnościach. To też jest temat tego drugiego zadania.

Rodzicielstwo ludzkie – biologiczne też – jest niesłychanie wartościową częścią służby życiu, bo musimy to życie przekazać w sposób optymalnie ważny. Ja już nie będę wchodził w inne szczegóły fizjologiczne, które są pasjonujące w tym temacie… Przejdę do kolejnego problemu, a mianowicie do pedagogii, o której mówi Jan Paweł II.

Jan Paweł II mówi, że trzeba wychowywać ludzi do normy moralnej, a dzisiejsza mentalność odrzuca wszelkie normy. Są dzieła na ten temat napisane, że dzisiejszy świat nie jest normatywny, dzisiejszy świat

– skrajnego subiektywizmu, gdzie każdy ma rację, każdy ma swój przepis na życie. Odrzucenie wszelakich norm, powoduje nie tylko ogromny zamęt antropologiczny w dzisiejszym świecie ale jest przyczyną – i to proszę zapamiętać, bo to nas bezpośrednio dotyczy jako wychowawców – jest przyczyną smutku i depresji młodzieży. Właśnie młodzież, która ma wszystkie możliwości przed sobą pootwierane, jednocześnie nie ma kryteriów wyborów. Taka sytuacja powoduje depresję, smutek i coraz częstsze próby samobójcze, bo wytwarza życie bez sensu, bez celu, bez środków, bez zadań – a więc wszystko wolno. Odrzucono wszelki autorytet, właśnie w ’68 roku – po wcześniejszej, ogłoszonej w dziewiętnastym wieku „śmierci Boga” – nastąpiła śmierć wszelkiego autorytetu.

Dzisiaj młodzież nie ma się przeciw czemu i komu buntować, i to jest też ich tragedia. Młodzież lubi się buntować, dlatego, że w takim zwarciu buntu uczy się czegoś. Ona widzi, że można atakować, bo ta skała właściwie jest niepokonalna, ale trzeba ją zdobywać jak ci, którzy wchodzą po skałach na górę. W związku z tym brak autorytetu jest niesłychanie deprecjonujący i depresyjny dla dzisiejszego społeczeństwa. Porządek moralny, zasady moralne – o tym mówi Jan Paweł II, o tym prawdę mówiąc nie bardzo chciał rozmawiać Synod ostatni.

Tam były pewne braki metodologiczne, o tym mogę powiedzieć, bo Synod był jawny i Ojciec Święty nas upoważnił, żeby o wszystkim mówić. A więc np. słowo „grzech” się bardzo rzadko pojawiało, prawie wcale, a już w ogóle nie mówiono o cudzołóstwie. Co więcej, te zdania, które Jezus wypowiedział na temat powtórnych związków małżeńskich – i to jest u wszystkich Synoptyków: u Mateusza, u Marka, u Łukasza, o tym mówi święty Paweł w Liście do Koryntian – to w ogóle nie było cytowane. W ogóle nie ma, w odnośnikach nawet, do dokumentów, tych słów Jezusa Chrystusa. One są zupełnie kluczowe nie dlatego, żeby potępiać

znowu w sposób obsesyjny tych, którzy znaleźli się w takiej sytuacji, ale żeby uświadomić ludziom, że akt rozbicia małżeństwa jest niesłychanie poważny w swoich konsekwencjach – niesłychanie poważny! Tego nie można brać lekko bo to jest przymierze. Przymierze musi być tak trwałe jak przymierze Jezusa z Kościołem, i musi być dożywotnie. Niestety tej świadomości nie ma. Odrzucenie pojęcia grzechu powoduje, że ludzie są „niepokalanie poczęci"; „najwyżej są ofiarami zła jakiegoś, które z zewnątrz przychodzi, ale oni są niewinni. Świat ich takich uczynił i nie ma osobistej winy", co jest zresztą zapisane w definicji grzechu. W końcu jesteśmy też – ludzie – źródłem zła, i to często potwornego.

A zatem, jako wychowawcy jesteśmy również „skazani" na dobrą pedagogię. „Pedagogia ta, jak zauważył Synod [ten pierwszy synod z '80 roku], obejmuje całe życie małżeńskie. Stąd: zadanie przekazywania życia winno być włączone w ogólne posłannictwa «całego życia chrześcijańskiego», które bez krzyża nie może osiągnąć zmartwychwstania." O tym też się nie mówiło na Synodzie ostatnim. „W tym kontekście rozumie się, że z życia rodzinnego nie da się usunąć ofiary, co więcej, trzeba ją przyjmować sercem tak, aby doznała pogłębienia miłość małżeńska i stała się źródłem wewnętrznej radości." I tu pisze dalej też, bardzo ważne zdanie: „Wszyscy będą mogli pomagać małżonkom". I to jest znowu zwrot w kierunku nas, wychowawców: pomagać małżonkom „na drodze ich ludzkiego i duchowego rozwoju, który zakłada świadomość grzechu, szczerą wolę zachowania prawa moralnego i posługę pojednania. (…) Wymaga to niemało cierpliwości, uczucia i czasu. Szczególnie ważna na tym polu jest jedność osądów moralnych i duszpasterskich kapłanów" (najpierw, ale później wszystkich instancji wychowawczych). Ja twierdzę, że nie wychowamy dojrzałego, odpowiedzialnego społeczeństwa, jeżeli nie będziemy mówić jednym głosem,

wszyscy wychowawcy, a więc: rodzina, szkoła i parafia. W tym trójkącie widzieliśmy ogromne osiągnięcia szkolnictwa przedwojennego, bo ta jedność istniała. I w ciągu dwudziestu lat udało się z trzech zaborów na nowo scalić jeden naród polski, który w czasie drugiej wojny światowej ani na chwilę nie zdradzał swoich korzeni i swoich celów.

I właśnie wychowanie… Wychowanie – ogromny temat. „Rodzina jest pierwszą szkołą cnót społecznych, potrzebnych wszelkim społecznościom". Gdy tej szkoły nie ma, społeczeństwo staje się niewychowane, i tego jesteśmy świadkami. Prawo-obowiązek rodziców do wychowywania jest czymś *istotnym* (…); jest on *pierwotny i mający pierwszeństwo* w stosunku do zadań wychowawczych innych osób, z racji wyjątkowości stosunku miłości łączącej rodziców i dzieci; *wyklucza zastępstwo i jest niezbywalny"*. Owszem, wyklucza zastępstwo, ale nie wyklucza subsydiarności, a więc my wszyscy jesteśmy powołani do tego, żeby pomagać rodzicom w ich dziele wychowania, i żeby to dzieło kontynuować wraz z nimi, właśnie nastawione na istotne wartości życia ludzkiego.

Gdy miałem okazję dać dzisiaj wywiad do Radia Jasna Góra zapytano mnie o sytuację, gdy wychowankami są ludzie innych religii, którzy trafiają np. do szkoły katolickiej. Na podstawie doświadczeń w Indiach i w Afryce Północnej mogę z całą pewnością odpowiedzieć, że polega to na tym, że uczy się ludzi wartości ogólnoludzkich, które stanowią ludzką naturę. I to jest podstawa wychowania właśnie w zakresie uniwersalnym, międzynarodowym. Przecież nie na darmo Kościół nazywa się katolicki, czyli powszechny, bo uczy ludzi człowieczeństwa. W zasadzie dzieło wychowania sprowadza się do tego by uczyć ludzi człowieczeństwa. Tego uczyła Syna Bożego Najświętsza Maryja Panna i święty Józef. Nie miał doświadczenia bycia człowiekiem. To Oni Go nauczyli, bo „wzrastał w latach i mądrości" – tej ludzkiej mądrości. Przez 30 lat

patrzył na miłość Maryi i Józefa, na ich obowiązki rodzicielskie, na ich czystą miłość i nauczył się człowieczeństwa, a tylko przez 3 lata pełnił swoją posługę, swoją zbawczą misję publiczną.

A więc wychowanie do miłości pojętej jako dar z siebie. Drodzy Państwo, nie miłość hedonistyczna, narcystyczna, egoistyczna, ale dar osobowy jest najwyższą formą darów. My przeceniamy dary materialne. Jak ktoś przyszedł do mnie i mówi: „no ja nie mogłem przyjść wcześniej, bo nie miałem nic do ofiarowania", mówię: „no przecież ty jesteś największym darem, że mnie odwiedzasz". Dary osobowe mają większą wartość niż dary rzeczowe i tak należy to widzieć, zwłaszcza w małżeństwie, że dar drugiej osoby jest tak ważny. Ona ma być – to powtarzam z kolei w homiliach – ma być darem, a nie ciężarem. I to jest też taka sztuka bycia małżonkiem: być darem a nie ciężarem. Jeżeli trzeba już jakieś ekstremalne porównanie… do kalek – to nie mamy być garbem, tylko szczudłami, jeśli trzeba, w stosunku do drugiego człowieka.

Takie jest też ważne zadanie. Wszystkich odsyłam do tego drugiego rozdziału o drugim zadaniu rodziny – o wychowaniu seksualnym. O tym już nie będę mówił, a to jest w tej chwili bardzo gorący temat. Chodzi o to, że wychowanie seksualne nie może być oderwane od wartości. Musi być nakierowane na wartość człowieka i jest służebne w stosunku do tych wartości. Wtedy dopiero nabiera blasku. „Dlatego Kościół stanowczo sprzeciwia się pewnej często rozpowszechnionej formie informowania o życiu seksualnym w oderwaniu od zasad moralnych, które nie jest niczym innym, jak wprowadzeniem do doświadczenia przyjemności i bodźcem, skłaniającym – już w latach niewinności – do utraty pogody ducha otwierając drogę do zepsucia". My tej drogi otwierać nie będziemy, co daj Boże. Amen

Prof. Stanisław Grygiel

Mistrz i uczeń są obecni dla siebie nawzajem

Wychowawca, którego stosunku do ucznia nie ożywia pytanie, „kim jest człowiek?", będzie prowadził go nie do rzeczywistości, do której obydwaj należą, lecz będzie mu pomagał tylko zdobywać umiejętności przystosowywania się do chwilowych emocji i mód albo do aktualnych wytycznych polityków i ekonomistów. Wychowanie dokonuje się w pragnieniu prawdy i we wspólnym szukaniu jej przez mistrza i ucznia. Idą oni razem tą samą drogą, mimo że każdy z nich idzie nią w sposób tylko dla siebie przeznaczony. Pragnienie prawdy i pytanie o nią ukierunkowują ich myślenie oraz działanie. Wprowadzają w ich życie ład.

Mistrz i uczeń tworzą całość, w której trudno powiedzieć, kto kogo lepiej wychowuje. Wychowawca, który uważa, że „ma" więcej wiedzy o życiu aniżeli uczeń, daje mu nie siebie, lecz posiadane przez siebie przedmioty, a więc demoralizuje go, a jeszcze bardziej demoralizuje siebie. On nie tyle wychowuje ile raczej stara się odnosić sukcesy w tresowaniu jednostek, tak żeby one zachowywały się według wskazań uznanych przez niego za obowiązujące. Cisną się na usta słowa Pascala: „Silmy się tedy dobrze myśleć: oto zasada moralna"[1]. Dobrze myśli

[1] B. Pascal, „Myśli", 264.

o człowieku ten, kto żyje pytaniem o niego i kieruje to pytanie tylko do Tego, który wie, „co w człowieku się kryje" (J 2, 25). Troskę o źródłową prawdę osoby ludzkiej zaszczepiał w swoich uczniach św. Jan Paweł II.

Jeżeli wychowanie wydarza się pomiędzy mistrzem i uczniem, to jest ono niemożliwe w społeczeństwie samotnych jednostek, w którym nikt nie odsłania się nikomu, bo nikomu na nikim nie zależy. W takim społeczeństwie nie mówi się o prawdzie, bo prawda objawia się człowiekowi w drugim człowieku, którego on czyni się bliźnim (por. Łk 10, 30-37). W samotności ludzie żyją własnymi opiniami o sobie. Ich skuteczność sprawdzają eksperymentami dokonywanymi na innych i na sobie. W takim społeczeństwie wszystko, łącznie z człowiekiem, jest *ad experimentum*. Do eksperymentów zostają sprowadzone fundamentalne wydarzenia życia, jakimi są przyjaźń, małżeństwo, rodzina, a nawet Kościół. W świecie eksperymentów „miłość i odpowiedzialność" (Karol Wojtyła) nie stanowią całości, wskutek czego miłość staje się nieodpowiedzialna, a odpowiedzialność przeradza się w strach przed władzą. W świecie samotnych jednostek nie ma miejsca dla odpowiedzialności, ponieważ ludzie samotni przed nikim nie odpowiadają za swoje czyny. Człowiek ponosi odpowiedzialność przed tą osobą, dla której jest obecny i która jest obecna dla niego. Odpowiedzialność łączy się z dialogiem darów. W samotności miłość będąca dialogiem darów ustępuje miejsca pożyczaniu się ludzi sobie nawzajem na jakiś czas, nawet na jedną noc. Prawa jednostki, o jakich się krzyczy, nie są prawami do bycia osobą, której imieniem jest miłość, lecz prawami do zyskownego pożyczania siebie innym oraz do pożyczania innych dla zaspokojenia własnych potrzeb, tak jak się pożycza na przykład młotka i gwoździ albo przypraw kuchennych. Samotne jednostki, nie znając obowiązków, walczą o zdobycie prawa do zdrady przyjaciela, żony, męża, do odebrania życia bezbronnemu człowiekowi w łonie matki albo na łóżku szpitalnym. Zdobyczne prawa mnożą się w nieskończoność,

w której nieodpowiedzialne, bo do niczego niewychowane (czytaj: nieukierunkowane) jednostki dopatrują się postępu. Nazwałbym go postępem swawoli.

Nowożytnego człowieka wychowuje rajski wąż, siejący w nim wątpliwości, czy aby rzeczy mają się tak, jak mówią znaki „na ziemi i na niebie". Rajski wąż piętnuje mianem zacofanych fundamentalistów tych, którzy z greckim mędrcem mówią, że żyją po to, „aby patrzeć w niebo". Ci, którzy boją się tego piętna, poddają się temu wężowi, który robi z nich małpy, a z małp robi ludzi. Wąż ten obiecuje stworzenie „nowego wspaniałego świata", wielu jednak nie zdaje sobie sprawy z tego, że „nowy świat" w gruncie rzeczy nie będzie różnił się od cyrku.

Miłość i praca łączą mistrza i ucznia we wspólnotę. Początkiem miłości i pracy, w których ludzie tworzą wspólnotę, jest akt stwarzania świata i człowieka. W świetle pierwszych słów, które Bóg kieruje do człowieka stwarzanego mężczyzną i kobietą, wzywając ich do miłości i do pracy urzeczywistniających się w ich wspaniałomyślnym jednoczeniu się w „jedno ciało" (por. Rdz 1,28; 2,24), należy spojrzeć na wszystkie wspólnoty, jakie łączą ludzi w jedno. W osobie kobiety objawia się mężczyźnie prawda jego osoby, a prawda jej osoby objawia się w osobie mężczyzny. Św. Jan Paweł II przez cały okres swojej biskupiej i Piotrowej posługi wpatrywał się w miłość i w pracę małżonków, tak jak one są na Początku, czyli w Synu, w którym Bóg powołuje wszystko do istnienia. Słowami zrodzonymi w ich miłości i pracy wskazywał na Miłość, jaką jest Bóg. Wychowywał innych szukając z nimi Początku, tak jak szuka się zgubionej rzeczy. Musiały mu być bliskie słowa Norwida:

„Tak i o pracy powiem, że – z g u b y s z u k a n i e m,
Do której pieśń – ustawnym się nawoływaniem."[2]

[2] C. K. Norwid, „Promethidion – Bogumił", w: „Pisma wszystkie", III, Warszawa 1971, 439.

Św. Jan Paweł II wychowywał innych i równocześnie był przez nich wychowywany wzajemnym „ustawnym nawoływaniem" się do nawracania się do Początku, do szukania drogi do niego. Początku szukał do końca życia. W ostatnich godzinach życia szukał go z tymi, którzy klęczeli nie tylko pod oknami jego mieszkania na Placu św. Piotra, ale także na innych miejscach na świecie. Ten, kto szuka Początku, wie, skąd przychodzi i dokąd zmierza. Człowiek, który wie, co „zgubił", wie też, czego ma szukać i czego ma się spodziewać. Jest człowiekiem wychowanym, który wie, jak ma postępować. Ten, kto wie, jak ma postępować, staje się punktem odniesienia dla tych, z którymi dano mu dzielić ludzki los. Staje się ich mistrzem i zarazem uczniem.

Do Początku ukierunkowuje człowieka niepokój serca[3]. Rozum kalkulujący (*ratio*) nie wie nic o „zgubie". On jedynie tworzy ciągle nowe opinie na temat szukanego szczęścia i układa je w równania, które opisują funkcjonowanie świata, społeczeństwa i stanowiących je jednostek. „Zguby" wykalkulowane przez rozum oświecony li tylko przez siebie funkcjonują w społeczeństwie jednostek jak „legion" demonów obiecujących szczęście, które psując się, psuje także człowieka.

Wychowawca, który nie pyta „sercem" o Początek, lecz podaje do wierzenia wykalkulowaną ideologię uzasadniającą, że szczęście wiąże się z posiadaniem takiego, a nie innego przedmiotu, prowadzi ludzi donikąd. Nie uczy ich myśleć egzystencjalnie o sobie samych, ponieważ nie pozwala im żyć w moralnym doświadczeniu własnego człowieczeństwa ukierunkowanego do Początku. Zamiast uczyć ich słuchać wezwania do miłości i do pracy, i odpowiadać na nie, uczy ich, jak walczyć o lepsze „kęsy" przy ognisku.

W świecie oderwanym od Początku mówienie o godności osoby ludzkiej staje się bezprzedmiotowe. W świecie oderwanym od Początku, a więc i od Końca, człowiek nie jest bezcenną godnością. Ma tylko

[3] Por. św. Augustyn, „Wyznania", I, 1.

cenę, wskutek czego jego wychowanie sprowadza się do umiejętności podbijania jej tak, aby zyskowniej sprzedawał się na jarmarkach próżności. W świecie bez Początku i bez Końca ilość „kęsów" zdobytych przy ognisku spełnia rolę miarę dla wyceny człowieka.

Uczenie, jak przepychać się do wygodniejszych miejsc i lepszych „kęsów" w dantejskim „ciemnym lesie" opinii i eksperymentów[4], robi z człowieka schizofrenika, który prywatnie, w swoim domu, będzie zachowuje się tak, jakby żył w pamięci Początku, ale kiedy wychodzi na rynek, gdzie panoszy się „legion" ideologicznych początków, przestaje wpatrywać się w niebo, gdzie wszystko ma swój Początek, a zaczyna wpatrywać się w ziemię i w niej znajduje dla siebie początek i koniec. A przecież na rynku widać więcej nieba aniżeli w domowym zaciszu. „Schizofrenik" może i jest „grzecznym" obywatelem, nigdy jednak nie będzie „dobrym obywatelem", ponieważ, służąc dwom panom, nie jest dobrym człowiekiem. Dobry człowiek tworzy z tą samą miłością dobro wspólne społeczeństwa, z jaką dba o dobro swojej rodziny. Nie oddziela rodziny od społeczeństwa. Jeżeli uprawia politykę, uprawia ją „na obraz i podobieństwo" swojej troski o piękne dobro swojej rodziny. W przeciwieństwie do funkcjonariuszy polityki nie interesuje się pierwszymi miejscami i oklaskami. Nie chce należeć do tych, o których Chrystus mówi: „Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom pokazać. […] Lubią zaszczytne miejsca na ucztach i pierwsze miejsca w synagogach. Chcą, by ich pozdrawiano na rynkach…" (Mt 23, 5-7). Wystarczy mu radość, jaką promienieje jego rodzina.

W akcie stwarzania człowieka mężczyzną i kobietą zaczyna się wychowywanie ludzi do miłości oraz do pracy nawzajem dla siebie. Ich miłość i praca ukierunkowane są do Miłości i do Pracy samego Boga.

[4] Dante Alighieri, „Boska komedia. Piekło", I, 1-3.

Swoją miłością i swoją pracą człowiek uczestniczy w tym, co wydarza się na Początku, kiedy Bóg stwarza go na Swój „obraz i podobieństwo". Dlatego wychowawca, który nie „patrzy w niebo", nie wychowuje ucznia do życia na sposób Boski. Wychowuje go tylko do życia na sposób nieludzko swawolny, bo nieokreślony przez Początek prawdy i dobra.

W doświadczeniu daru miłości i pracy, z jakim mamy do czynienia w małżeńskim doświadczeniu „jednego ciała", opisanym w trzech pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju, które nazwałbym Pieśnią Rodzaju, oraz w Prologu do ewangelii św. Jana narodziła się antropologia adekwatna św. Jana Pawła II. Z jej pomocą święty Papież szukał drogi do Źródła miłości i pracy łączących człowieka z człowiekiem we wspólnotę osób. Z jej pomocą wychowywał swoich uczniów. Ucząc ich pochylać się w pokłonie przed sobą i przed drugim człowiekiem, przygotowywał ich do uklęknięcia przed Źródłem, z którego tryska „woda żywa" (J 4, 10); przygotowywał ich do małżeństwa. Przygotowywał ich do niego, prowadząc każdego z nich do tego ołtarza, przy którym człowiek zawiera małżeństwo z Bogiem. Ucząc człowieka dawać i otrzymywać kubek wody w głębokim pokłonie przed drugą osobą, wychowywał go do uklęknięcia przed Źródłem, z którego tryska „woda żywa" (J 4, 10), a którą można pić tylko na klęczkach.

Małżeństwo z Bogiem uwalnia człowieka od świata, który dzisiaj nakazuje mu zapomnieć o różnicy seksualnej i tym samym go zniekształca. Ludzie niewychowani do wpatrywania się w piękno osoby ludzkiej jawiące się w przestrzeni różnicy seksualnej nie wiedzą, czym jest miłość i jej wezwanie, bo nie dostrzegają, Kim jest Miłość, która jawi się w przepastnej różnicy ontologicznej łączącej stworzenie ze swoim Stwórcą. Wychowanie do życia w przestrzeni różnicy seksualnej łączącej mężczyznę i kobietę w „jedno ciało" jest wychowaniem do życia w przestrzeni różnicy ontologicznej łączącej Stwórcę i Jego stworzenie we wspólnotę

tajemniczej jedności. Mężczyzna i kobieta, kiedy wyznają sobie: „Ja jestem tobą, a ty jesteś mną", przekraczają siebie w stronę Boga i w ten sposób stają się tym, kim są w Jego zamyśle. W ich wyznaniu sobie miłości urzeczywistnia się istota tego, co nazywamy wychowaniem osób.

W przestrzeni różnicy seksualnej człowiek uczy się przyjmować dar innej osoby i zarazem być darem dla niej. Otrzymawszy siebie w darze na Początku, uczy się teraz czytać znak, jakim jest sam dla siebie, a jest znakiem Miłości będącej nie tylko jego Początkiem, ale także jego Końcem. W ten sposób czyta wydarzający się w nim dar prawdy własnej tożsamości. Aby być sobą, to znaczy otrzymanym darem, człowiek powinien oddawać siebie innym. Tylko ten, kto oddaje siebie innym, jest dla nich mistrzem. Mistrz wychowuje ucznia do bycia darem dla innych, oddając mu siebie w tym, czego go uczy. Mistrz wychowuje ucznia, objawiając mu siebie. Jeżeli nie ma nic do objawienia, nie będzie darem dla ucznia. Dając uczniowi siebie, wychodzi z nim z platońskiej jaskini samotnych niewolników opinii i zaczyna z nim nowe, wspólne życie, którego istotą jest wolność do bycia darem. Wolność można jedynie rozpalać w tych, do których jest się posłanym. Na kilka miesięcy przed pierwszą pielgrzymką do Polski w 1979 r. usłyszałem od Jana Pawła II nie tyle słowa ile raczej westchnienie: „Jak wykrzesać w ludziach tę iskrę, od której rozpaliłby się ogień Bożej miłości i boskiej wolności?"

Doświadczenie mówi, że iskrę tę krzeszą w dziecku przede wszystkim ojciec i matka. Oni są pierwszymi wychowawcami dziecka powierzonego im w chwili jego poczęcia, a które od tej chwili jest także ich wychowawcą wzywającym ich do zmiany życia. Rodzice są wychowawcami dziecka i przez nie są wychowywani w tej mierze, w jakiej miłość i praca łączy ich z dzieckiem i przemienia w organizm duchowej wspólnoty. Kobieta jest jednak przewodnikiem mężczyzny. Ona wyprowadza

go ze samotności. Dante nazywa Beatrice „słodką i drogą przewodniczką" – „dolce guida e cara"[5]. Warto zamyślić się nad wspaniałymi słowami, skierowanymi przez Tyrteja do Eginei w dramacie Norwida:

„Tobie powiadam… że nic bez ciebie!

N i c!… Nawet i sam delficki wyrok o mnie nie ma pełności swojej bez kobiety.

Co mówię ci, wielkie jest – słuchaj!"[6]

***

Nie przypadkiem św. Jan Paweł II poświęcił pierwsze katechezy rozmyślaniom o źródłowej prawdzie ludzkiej miłości, a pierwsze encykliki Słowu, w którym Bóg stwarza człowieka (*Redemptor hominis*, 1979), Bożemu miłosierdziu, które w tym Słowie go zbawia (*Dives in misericordia*, 1980), i pracy ludzkiej, która oddaje sprawiedliwość Miłości będącej Początkiem wszystkiego (*Laborem exercens,* 1981). Człowiek nierzadko odchodzi od siebie i udaje się „w dalekie strony", gdzie, zamiast być darem, wynajmuje się do pasienia wieprzy (por. Łk 15, 13-15). Wstydliwie przykrywa tam swoją znieważoną godność ozdobnymi funkcjami i robi wszystko, żeby zapomnieć o niebie. Próbuje żyć tylko ziemią. Św. Jan Paweł II przychodzi do niego z adekwatną antropologią, aby uczyć go patrzeć w niebo.

Funkcjonariusze władzy żerują na ludziach niewychowanych do bycia darem i zapatrzonych w ziemię. Funkcjonariusze nienawidzą daru, bo dar, inaczej aniżeli pożyczka, zobowiązuje tego, kto go przyjmuje, a funkcjonariusze nie lubią ludzi zobowiązanych przez prawa inne od tych, których oni są autorami. Pierwotne zobowiązania osoby ludzkiej wydarzają się w przestrzeni różnicy seksualnej, łączącej mężczyznę i kobietę w „jedno ciało". Nic dziwnego, że władcy oskarżają Kościół o seksualną obsesję, kiedy on

[5] Dante Alighieri, Boska Komedia. Raj", XXIII, 34.

[6] C. K. Norwid, *Tyrtej, III*, w: *Pisma wszystkie*, t. IV, PIW 1971, s. 496 i 501.

broni prawa człowieka do bycia darem w pierwszej przestrzeni swojego życia osobowego a więc i społecznego, czyli w pięknej przestrzeni pierwotnej miłości. Ojcostwo i macierzyństwo zawsze stoją na przeszkodzie władzy despotów, bo oni nie umieją rządzić społeczeństwem obywateli dobrych przez miłość, którzy dlatego muszą czasem być „niegrzeczni".

***

Archetypem wychowawcy jest dla nas Mojżesz proroczo wskazujący na jedynego Nauczyciela, którym jest Chrystus. Mojżesz wyprowadza Żydów z niewoli egipskiego dobrobytu, w którym oni ugrzęźli do tego stopnia, że zapomnieli o swoim Początku. Zapomnieli, kim byli i kim są. Znaleźli się na wygnaniu z ojczyzny rozpościerającej się w ich wnętrzu i utracili godność tak, że zadenuncjowali przed faraonem Mojżesza, kiedy ten zabił znieważającego ich Egipcjanina, ale także zganił ich za to, że znieważają siebie kłótniami. Obrońca musiał uciekać przed tymi, których bronił.

Pasąc owce na stokach góry Horeb, Mojżesz szukał w sobie odpowiedzi na pytanie, na czym polega godność utracona przez Żydów w Egipcie. Mistyczne doświadczenie krzewu gorejącego, w którym dostrzegł człowieka płonącego prawdą dającą mu Boską tożsamość, wskazało mu kierunek szukania „utraconej zguby". Zbliżając się do tego krzewu, usłyszał wewnątrz siebie wezwanie: „Zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą" (Wj 3,5).

Święty jest człowiek, którego „jestem" płonie sakralnym „JESTEM, KTÓRY JESTEM" niewidzialnego Boga. Sakralny ogień, którym płonie człowiek, nie ma ceny. Jest tak bezcenny, że nawet wtedy, kiedy Boże „JESTEM" już tylko się tli w nim, daje człowiekowi godność, za którą można zapłacić jedynie życiem. Wystarczy mała iskra, żeby ludzki krzew znowu zapłonął i objawił się w boskiej okazałości i chwale: „Jestem! Jestem, choć sam z siebie być nie mogę!"

To właśnie „JESTEM" posyła Mojżesza do Żydów z misją wyprowadzenia ich z jaskini posiadania rzeczy mających cenę i opinii uzasadniających to posiadanie, oraz u wezwaniem do wędrowania z nim do Ziemi utraconej, lecz ciągle obiecanej i czekającej na nich w ich wnętrzu. „JESTEM" uczyniło Mojżesza wychowawcą narodu, czyli kimś posłanym do niego, aby mu pokazał innym życiem, jak trzeba żyć, aby „jestem" nie skurczyło się do „mam". Żyjąc według logiki swojego „jestem obecny dla ciebie", Mojżesz dał świadectwo prawdzie przynoszącej wolność ludziom żyjącym w nędzy zniewolenia przez samotność.

Korzenie naszej tożsamości, a więc i wychowania do niej, tkwią w Jerozolimie i w Grecji. Jerozolima przypomina nam, że „jestem" nauczyciela musi płonąć Boskim „JESTEM", jeżeli ma prowadzić ucznia do źródła prawdy bijącego na Początku, w akcie stworzenia. Grecja podkreśla służebny charakter wychowawcy, którego język grecki nazwał *paidagogos*. Słowo utworzono z rzeczownika *pais, paidos*, dziecko, oraz z czasownika *agein*, prowadzić. Nazywano nim niewolnika odprowdzającego dziecko do szkoły. Rzymianie natomiast słowem *educator* (pochodzi od czasownika *educo, -ere, eduxi*, wyprowadzać) podkreślali w wychowaniu moment wyprowadzania człowieka ze stanu zniewolenia do stanu wolnego. Warto przypomnieć, że o wychowaniu opisanym w Księdze Wyjścia mówi także Platon w „Państwie", w micie o jaskini, z której człowiek sprawiedliwy, przyjaciel prawdy i mądrości (*filo-sofos*), wyprowadza ludzi zniewolonych przez mniemania i opinie, i prowadzi ich drogą miłości tego, co piękne, do wiecznego Piękna prawdy i dobra. Można żywić nadzieję, że każdemu dana jest chwila, w której dostrzega on to wieczne Piękno, a w jego świetle pozostałym w pamięci widzi, jak mówi Diotyma Sokratesowi, sens i wartość życia. Mistrz musi być sprawiedliwym człowiekiem. W przeciwnym przypadku nie będzie filo-zofem dającym świadectwo prawdzie.

Wychowawca niech nie czeka na nagrody i zaszczyty. Niewolnicy zawsze prześladowali, prześladują i będą prześladowali tych, którzy są posłani do nich z wieścią o trudnym darze wolności. Niewolnicy nie lubią pracować, a miłość wzywa właśnie do pracy. Platon mówi, że Sprawiedliwy będzie wyśmiewany, a czasem nawet zabity, przez tych, których wyzwala. Mojżesz skarży się Bogu, że lud, któremu wymowny kapłan Aaron, jego brat, „wodze popuścił […] na pośmiewisko wobec nieprzyjaciół" (Wj 32, 25), chce go ukamieniować (por. Wj 17, 4). Jedyny Sprawiedliwy skarży się w Improperiach z Liturgii Wielkiego Piątku:

Popule meus, quid feci tibi?
Aut in quo contristavi te?
Quia eduxi te de terra Aegypti:
parasti Crucem Salvatori tuo.

Jednostki zniewolone przez śnione opinie nie lubią osób budzących ich do życia w rzeczywistości, która stawia opór i za którą trzeba ponosić odpowiedzialność. „Czy śpiącego można przebudzić gr z e c z n i e?…" – pyta Norwid – „Podobno, że nie: gdyby albowiem budziło się go upadkiem na twarz najlżejszego listka róży, jeszcze byłoby to tylko bardzo wykwintnie albo poetycko pomyślanym, lecz nie byłoby g r z e c z n i e, bo, końcem końców, trzeba śpiącemu przerwać snowania myśli jego – i to przerwać doraźnie, nie powoli, lecz nagle, przenosząc go jednym ruchem w rzeczywistość i w oczywistość inną. Nie można przeto z oczywistości jednej przerzucać nikogo w drugą sposobem g r z e c z n y m, i pewne brutalstwo nierozłącznym zdawa się być od roboty takowej."[7]

Jednym z największych, a więc także jednym z najbardziej niegrzecznych wychowawców jest dziecko pukające do drzwi w łonie matki. Jego milczące „jestem" przerywa ich sen i wzywa do wejścia w świat realny. Dziecko

[7] C. K. Norwid, „Milczenie", w: „Pisma wszystkie", t. VI, Warszawa 1971, 221.

wzywa rodziców do nawrócenia się do tego, co nie zależy od ich woli i opinii. Sprawiedliwy, mówi Platon, będzie wyśmiewany, a czasem nawet zabity…

***

Wychowawca pomaga człowiekowi odradzać się do nowego życia w miłości i w pracy, do jakich „od początku" (por. Mt 19, 8) wzywa go osoba seksualnie różniąca się od niego, oraz do jakich wzywa go Bóg. Każde wydarzenie, jakim są narodziny, te biologiczne i te duchowe, domaga się spotkania innej osoby, ponieważ domaga się miłości i pracy. „Głos" Boga rozlega się w ich wzajemnym nawoływaniu się do miłości i do pracy. Paradygmatem wszelkiego spotkania jest spotkanie mężczyzny z kobietą. Z tego powodu każda osoba powinna patrzeć na siebie w świetle osoby seksualnie różnej. W przeciwnym przypadku nie zrozumie siebie, bo nie zrozumie własnego ciała i dlatego nie zrozumie, co znaczy być darem. Do patrzenia na siebie w świetle osoby różnej seksualnie winni być wychowywani także ludzie powołani do życia w celibacie. Ich duszpasterska posługa małżonkom w ich wzajemnym byciu darem dla siebie powinna pogłębiać ich samoświadomość, tak żeby mogli na sposób boski oddawać się ludziom powierzonym ich trosce.

Wszystkie dialogi łączące osoby w jedno dokonują się „na obraz i podobieństwo" małżeńskiego dialogu darów. Imitacje małżeńskiego dialogu darów przekreślają porządek miłości (*ordo amoris*) oraz porządek pracy (*ordo laboris*) zarówno pomiędzy ludźmi jak i pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Na ich miejsce wprowadzają porządek nierządu (*ordo adulterii*) zakłócający jednocześnie stosunek człowieka do człowieka oraz stosunek człowieka do Boga. Czyny dokonywane w porządku nierządu, niszcząc bosko-ludzką miłość i bosko-ludzką pracę człowieka, niszczą jego osobę oraz społeczeństwo, w którym on żyje, i dlatego są moralnym złem, które religia nazywa grzechem. Przypominać człowiekowi tę bosko-ludzką prawdę o miłości, o pracy i o grzechu znaczy wychowywać go do bycia człowiekiem.

Wychowawca ucząc człowieka patrzeć na siebie w świetle różnicy seksualnej, ucząc go zbliżać się do drugiej osoby i przyjmować ją w pokłonie, pokazuje mu, jak ma zbliżać się w adoracji do Boga w świetle różnicy ontologicznej, która stanowi przestrzeń tworzenia się kultury miłości i kultury pracy. Kultura miłości i pracy różni się całkowicie od tego, co nazywam produkturą przedmiotów. W produkturze miłość nie wyraża się pracą, a praca nie służy miłości. W produkturze miłość wynaturza się w przyjemność, a praca w produkcyjny trud w pocie nie czoła, lecz grzbietu. Dodam, że w Grecji słowo *paideia* (od *pais*, *paidos*, dziecko) oznaczało zarówno kulturę jak i wychowanie. Paradygmatu kultury wolno nam dopatrywać się we wspólnej wędrówce mistrza i ucznia do szkoły, czyli do miejsca mądrości, w którym zawiera się przyjaźń z prawdą. W miejscach mądrości uprawia się ziemię w człowieku pod człowieczeństwo, które zawsze jest jeszcze przed nami (*colo, -ere, cultum,* znaczy uprawiać ziemię, stąd słowo *cultura* mówiące o przygotowywaniu ziemi pod przyszłość*).*

Jeśli tak mają się rzeczy z kulturą i z wychowaniem, to wolno, a nawet trzeba powiedzieć, że mają one miejsce przede wszystkim w małżeństwie, w którym mężczyzna i kobieta są wzajemnie obecni dla siebie tak, że są dla siebie nawzajem epifaniami prawdy. Miejscem kultury i wychowania jest rodzina, w której ojciec i matka są epifanicznie obecni dla dzieci, a dzieci są epifanicznie obecne dla rodziców. Fundament kultury i wychowania leży w prawdzie, która wydarza się pomiędzy małżonkami, rodzicami i dziećmi obecnymi dla siebie nawzajem. Starożytny epigramat na pytanie: *Quid sit veritas?* – czym jest prawda?, odpowiada: *Veritas est vir qui ad-est* – prawdą jest osoba obecna dla drugiej osoby.

Zakłamanie i antropologiczną głupotę w społeczeństwie szerzą polityczni funkcjonariusze seksu, którzy depczą prawdę wydarzającą się

w przestrzeni różnicy seksualnej łączącej mężczyznę i kobietę e „jedno ciało". Antropologicznej głupocie funkcjonariuszy seksu, ogłaszanej przez różne międzynarodowe organizacje zbawieniem dla ludzkości, służą „naukowi" funkcjonariusze ideologii. Depcząc bezmyślnie prawdę wydarzającą się w przestrzeni różnicy seksualnej, depczą także prawdę, która wydarza się w przestrzeni różnicy ontologicznej, która łączy stworzenie ze Stwórcą. W tych dwóch przestrzeniach objawia się jedna prawda, prawda bosko-ludzka, której pełnia rozbłyska w Chrystusie, „ośrodku historii i wszechświata".[8] Dlatego ten jeden Sprawiedliwy musiał być zabity, aby prawda objawiła się w swojej pełni.

***

J. J. Rousseau pisał, że „musimy wybrać jedno z dwojga: urabiać albo człowieka, albo obywatela, nie można bowiem urabiać jednego i drugiego".[9] Z tym dylematem borykają się nowożytne społeczeństwa i nowożytne państwa. Coraz bardziej jednak zamieniają wychowanie osób, które rządziłyby się prawdą i wolnością, na produkcję zdalnie kierowanych „grzecznych obywateli". „Grzeczny obywatel" nie utożsamia się z dobrym obywatelem. Dobrym obywatelem może być tylko dobry człowiek, który w imię prawdy i wolności ma odwagę powiedzieć państwu i jego funkcjonariuszom: Nie! Dobry obywatel wie, kiedy trzeba wstać i wyjść. „Grzeczni obywatele" natomiast nie mają odwagi ani wstać, ani wyjść, kiedy domaga się tego godność osoby.

Nowożytność nawet nie toleruje „dobrych obywateli". Ona faworyzuje tylko „obywateli grzecznych", poddających się manipulującym nimi administratorom. Administratorzy podtrzymują ład w społeczeństwie

[8] Jan Paweł II, „Redemptor hominis", 1.

[9] J. J. Rousseau, „Emil czyli o wychowaniu", Wrocław 1953, s. 11.

„obywateli grzecznych" strachem, czyli, powtarzam za Sokratesem, takimi nieprzyjemnościami, jak „wyroki pozbawiające czci, kary pieniężne i kara śmierci".[10] Ograniczają one zamieszki a nawet wojny domowe. Sokrates nazywa gorszycielami politycznych wychowawców nadających kształt takiemu społeczeństwu. Obronić człowieka przed nimi może jedynie prawda, której ktoś sprawiedliwy dałby świadectwo. „Więc jaki inny mędrzec […] albo jaka osobista postawa myślowa mogłaby się im przeciwstawić zwycięsko? Myślę, że żadna. Nie ma rady" – mówi Sokrates – „tego nawet i próbować nie ma sensu. Bo tego nie ma i nie było, i być nie może, żeby się wbrew ich wpływom wychowawczym uchował w charakterze jakiś inny stosunek do dzielności, ja mówię o charakterze ludzkim, przyjacielu. Nie mówimy o tym, co boskie. Trzeba dobrze wiedzieć, że co się uratuje i zrobi się, jak należy, na tle takich stosunków w państwach, to łaska boska uratowała."[11]

Dzisiaj tajemnicy łaski nie pojmuje nawet wielu ludzi Kościoła. Choćby z tego powodu nie należy się dziwić, że nie słyszała o niej większość polityków i służących im dziennikarzy. W porządku nierządu (*ordo adulterii*) nie ma miejsca na dar. Daru człowiek uczy się przede wszystkim w tej szkole, jaką jest rodzina oraz małżeństwo, , ale właśnie tę szkołę nowożytne państwo chce rozwiązać i zastąpić innymi związkami, przydatnymi nie dla kultury, lecz dla produktury.

Mądrzy politycy, którzy wiedzą, że państwo nie ostoi się bez trwałych małżeństw i rodzin, podczas gdy małżeństwa i rodziny ostoją się bez państwa, nie wkładają swoich politycznych rąk w wychowanie człowieka. Starają się natomiast stwarzać małżeństwom i rodzinom dobre warunki, w których będą one mogły być tym, czym są, to znaczy

[10] Platon, „Państwo", 492, d.
[11] Tamże, 492d, e oraz 493 a.

małżeństwami i rodzinami. Politycy nie mają prawa ani kompetencji, żeby mówić małżonkom, jaka ma być ich rodząca miłość, a rodzicom, jak mają wychowywać dzieci. To nie państwo, lecz rodzice pokazują dzieciom, w którym kierunku powinny iść na poszukiwanie „zguby". To nie państwo, lecz rodzice dla dzieci, a dzieci dla rodziców są epifanią prawdy (*Quid sit veritas? Veritas est vir qui ad-est*). Nie muszą robić nic szczególnego. Wystarczy, że są obecni jedni dla drugich i jedni w drugich się wpatrują. Słowem świadectwa danego prawdzie jest królewskie milczenie objawiające miłość, którego państwo nie zna i znać nie może.

Nie chcę nikogo pouczać, jak należy wychowywać innych. Nie chcę nikomu mówić, w jaki sposób, wykładając matematykę, literaturę czy fizykę, aby móc ich kształtować. Jedno jest dla mnie pewne i nie przestanę tego powtarzać, że ten, kto chce być podobny do jedynego Nauczyciela, powinien objawiać siebie, oddając życie tym, którzy zostali powierzeni jego miłości i pracy. Sądzę, że każdy system pedagogiczny mówi nie o tym, o czym miał mówić. Wychowuje innych „jestem" mistrza, a nie jego „mam". „Mam" zasłania innym niebo, w które mają się wpatrywać, aby ich życie miało wartość i sens. Wychowuje uczniów piękno osoby profesora, piękno, którego go im objawia. Z punktu widzenia semantyki piękno nic nie znaczy, ono tylko wskazuje na horyzont zakreślający w nieskończoności koło wokół osoby i prowadzi tych, którzy się w nim znajdą, do „ośrodka historii i wszechświata" czekającego na nich w ich wnętrzu. Tam wydarza się miłość i sumienie:

„Miłości! W tobie jednej odpocznienie
I moc, i bytu oś; w tobie – s u m i e n i e –"[12]

***

[12] C. K. Norwid, „Psalmów-Psalm VII", w: „Pisma wszystkie" t. III, Warszawa 1971, 411.

Wychowanie będące kulturą człowieczej ziemi wiąże się nierozerwalnie z kultem „nieba”[13]. Mojżesz wyprowadza Żydów na pustynię, aby tam urządzili uroczystość ku czci Boga (por. Wj 5, 1). Patrząc w niebo, człowiek uprawia w swoim wnętrzu ziemię pod Obietnicę. Zna kierunek daru miłości i daru sumienia, dzięki czemu wie, w którą stronę ma prowadzić swój pług. Niebo określa ziemię, a wieczność wskazuje kierunek, w którym ma płynąć czas miłości i pracy na tej ziemi. Posłuszeństwo niebu, a nie ziemi, daje człowiekowi panowanie nad sobą. Ono czyni go człowiekiem wychowanym, którego nazywam *dominus sui*.

Jeżeli nie ma kultury ziemi bez kultu nieba, wychowawcą jest tylko ten, kto codziennie przypomina sobie słowa jedynego Mistrza i Wychowawcy: „Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 31-32). „Otóż wy nie pozwalajcie się nazywać *Rabbi*, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście” (Mt 23, 8).

Kim zatem jest człowiek, że może być sobą tylko „patrząc w niebo”, którego najwięcej widać na pustyni? Pascal zdumiony tajemnicą człowieka pisze: „Cóż za monstrum jest tedy człowiek? Cóż za osobliwość, co za potwór, co za chaos, co za zbieg sprzeczności, co za dziw! Sędzia wszechrzeczy – bezrozumny robak ziemny; piastun prawdy – zlew niepewności i błędu; chluba i zakała wszechświata. […] Poznaj tedy, pyszałku, jakim bezsensem jesteś dla samego siebie. Ukorz się bezsilny rozumie; umilknij, głupia naturo; dowiedz się, że człowiek nieskończenie przerasta człowieka, i usłysz od swego Pana o swym prawdziwym stanie, którego nie znasz. Słuchaj Boga.”[14]

---

[13] Słowa kultura (*culturus, -a, -um*) oraz kult (*cultus, -a, -um*) pochodzą od czasownika *colo, -ere, cultum*, uprawiać rolę. Pierwsze jest imiesłowem czasu przyszłego, a drugiej imiesłowem czasu przeszłego.

[14] B. Pascal, „Myśli”, 438.

Jak wychować tego „potwora"? Jak wprowadzić ład w ten „chaos" i „zbieg sprzeczności"? Jak utrzymać go w duchowej równowadze pomiędzy ziemią, po której chodzi, a niebem, w które powinien się wpatrywać? Jak pogodzić konieczność bycia na ziemi z koniecznością patrzenia na niebo? Utrata równowagi i zbytnie przechylenie się w jedną stronę może skończyć się szaleństwem. Negacja konieczności bycia na ziemi na rzecz patrzenia w niebo, prowadzi do idealistycznego marazmu ducha, a negacja patrzenia w niebo na rzecz bycia na ziemi kończy się nieznajomością dróg i zgubieniem drogi, którą należy iść. Obydwie negacje oddalają człowieka od tego, co jest, i oddają go na pastwę szaleństwa, w którym dochodzi do głosu niewychowanie człowieka.

Wychować człowieka może tylko Bóg. On wytycza mu drogę na ziemi do nadchodzącej prawdy, do Transcendencji, z którą codzienne jednoczenie się czyni człowieka większym od siebie. Pomaga zaś Bogu wychowywać człowieka ten, kto, żyjąc w doświadczeniu osoby ludzkiej, wie, Kogo ma słuchać i Komu ma zawierzyć swoją pracę i swoją miłość. Tylko taki człowiek prowadzi drugiego człowieka do Miłości dającej im obu kształt.

Jest to kształt świętości. Jej święte źródło bije na wysokościach Boskiej Miłości, która spływa kaskadą na człowieka. Ten, kto zatraci się w tej Miłości, zostaje w nią przemieniony. I to jest świętość, do jakiej piękno miłości wzywa i zarazem prowadzi każdego z nas. Piękno jest naszym mistrzem, a my jesteśmy jego uczniami.

Prof. zw. dr hab. Katarzyna Olbrycht

Co to znaczy wychowywać do wspólnoty?

„Nie można „rozchwiać" tej „małej" wspólnoty, może słabej, może niewystarczającej, która jednak jest u korzenia wszystkich wspólnot, ażeby całe życie społeczne i narodowe nie doznało strat i szkód niepowetowanych.
Nie ma skuteczniejszej drogi odrodzenia społeczeństw, jak ich odrodzenie przez zdrowe rodziny." /Jan Paweł II/[15]

Tytułowe pytanie zawiera w sobie tezę, że należy wychowywać do wspólnoty, wspólnota wymaga wychowania jej członków. Teza ta wyrasta z założenia, że wspólnota jest czymś ważnym, strukturą wartą zabiegów i wysiłków wychowawczych, jest wartością.

Wnikliwa obserwacja współczesnej rzeczywistości pokazuje, że wspólnotowość jest w niej zjawiskiem tak pożądanym, jak coraz trudniejszym. Przejawem jest kryzys podstawowych wspólnot ludzkich, przede wszystkim rodziny. Współczesna kultura nie sprzyja wspólnotowości.

[15] Jan Paweł II, Homilia w czasie Mszy św. odprawionej dla rodzin. Pielgrzymki do Polski, Szczecin 1987, W: *Pielgrzymki do Ojczyzny. Przemówienia i homilie*, Kraków 2006, Wydawnictwo Znak, s. 454.

Jest raczej kulturą pragmatycznych egoistów, którzy usprawiedliwiają swoje postawy albo koniecznością życiową albo prawem do własnej wolności. Równocześnie nazwę „wspólnota" często wykorzystuje się by nadać bardziej „ludzką twarz" grupom, środowiskom i instytucjom.

Spróbujmy rozważyć tę sytuację z perspektywy myślenia o człowieku jako osobie i w świetle tej perspektywy zakreślić kierunki szukania wychowawczej odpowiedzi na potrzebę przywrócenia wspólnocie jej prawdziwego znaczenia.

„Wspólnota" w dzisiejszym świecie

„Wspólnota" jest dziś obecna w języku wielu środowisk, w różnych obszarach działań społecznych, wśród określeń wykorzystywanych nie rzadko dla podniesienia wiarygodności tych działań. Pozytywny wydźwięk tego pojęcia sprawia, że sięga się po nie wtedy, gdy chce się osłabić formalny wymiar danej społeczności czy grupy i zaznaczyć, że poważnie traktowany jest w niej „ludzki" wymiar, podkreślić jej ogólnie pozytywny, prawie „rodzinny" charakter. Wspólnota, jak wynika ze znaczenia tego słowa, zakłada wspólność czegoś, dobrowolny współudział w czymś, włączanie się ale także współodpowiedzialność. Najczęściej pojęcie wspólnoty odnosi się do podstawowych w życiu człowieka grup i środowisk, takich jak rodzina, naród, wspólnota religijna, także do wspólnot związanych ze środowiskami edukacyjnymi (szkolnymi, akademickimi) czy opiekuńczymi (Domy Dziecka, Domy Seniora), czy wreszcie społeczności lokalnych, regionalnych, do grup w których członków łączy ten sam zawód czy zajęcie. Pojęcie to wprowadza się czasem także do nazw struktur formalnych, chcąc podkreślić dobrowolność udziału, pozytywną motywację i podmiotową aktywność ich członków – np. wspólnota mieszkaniowa, Wspólnota

Europejska, Wspólnota Niepodległych Państw. Nie przypadkiem wyodrębnia się językowo „wspólnotę interesów", w której najważniejszą wartością jest wspólny interes, niezależnie od jego pozytywnego, czy negatywnego charakteru.

Uzasadnienia tezy o ważności przynależenia do wspólnoty można szukać na gruncie nauk społecznych, nauk o człowieku, nauk o kulturze, nauk prawnych, wreszcie na gruncie filozofii, szczególnie filozofii człowieka.

Nauki o człowieku dostarczają argumentów za wspólnotą jako miejscem zawiązywania, realizowania i zacieśniania się więzi między ludźmi, zaspokajania podstawowych potrzeb psychicznych człowieka: bezpieczeństwa, akceptacji, przynależności, miłości, uznania i szacunku. Rozwój człowieka jest uwarunkowany stopniem zaspokojenia tych potrzeb a jakość jego życia – możliwościami ich zaspokajania. Potrzeby te stają się ważnym wyznacznikiem potrzeb społecznych. Także nauki społeczne podkreślają znaczenie wspólnoty dla życia społecznego i zdrowego rozwoju społeczeństwa. Wspólnota z perspektywy socjologicznej rodzi się wtedy, gdy grupę społeczną wiążą podzielane w niej wartości (materialne i/lub duchowe) a także wzajemne postawy wytwarzające społeczną więź moralną. Więź tę tworzą zaufanie, wzajemna lojalność i solidarność.[16]

Zarówno wymiar psychiczny jak społeczny wspólnoty widziane z perspektywy nauki wskazują na to, że nie rodzi się ona między ludźmi automatycznie, w sposób naturalny, chociaż są sytuacje, które sprzyjają jej powstawaniu, np. wspólna własność, terytorium życia – jak we wspólnotach pierwotnych, wspólny interes a z drugiej strony – sytuacje zagrożenia zewnętrznego. Motywacja ochronno-obronna tworzy

[16] Por. prace socjologa P. Sztompki.

jednak warunki uzależniające istnienie i jakość wspólnoty od doraźnej sytuacji i korzyści. Jeśli uznać silną, trwałą wspólnotę za pożądaną formę życia społecznego, trzeba do niej przygotowywać, uświadamiać jej znaczenie, uczyć określonych postaw i zachowań, przeciwdziałać procesom i mechanizmom, które mogą jej zagrażać. Odwołując się do nauk o człowieku i nauk społecznych wspólnotę trzeba świadomie budować, wzmacniać, utrwalać, wychowywać do niej.

Coraz wyraźniejsza obecność „wspólnoty" w codziennym języku nie oznacza tym samym świadomości jej istoty. Ta ostatnia wynika bowiem z przyjęcia określonej koncepcji człowieka, i w jej świetle roli jaką relacje z innymi pełnią w rozwoju jednostki i społeczeństwa, wreszcie uwarunkowań tych relacji. Tym bardziej wychowanie do wspólnoty wymaga sprecyzowania co uważa się za jej istotę, jakie warunki musi spełniać, by osiągała pożądany kształt i charakter. Nie można ogólnie apelować o postawy wspólnotowe, o ich kształcenie, jeśli nie wyjaśni się na czym mają polegać, co je warunkuje a tym samym do czego w procesie wychowania trzeba dążyć, co robić, czego uczyć, na co zwracać uwagę i nad czym pracować.

Wspólnota w świetle personalizmu Karola Wojtyły

Koncepcją, w której sens i rola wspólnoty wynikają wprost z koncepcji człowieka i są w niej określone, jest koncepcja człowieka jako osoby. Warto pamiętać, że do tej koncepcji odwołują się założenia przyjęte i uznawane w kulturze zachodniej, a zapisane w Deklaracji Praw Człowieka.

Karol Wojtyła bardzo wnikliwie przeanalizował (w swojej antropologii przyjmującej stanowisko personalistyczne), a potem przywoływał wielokrotnie jako Jan Paweł II związki między człowiekiem-osobą

i wspólnotą. Żeby lepiej zrozumieć podkreśloną przez Wojtyłę istotę wspólnoty i wskazać zadania wychowawcze mogące pomóc w jej budowaniu, trzeba przypomnieć zasadnicze elementy koncepcji osoby ludzkiej Wojtyły.

Człowiek obdarzony jest bezwarunkową wartością – godnością ludzką, która sprawia że jest osobą, istotą wolną, rozumną i odpowiedzialną. Posiada zdolność dążenia do prawdy, dobra i piękna. Pełną sprawiedliwość oddaje osobie jedynie miłość, wyrażająca się i realizująca przez bycie dobrowolnym, bezinteresownym darem dla drugiego. Każdy człowiek chce być szczęśliwy, spełnić siebie. By człowiek jako osoba spełniał siebie musi dążyć do bycia dobrym moralnie a to wymaga bycia darem dla innych, stawania się darem. By dar ten służył drugiemu w jego rozwoju osobowym, człowiek obdarzający sobą musi chcieć, umieć i móc kierować sobą, panować nad sobą i angażować wszystkie swoje możliwości fizyczne i psychiczne w realizowanie dobra; dobra w świecie i dobra w sobie. Tak rozumiane spełnianie siebie pozwala budować swoje człowieczeństwo, stawać się w pełni człowiekiem, tzn. przede wszystkim człowiekiem dobrym moralnie.

Jak wyjaśniał Wojtyła, to, że człowiek jest osobą, przejawia się w jego świadomym, dobrowolnym działaniu – w „czynie", który jest stałym przekraczaniem siebie. Człowiek przekracza siebie gdy realizuje konkretne cele i zadania a poprzez nie różne wartości zewnętrzne. Z drugiej strony, przekracza siebie gdy działa zgodnie z sumieniem, które pozwala mu podejmować decyzje zgodnie z prawdą o dobru. Wtedy buduje dobro w sobie. Zdolność do działania na rzecz wartości zewnętrznych a równocześnie budowania dobra w sobie, budowania swojego człowieczeństwa są zależne od dwóch wymiarów tworzących dynamiczną strukturę osoby ludzkiej.

Pierwszy wymiar to podmiotowość. Pozwala ona nie tylko świadomie przeżywać siebie – swoją fizyczność, psychiczność. i duchowość. Jest także świadomością tego, że można stanowić o sobie, decydować o tym czy staję się lepszy, jeśli jest się w stanie rządzić sobą, kontrolować i panować nad swoją psychicznością, kierować swoimi działaniami i decyzjami, rzeczywiście „posiadać siebie" i „panować sobie". Jeśli ma się świadomość stanowienia o sobie, decydowania o tym czy jest się dobrym moralnie, myśli się o sobie jako o sprawcy odpowiedzialnym za własne działanie. Wojtyła rozumie więc podmiotowość inaczej niż autorzy tych interpretacji podmiotowości, które pozostają pod wpływem dominującego w dzisiejszej kulturze indywidualizmu. W tych interpretacjach podmiotowość jest kojarzona głównie ze świadomością i samoświadomością skupioną na badaniu własnego wnętrza, diagnozowaniu własnych cech, skłonności, nastawień, motywów. Może to prowadzić do angażowania się głównie w obserwowanie i rozumienie siebie a w efekcie do zwalniania się z odpowiedzialności za własne działania. Ilustracji dostarcza praktyka masowego dziś zainteresowania popularną psychologią stosowaną, różnorodnymi programami wspierania rozwoju osobistego, domorosłą psychoterapią czerpaną z seriali telewizyjnych lub poradników. U Wojtyły podmiotowość oznacza nie tylko świadomość swojej psychiczności i fizyczności, ale także świadomość tego co trzeba w sobie wypracować, zintegrować by można było „panować sobie", wyegzekwować od siebie akceptowane i chciane zachowania i procesy, rzeczywiście rządzić sobą zgodnie z własną wolą, rozumieć i przyjmować odpowiedzialność za własne czyny, czuć się ich sprawcą.

Drugi obok podmiotowości zasadniczy wymiar człowieka-osoby to przekraczanie siebie (transgresja), wykraczanie poza swoje podstawowe potrzeby i możliwości, po to, żeby zrealizować jakieś zewnętrzne

cele (zewnętrzne wartości), ale i rozstrzygać o własnym postępowaniu zgodnie z sumieniem i w ten sposób budować dobro w sobie. Dobro buduje się bowiem w człowieku w wyniku każdej decyzji podejmowanej w zgodzie z sumieniem, ze względu na odkrywaną w sumieniu prawdę o dobru. Pozwala to człowiekowi przez całe życie, w każdej sytuacji budować swoje człowieczeństwo, stawać się moralnie dobrym. Ta porywająca perspektywa motywuje do wytrwałego podejmowania trudu wychowania i samowychowania.

Człowiek-osoba spełnia się żyjąc dla innych, przez bezinteresowny, dobrowolny dar z siebie, co jest istotą miłości. Nie wystarczy tu jedynie intencja „bycia darem", rozumienie tego celu wyłącznie jako wzniosłego hasła, abstrakcyjnej idei. Trzeba przyjąć go jako całożyciowy program i zadanie.

Wzajemne obdarzanie sobą prowadzi do powstawania wspólnot. Łączą one ludzi przyjmujących jakieś wartości jako wspólne dobro, gotowych do wspólnego działania na jego rzecz a równocześnie wzajemnie traktujących siebie jako niepowtarzalne osoby, ważne nie głównie ze względu na użyteczność w realizowaniu wspólnego dobra, ale ze względu na to, że będąc osobami zasługują na szacunek i miłość. Wspólnoty są miejscem, gdzie dochodzi do tej szczególnej wymiany osobowych darów, darów z siebie. Miejscem, które nie tylko tej sytuacji sprzyja, ale ją wywołuje, wzmacnia, wzbogaca. Wspólnota by była wspólnotą osób, przestrzenią ofiarowywania siebie, musi skupiać się wokół celu, który jest tego godny. Cel nie jest tu obojętny. Nie wystarczy jego atrakcyjność czy perspektywa korzyści, jeśli cel ten nie jest ważną wartością, sprzyjającą osobowemu rozwojowi jej członków, jeśli nie uwzględnia ich osobowej tożsamości opartej na ich ludzkiej godności.

O osobowym spełnianiu się jako bezinteresownym darze z siebie Wojtyła, a potem Jan Paweł II mówił bardzo często. Odwoływał się do

Konstytucji Soborowej „*Gaudium et spes*", gdzie o sensie osobowego spełniania siebie zapisano:

„*Człowiek będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej, jak tylko przez bezinteresowny dar z siebie samego*" [24][17].

Bardzo ważne dla zrozumienia potrzeb wychowawczych związanych z wychowaniem do wspólnoty wydaje się zwrócenie uwagi na wyjaśnienia Wojtyły dotyczące tego stwierdzenia. W jednym z Jego studiów antropologicznych czytamy:

„[…] *zarówno s a m o – p o s i a d a n i e, jak też i s a m o – p a n o w a n i e o z n a c z a s z c z e g ó l n ą d y s p o z y c j ę d o „d a r u z s i e b i e s a m e g o", i to daru „bezinteresownego". Tylko ten mianowicie, kto sam siebie posiada, może też siebie samego oddać i to oddać bezinteresownie. I tylko ten, kto sobie samemu panuje, może też z siebie samego uczynić dar – i to znowu dar bezinteresowny.*[…]. *Tylko ten bowiem, k t o m o ż e s t a n o w i ć o s o b i e* […] *m o ż e t a k ż e s t a w a ć s i ę d a r e m d l a i n n y c h.*" I dalej: „ […] *kiedy człowiek staje się darem dla innych, najpełniej staje się sobą. W głębi dynamicznej struktury osoby wypisane jest tedy „prawo daru" – jeśli tak można się wyrazić*"[18].

W świetle tego dopowiedzenia, by być darem, trzeba mieć określone dyspozycje, trzeba nad nimi pracować.

---

[17] Konstytucja Duszpasterska Soboru Watykańskiego II *O Kościele w świecie współczesnym Gaudium et spes*. [24].

[18] K. Wojtyła, *Osobowa struktura samostanowienia*, W: *Osoba i czyn oraz inne studia antropologiczne*. Red. T. Styczeń, W. Chudy, J.W. Gałkowski, A. Rodziński, A. Szostek, Lublin 1994, Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, s. 431.

Relacje między osobami wg Wojtyły powinny jako takie, rządzić się **prawem daru**. Ta świadomość rzuca nowe światło na miejsce wspólnoty w ludzkim świecie. Człowiek żyje i działa z innymi, wśród innych, biorąc udział w życiu społecznym, ale nie zawsze oznacza to uczestniczenie we wspólnotach. Trzeba pracować nad tym, by relacje społeczne nabierały osobowego charakteru.

Wojtyła zdawał sobie sprawę z częstego utożsamiania „wspólnoty" ze „społeczeństwem" i mocno podkreślał różnice wynikające z brania pod uwagę różnych aspektów życia i działania wśród innych i z innymi. Pisał:

"[…] *w rozważaniu wspólnoty nie można przywiązywać podstawowego znaczenia do samego faktu, że człowiek bytuje i działa "wspólnie" z innymi.* […] *Przez wspólnotę rozumiemy nie samą tę wielość podmiotów, ale zawsze specyficzną jedność tej wielości.*"[19]

Wspomniana jedność oparta jest na możliwości przeżywania przez wszystkich członków danej społeczności własnej podmiotowości osobowej, na wzajemnym traktowaniu siebie jako daru dla drugiego, daru wspomagającego spełnianie siebie. W tym ujęciu społeczeństwa i grupy społeczne stają się w pełni sobą, kiedy stają się wspólnotami. Uczestnictwo we wspólnocie skupiającej się wokół dobra osobowo ważnego dla wszystkich i dla każdego, staje się warunkiem osobowego rozwoju, budowania i spełniania siebie. W tym świetle **wychowanie do wspólnoty staje się jednym z najważniejszych wymiarów wychowania człowieka-osoby**.

U Wojtyły znajdujemy rozróżnienie na dwa wymiary wspólnoty: wymiar międzyosobowy – „ja-ty" i wymiar społeczny – „my". Zarówno w wymiarze międzyosobowym, jak i społecznym chodzi o to, by

[19] K. Wojtyła, *Osoba: Podmiot i wspólnota*. W: *Osoba i czyn*… s. 394.

każdego drugiego przeżywać tak jak drugie „ja", pamiętając że jest on także niepowtarzalną osobą. Celem relacji międzyosobowej jest bycie dla drugiego darem w sposób, który respektuje podmiotowość i samostanowienie obu stron, ich dążenie do budowania dobra w sobie, do spełniania siebie w byciu darem. Oznacza to, że człowiek poprzez relację ja-ty w pewnym stopniu uczestniczy w człowieczeństwie drugiego. Równocześnie uczestnicy tej relacji uznają wzajemnie, że są osobami, które są ważne, kochane, wzajemnie sobie potrzebne do rozwoju, mogą się sobie zawierzyć. Także w wymiarze społecznym, tzn. jako „my", poszczególni członkowie wspólnoty nigdy nie mogą rezygnować ze swojej osobowej podmiotowości. Podmiotowość ta nie znika na rzecz jakiejś podmiotowości „wspólnej". Członkowie wspólnoty nigdy nie mogą stać się dla siebie anonimowi, obojętni, oceniani instrumentalnie ze względu na swoją przydatność.

Wszystkie przynależące do wspólnoty osoby angażują się dobrowolnie w realizację jakiegoś dobra wspólnego, dobra zawartego w bezpośrednim celu współdziałania ale i dobra osobowego każdego uczestnika wspólnoty. Dobro wspólne we wspólnocie nie może więc być narzuconym siłą lub manipulacją zewnętrznym celem, ale dobrem, które akceptują wszyscy członkowie danej wspólnoty, nawet jeśli w szczegółach będą odkrywać wszystkie jego elementy w trakcie jego realizacji. Dobro to pozwala spełniać siebie, a jednocześnie przeżywać swoją jedność jako „my" – osoby zjednoczone tym, że gotowe są na rzecz wspólnego dobra rezygnować z własnych dóbr czy korzyści, stając się, przez swoją obecność, postawę, działanie, wytwory darem dla innych. Członkowie wspólnoty mobilizują się wzajemnie do wysiłku, pomagają sobie, czują się odpowiedzialni za realizowane dobro wspólne, ale i za każdego członka wspólnoty, cieszą się osiągnięciami każdego z jej członków.

Zajmują postawy solidarności, dialogu ale i sprzeciwu wobec zagrożonego dobra wspólnego i każdej osoby we wspólnocie.

Oba wyróżnione przez Wojtyłę wymiary wspólnoty – międzyosobowy i społeczny – „my" dopełniają się, wzbogacają i wzmacniają. Oba też podlegają „prawu daru". Człowiek stając się osobowym darem dla innych, darząc ich miłością, odpowiadając na ich dar z siebie swoją miłością, tym samym tworzy zasadniczy zrąb wspólnoty. Pojawia się ona w pełni gdy w centrum staje wspólny cel – ważna wartość, dla której warto ofiarować siebie innym. Przygotowanie do uczestnictwa we wspólnocie oznacza więc przede wszystkim przygotowanie do „bycia darem" w stosunkach międzyludzkich a także w sytuacjach społecznych skupiających ludzi wokół wspólnej wartości.

Najważniejszą ze wspólnot jest wspólnota osób, które całkowicie ofiarowują się sobie w miłości – tzn. małżeństwo i budowana przez nie rodzina.

Jan Paweł II o wspólnocie i osobowych warunkach „bycia darem"

Spełnianie siebie we wspólnocie a więc i we wspólnocie rodzinnej sprowadza się ostatecznie do bycia dla siebie wzajemnie bezinteresownym darem. Dar z siebie sprawia, że dobro, uznane dobrowolnie przez działające osoby za wspólne, jest realizowane przez nie w sposób, który pozwala każdej z nich zachować własną godność, uczestniczyć w człowieczeństwie drugiego, pomaga każdej z nich spełniać się moralnie. O najważniejszym celu człowieka – byciu darem i tą drogą stawaniu się w pełni człowiekiem Jan Paweł II mówił m.in. w czasie pielgrzymek do Polski. Wyjaśniał ten cel nawiązując do rozumienia człowieka jako osoby, ale ukazując jego głębsze źródła, sens i uzasadnienie odkrywane

w świetle wiary. W 1991 r. na spotkaniu z przedstawicielami świata kultury w Warszawie podkreślał:

„Ów dar stanowi pełną aktualizację celowości, która jest właściwa człowiekowi – osobie. Jego *autoteleologia polega więc nie na tym, aby być „dla siebie", zamykać się w sobie w sposób egoistyczny – ale aby być „dla innych", być darem. Chrystus jest niedościgłym, a równocześnie wciąż najwyższym wzorem takiego człowieczeństwa*."[20]

Będąc w Polsce z okazji Kongresu Eucharystycznego w 1997 r. Ojciec święty zwracał uwagę na związek między byciem darem i budowaniem więzi między ludźmi, pracą na rzecz jedności. W Polsce po odzyskaniu suwerenności i po dramatycznym doświadczeniu stanu wojennego w latach 80. ub. wieku, wspólnotowość stała się szczególnie trudnym wyzwaniem. Papież Polak znał bardzo dobrze polską historię, kulturę i społeczeństwo. Wiedział jak ważną wartością dla Polaków jest wolność. Równocześnie wiedział też jak bardzo sens tej wartości, podobnie jak miłości, jest zniekształcany przez współczesną kulturę, co sprawia że wspólnoty i przynależność do nich wydają się zagrożeniem dla wolności. Droga do wspólnoty, tak wnikliwie przeanalizowana przez Wojtyłę w Jego antropologii personalistycznej, została przez Jana Pawła II uświadomiona Rodakom przeżywającym trudności w wejściu na tę drogę. We Wrocławiu padły słowa:

„*Prawdziwa wolność mierzy się stopniem gotowości do służby i do daru z siebie. Tylko tak pojęta wolność jest prawdziwie twórcza, tak pojęta wolność buduje nasze człowieczeństwo, buduje więzi międzyludzkie. Buduje i jednoczy, a nie dzieli! Jak bardzo tej jednoczącej wolności potrzeba światu, potrzeba Europie, potrzeba Polsce!*"[21] I w innym przemówieniu

[20] Jan Paweł II, Przemówienie do przedstawicieli świata kultury zgromadzonych w Teatrze Narodowym. Warszawa 1991. W: *Pielgrzymki do Ojczyzny. Przemówienia i homilie*, Kraków 2006, Wydawnictwo Znak, s. 735.

[21] Homilia w czasie Mszy św. odprawionej na zakończenie Międzynarodowego

związanym z wrocławskim Kongresem usłyszeliśmy: „*Kiedy bowiem odkrywamy, że jesteśmy powołani do dobrowolnego złożenia siebie w darze Bogu i bliźniemu, wówczas naszą wolność przenika blask prawdy i oświetla miłość.*"[22]

Najważniejszą wspólnotą osób jest rodzina. Jest ona, zgodnie z nauczaniem Kościoła „wspólnotą życia i miłości" (*Gaudium et spes*, 48), jest wspólnotą świętą, komunią osób zjednoczonych miłością. W małżeństwie dobrem wspólnym małżonków a potem ich dzieci staje się rodzina. Członkowie rodziny wzajemnie szanują się i kochają, uczestniczą wzajemnie w swoim człowieczeństwie i spełnianiu siebie, współdziałają, już jako wspólnota „my", w budowania dobra wspólnego – rodziny.

W Kaliszu, u św. Józefa Jan Paweł II tłumaczył istotę wspólnoty wyrastającej z prawdziwej, osobowej miłości wyrażającej się wzajemnym całkowitym darem z siebie. Mówił: „*Każda rodzina może zbudować taką miłość. Ale można ją osiągnąć w małżeństwie tylko i wyłącznie wtedy, jeśli małżonkowie stają się* […] *„bezinteresownym darem z siebie samego" (Gaudium et spes, 24), bezwarunkowo i na zawsze, nie stawiając żadnych ograniczeń. Ta miłość małżeńska, rodzicielska, rodzinna jest ciągle uszlachetniana, jest doskonalona przez wspólne troski i radości, przez wspieranie się wzajemne w chwilach trudnych. Zapomina o sobie samym dla dobra umiłowanego człowieka.[…] Rodzina chrześcijańska, wierna swemu sakramentalnemu przymierzu, staje się autentycznym znakiem bezinteresownej i powszechnej miłości Boga do ludzi.*"[23]

Kongresu Eucharystycznego. Wrocław 1997, W: *Pielgrzymki*…Tamże, s. 880.

[22] Jan Paweł II, Przemówienie wygłoszone w czasie spotkania z delegacjami na Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Wrocław 1997, W: *Pielgrzymki*…, s. 890.

[23] Jan Paweł II, Homilia w czasie Mszy św. odprawionej przed sanktuarium św. Józefa. Kalisz 1997, W: *Pielgrzymki* …, s. 929.

Rodzina jest pierwszą i najważniejszą szkołą uczącą tak rozumianej miłości-daru. Do tego trudnego programu życiowego Jan Paweł II przekonywał szczególnie młode pokolenie. M.in. na spotkaniu z młodzieżą w Strasburgu w 1988 r. mówił:

"*Druga osoba musi być kochana dla niej samej, nie jako przedmiot przyjemności. Takiej miłości trzeba się uczyć cierpliwie, ona wymaga ofiar, by trwała.[…] Problem polega na przygotowaniu się do daru z siebie na poziomie serca i woli.*"[24]

Bycie wzajemnym darem w każdej wspólnocie a więc przede wszystkim w rodzinie jest trudnym zadaniem. Wymaga pracy nad codziennym przyjmowaniem wobec siebie i drugiego takich postaw i zachowań, które urzeczywistniałyby życiowy i duchowy program bycia darem. Praca ta obejmuje z jednej strony przygotowanie wewnętrznych warunków, które są konieczne by, jak uczył Karol Wojtyła-Jan Paweł II móc rzeczywiście sobą „rządzić", podporządkowywać swoją fizyczność i psychiczność własnej woli, kierującej się prawdą i dobrem. Tak rozumiane warunki wewnętrzne pozwalają nie poddawać się nieuporządkowanym emocjom, destrukcyjnym skłonnościom, jakimkolwiek uzależnieniom, presji antyosobowych wzorców i koniunkturalnych argumentów. Umożliwiają angażowanie swojego fizycznego i psychicznego „wyposażenia" zgodnie z odkrytą w sumieniu prawdą o dobru. Warunki wewnętrzne w ogromnym stopniu zapewnia kształcenie charakteru.

Bycie darem, które rodzi wspólnotę, wymaga także warunków zewnętrznych. Obejmują one budowanie między poszczególnymi osobami relacji wzajemnie respektujących ich osobową podmiotowość

[24] Jan Paweł II, *Tworzyć*. Przemówienie do młodzieży w Strasburgu, 8.10.1988 r. W: *Podręcznik pokolenia JPII. Ojcowskie słowo do młodych świata, Polski i Lednicy*. Poznań 2008, Duszpasterstwo Akademickie Dominikanów, s. 315.

i równocześnie nakierowanych na realizację dobrowolnie uznanego wspólnego dobra. Podstawą harmonijnego godzenia tych relacji w każdej wspólnocie musi być respektowanie w byciu i działaniu z innymi wymiaru etycznego. Jan Paweł II mówił o tym stanowczo:

„*Wszystkie wymiary społecznego bytu, i wymiar polityczny, i wymiar ekonomiczny, i oczywiście – wymiar kulturalny i każdy inny, opiera się ostatecznie na tym podstawowym wymiarze etycznym: prawda – zaufanie – wspólnota*"[25].

Drogą do relacji budujących wspólnotę jest więc respektowanie w nich prawdy i opartego na niej zaufania. Chodzi tu o prawdę o świecie, o różnych przeżywanych sytuacjach ale w pierwszym rzędzie prawdę o człowieku jako osobie, o jego godności, o miłości, na którą zasługuje i w której się spełnia, o realizowaniu człowieczeństwa poprzez bycie bezinteresownym darem. Prawda ta zakorzeniona jest w prawdzie o miłości Boga do człowieka, o Chrystusie, który zechciał być darem Ojca dla każdego człowieka, o darze Boga jaki przychodzi do człowieka w każdym napotkanym drugim.

Na zaufaniu opiera się wiara członków wspólnoty, że proponowany im cel jest prawdziwy, że wynika z prawdziwie ważnych wartości, że za jego wskazaniem nie kryją się motywy dalekie od deklarowanych, że nie okaże się, że biorą udział w czymś niegodnym.

W rodzinie prawda ta nabiera szczególnego znaczenia. Zacytujmy kolejny raz Jana Pawła II, którego nauczanie pomaga tu rozważyć problem wspólnoty i wychowania do niej. W 1983 r. we Wrocławiu Papież wyjaśniał etyczny wymiar życia i działania człowieka w rodzinie. Mówił:

„*Wspólnota małżeńska i rodzinna buduje się na zaufaniu wzajemnym. Jest to dobro podstawowe wzajemnych odniesień w rodzinie. Odniesienie*

[25] Tamże

wzajemne małżonków – i odniesienie wzajemne rodziców i dzieci. Najgłębszym fundamentem tych odniesień jest ostatecznie to zaufanie, jakim sam Bóg obdarza małżonków, stwarzając ich i powołując ich do życia we wspólnocie małżeńskiej i rodzinnej."[26]

W tym przemówieniu Papież podkreślał, że zaufanie musi być oparte na prawdzie i miłości. „*Prawda jest więc fundamentem ufności. I prawda jest też mocą miłości. Wzajemnie też miłość jest mocą prawdy.*"[27]

W konsekwencji budowanie wspólnoty rodzinnej musi być najpierw wychowywaniem do prawdy i do miłości. Program ten dopełnia potrzeba wychowywania do wierności – postawy tak bardzo dziś odległej zarówno od praktyki życia, jak od powszechnie propagowanej ideologii prawa do nieograniczonej niczym wolności. W Encyklice *Fides et Ratio* czytamy: „*Człowiek udoskonala się bowiem nie tylko przez zdobywanie abstrakcyjnej wiedzy o prawdzie, ale także przez żywą relację z drugim człowiekiem, która wyraża się przez dar z siebie i przez wierność. W tej wierności, która uzdalnia do złożenia siebie w darze, człowiek znajduje pełnię pewności i bezpieczeństwa (Fides et ratio, 32).*"[28]

„Dar z siebie" jako istota miłości nie jest symbolicznym gestem czy sentymentalną deklaracją. Jest decyzją głęboko egzystencjalną, decyzją na całe życie, na której mogą się oprzeć inni. Tworzy przestrzeń sięgającą od gotowości poświęcenia dla drugiego własnego życia, planów, korzyści, do najdrobniejszych codziennych zachowań – gestu, życzliwego słowa, poświęcenia czasu, uwagi, wysiłku, zainteresowania, gotowości pomocy. Bycie darem oznacza równocześnie zawierzenie siebie drugiej

[26] Jan Paweł II, Homilia w czasie Mszy św. Wrocław 1983, *Pielgrzymki do Ojczyzny* …, s. 323

[27] Tamże, s.324

[28] Jan Paweł II, Przemówienie do rektorów wyższych uczelni zgromadzonych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Toruń 1999, W: *Pielgrzymki do Ojczyzny…* , s. 1049.

osobie. (Bardzo pięknie pisze na ten temat Stanisław Grygiel w książce, w której dzieli się z czytelnikiem swoją refleksją o doświadczeniu spotkania z Karolem Wojtyłą – Janem Pawłem II, rozmów z Nim, odkrywania pod ich wpływem głębi wspólnoty małżeńskiej.[29]) Wzajemne zawierzenie jest owocem budowania między osobami wspólnoty opartej na prawdzie, zaufaniu i wierności, w szczególny sposób między małżonkami, kiedy jest to zawierzenie całkowite, uświęcone sakramentem.

Wychowanie do wspólnoty

Zrozumienie, że wspólnota jest czymś więcej niż grupą, której członkowie realizują wspólne cele i dobrze się ze sobą czują, prowadzi do zrozumienia, że nie można do niej wychowywać jedynie trenując umiejętności społeczne, kształcąc prospołeczne postawy, stosując zewnętrzne zabiegi, które mają wywołać większą spójność grupy. Działania te mogą wspomagać przygotowanie do uczestnictwa we wspólnocie, ale jej nie stworzą. Współczesne nastawienie na szybki doraźny efekt, który nie wymagałby zbyt dużego wysiłku, sprawia, że coraz częściej jednostki, grupy i społeczeństwa, chcąc instrumentalnie wykorzystać formę „wspólnoty" do stworzenia silniejszych nieformalnych więzi przydatnych do ich celów, odwołują się do manipulacji. Takie myślenie osłabia zaufanie do wychowania i wychowawców, bowiem nie gwarantują oni spektakularnych skutków swoich oddziaływań. Podmioty zainteresowane użyteczną „wspólnotowością" szukają raczej specjalistów, którzy wskazaliby skuteczne sposoby, a najlepiej sami doprowadzili do pożądanych efektów. Niestety z takim oczekiwaniem można się spotkać również w wielu rodzinach i instytucjach wychowawczo-oświatowych,

[29] S. Grygiel, *Na ścieżkach prawdy. Rozmawiając z Janem Pawłem II*. Poznań 2013, Flos Carmeli.

gdzie jest ono szczególnie groźne, niszczy bowiem wzajemne zaufanie i zafałszowuje istotę wspólnoty. Treningi i warsztaty, zalecenia ekspertów nie zmienią grupy czy społeczności we wspólnotę. Wspólnoty nikt nie zbuduje za jej członków, nikt ich w tym nie zastąpi ani nie wyręczy, nikt nie zwolni ich z odpowiedzialności za należące do niej osoby. Można ich jedynie wspierać, zachęcać do wytrwałości, pomagać w znoszeniu trudu, podpowiadać sposoby wspólnego wewnętrznego rozwiązywania problemów, pokazywać cele, dla których warto podejmować ten wysiłek.

Jeśli uznać, że wspólnota i uczestnictwo w niej jest niezwykle ważną wartością, bowiem warunkuje osobowy rozwój człowieka, trzeba się zgodzić, że manipulacja nie tylko nie może jej wytworzyć ale może ją zniszczyć. Daru a więc i bycia darem nie można wymusić, wyegzekwować, narzucić. Tym bardziej nie można nikogo zmusić do zawierzenia siebie drugiemu. Nie można metodycznie wywoływać miłości między osobami. Wychowanie, jeśli rzeczywiście ma pomóc i przygotować do uczestnictwa we wspólnotach, musi skupić się na działaniach, które mogą motywować człowieka do bycia bezinteresownym darem, przygotować go do podjęcia i realizacji takiego życiowego programu, które wykształcą w nim postawy warunkujące dążenie do tego celu. Działania i oddziaływania wychowawcze muszą więc być prowadzone w kilku kierunkach.

• **Pierwszym z nich jest przekazywanie prawdy o człowieku jako osobie, o jego celu, o możliwości i powinności spełniania siebie, o sensie bycia darem, bezinteresownym darem dla drugiego zarówno w relacji międzyosobowej, jak w relacjach związanych z realizacją wspólnego dobra.** Przekazywanie tej prawdy musi się opierać przede wszystkim na doświadczeniu miłości jako daru z siebie dawanego i otrzymywanego, na okazywaniu każdemu szacunku ze względu na jego ludzką, osobową godność. Dopiero traktując siebie i innych

jak osoby, można im wyjaśniać strukturę i dynamizm działania osoby ludzkiej. Kierunek ten obejmuje także uczenie rozpoznawania wartości w różnych celach i zadaniach, jakie stawiane są przed ludźmi żyjącymi i działającymi wspólnie. Nie wszystkie cele godne są budowania wokół nich wspólnoty. Przeciwnie, nie rzadko są to cele, które jednoczą ludzi wokół wartości negatywnych, antywartości, które wymagają odrzucenia swojej tożsamości osobowej, rezygnacji ze stawania się człowiekiem moralnie dobrym. W takich sytuacjach społecznych odwoływanie się do „wspólnoty" staje się nadużyciem. Postawy wspólnotowe wyrażają się wtedy sprzeciwem.

• **Drugi kierunek, ściśle związany z pierwszym, dotyczy wyposażania człowieka w takie sprawności, które pozwalałyby mu być osobowym darem.** Struktura osoby ludzkiej w ujęciu Wojtyły pokazuje, że trzeba kształtować podmiotowość człowieka tak, żeby mógł on rzeczywiście o sobie stanowić, tzn. żeby siebie w całej swojej fizyczności i psychiczności „posiadał" i „sobie panował", poddając swoje zachowania i wybory własnej woli kierowanej przez sumienie. Z perspektywy wychowawczej wymaga to świadomego, programowego **kształcenia charakteru** z jego podstawowymi cnotami: męstwem, umiarem, sprawiedliwością i roztropnością. Każda z tych cnót obejmuje szereg szczegółowych sprawności. (Dziś psychologia uważa ich kształcenie za niezbędne w rozwijaniu inteligencji emocjonalnej).

• **Trzecim kierunkiem jest kształcenie postaw, które tworzą przestrzeń umożliwiającą i sprzyjającą temu, by każdy członek wspólnoty mógł spełniać siebie przez bycie darem, a na tej drodze – mógł uczestniczyć w pełni, w całej swojej osobowej podmiotowości, w realizacji dobra wspólnego**. W świetle tego, co zostało powiedziane, najważniejsze wśród postaw budujących wspólnotę byłyby postawy zaufania,

wierności, zawierzenia, dialogu, służby, solidarności i sprzeciwu, zakładające u podstaw postawę bezinteresowności.[30] Znamienne jest, że Jan Paweł II podkreślał potrzebę respektowania w relacjach między ludźmi a szczególnie w rodzinie „prawa bezinteresowności".

W Adhortacji Apostolskiej *Familiaris Consortio* możemy przeczytać:

„*We wzajemnych stosunkach członkowie wspólnoty rodzinnej są inspirowani i kierują się <prawem bezinteresowności>, które szanując i umacniając we wszystkich i w każdym godność osobistą jako jedyną rację wartości, przybiera postać serdecznego otwarcia się, spotkania i dialogu, bezinteresownej gotowości służenia, wielkodusznej służby i głębokiej solidarności.*"[31]

Wymienione postawy są istotą i warunkiem miłości. Wszystkie wymagają świadomego kształcenia i wzmacniania przez całe życie, szczególnie że wszystkie zostały zepchnięte współcześnie na kulturowy margines jeśli już nie jako szkodliwe, to przynajmniej nieprzydatne i niewygodne dla powszechnie przyjętego pragmatyzmu, utylitaryzmu, dla służącego tym ideologiom egoizmu jednostkowego i grupowego. Podobnie jak w przypadku pierwszych dwóch kierunków wychowania do wspólnoty, także i ten wymaga przede wszystkim przykładów, przeżytych doświadczeń kontaktu z takimi postawami, zachęty do ich przyjmowania, wspierania w wytrwałej ich realizacji w życiu.

W rodzinie wszystkie wspomniane sfery wpływów wychowawczych wydają się dziś zagrożone, ponieważ dom rodzinny i rodzinne

[30] Więcej o roli bezinteresowności w rodzinie piszę w tekście złożonym do materiałów z Kongresu Rodziny zorganizowanego przez Instytut Pedagogiki KUL w Lublinie, we wrześniu 2015 r. Tekst w druku.

[31] Adhortacja Apostolska *Familiaris Consortio. O zadaniach rodziny chrześcijańskiej w świecie współczesnym*.[43], W: *Adhortacje Apostolskie Ojca świętego Jana Pawła II*. t. I. 1979-1995. Kraków 2006, Wydawnictwo Znak, s. 150.

relacje, uznawane za obszar zarezerwowany dla prywatności i wolności od wszelkich norm, wydają się zwalniać od wysiłku liczenia się z drugim, szanowania go na co dzień, okazywania mu miłości, pracy nad własnym charakterem i pomagania innym członkom rodziny w tym procesie, wreszcie od przyjmowania i realizowania postaw zaprzeczających egoizmowi.

Podsumowując te rozważania trzeba wyraźnie zaznaczyć: wychowanie do wspólnoty a więc w pierwszym rzędzie do wspólnoty rodzinnej nie może ograniczać się do przekazu teoretycznych uzasadnień dla jej wartości. Nie może też być szukaniem sprawdzonej, skutecznej metody zbudowania wspólnoty. Nie ma bowiem recept na stworzenie prawdziwej wspólnoty, bo, jak już powiedziano, nie ma recepty na sprawienie, by ludzie chcieli być dla siebie bezinteresownym darem. Dochodzenie do wspólnoty, jej dojrzewanie – czy będzie to wspólnota rodzinna, narodowa, szkolna, lokalna czy każda inna – wymaga świadomego, systematycznego wysiłku wszystkich jej członków. Jest to wysiłek zrozumienia i przyjęcia prawdy o sobie i celu swojego życia, o sensie wzajemnego bycia darem, pracy nad własną zdolnością do samostanowienia opartą na kształceniu charakteru, wreszcie wysiłek kształcenia postaw budujących i wspierających zdolność do bycia darem. Dopiero praca wychowawcza i samowychowawcza uwzględniająca wszystkie te kierunki może sprawić, że tak dla wychowanków, jak dla wychowawców wspólnota stanie się prawdziwie ważną wartością a także doprowadzić do tego, że za wartości zostaną uznane prowadzące do niej sprawności i postawy.

Wychowanie do wspólnoty powinno dotyczyć w pierwszym rzędzie wychowania do wspólnoty małżeńskiej i rodzinnej, która jest podstawą wszelkich wspólnot. W myśleniu o rodzinie ważna jest jednak świadomość, że wychowanie w niej i do niej przygotowuje równocześnie do

pełnego uczestniczenia także w innych wspólnotach, które pojawiają się na drodze człowieka.

Dla człowieka wierzącego bycie darem jako droga do wspólnoty, która pozwoli wszystkim jej członkom na spełnianie siebie, znajduje najgłębsze uzasadnienie w prawdzie Objawionej. Dlatego podsumowaniem tych rozważań niech będą słowa Jana Pawła II wypowiedziane w 1991 r. w Olsztynie:

„*W Kościele nie ma ani jednego takiego członka, którego Bóg nie chciałby uzdolnić do duchowego obdarzania innych. Musimy tylko nauczyć się rozpoznawać te dary udzielane każdemu z nas po to, abyśmy mogli obdarzać innych i o dary te zabiegać.*

Należeć do Kościoła, to znaczy tworzyć communio, czyli wspólnotę osób wierzących w Chrystusa, które wzajemnie się obdarowują." [32]

[32] Jan Paweł II, Homilia w czasie liturgii słowa skierowana do przedstawicieli laikatu. Olsztyn 1991. W: *Pielgrzymki do Ojczyzny…*, , s. 678.

Ludmiła Grygiel

Duszpasterstwo jako wychowanie

Ośmielam się mówić do wychowawców o wychowaniu nie po to, aby pouczać, ale żeby ukazać tę specyficzną formę wychowania, jaką jest duszpasterstwo.

Ideałem jest – być może tego doświadczacie – harmonijna współpraca i wzajemna pomoc wychowawców i kapłanów. Na pewno nie służy uczniom taka sytuacja, kiedy obie te formy służby człowiekowi są od siebie odseparowane, a jeszcze gorzej – gdy stoją ze sobą w sprzeczności. Zarówno duszpasterstwo jak i wychowanie szkolne ma za przedmiot swojej pracy suwerenną osobę ludzką, której trzeba towarzyszyć w rozwoju i życiowej drodze. Trzeba wykorzystać ważny fakt, że żyjemy w kraju demokratycznym, w którym każdy obywatel ma prawo wolnego wyboru i wyciągnąć z tego wszystkie konsekwencje w sferze wychowania. Możemy dzisiaj w Polsce przekazywać nie tylko wiedzę, ale także chrześcijańską koncepcję życia.

Jest rzeczą naturalną, gdy kapłani i nauczyciele – oprócz rodziców – pomagają młodym w podjęciu życiowych decyzji. Najważniejsza decyzja dotyczy rozeznania powołania do małżeństwa czy życia

konsekrowanego. Wynika to ze struktury osobowej każdego ucznia. Wychowawca od początku edukacji powinien o tym pamiętać i nie przekraczając swoich kompetencji – pomagać uczniom w wyborze drogi życiowej i w realizacji jego powołania do szczęścia.

Chrześcijaństwo przekazuje fundamentalną prawdę; Pan Bóg stworzył człowieka z miłości i przeznaczył do miłowania i bycia miłowanym. Pan Bóg nie stworzył człowieka do samotności; nawet Raj nie uszczęśliwił Adama dopóki nie spotkał i zjednoczył się duchowo i cieleśnie z Ewą.

W dzisiejszych czasach, kiedy wolność jednostki wyraża się często w niewolniczej realizacji laickiej koncepcji życia, promowanej agresywnie jako jedyna nowoczesna koncepcja, często młodzi są zagubieni i samotni, bo przelotne więzi nie zaspokajają pragnienia ludzkiego serca miłowania i bycia miłowanym na zawsze. Potrzebują kogoś, kto by im pomógł zaspokoić to pragnienie. Rola wychowawcy katolickiego jest trudniejsza niż kiedyś, ale trzeba sobie uświadomić, że żaden laicki wychowawca nie może przekazać takiego bogactwa i wskazać tak pięknego modelu życia, jakie proponuje chrześcijaństwo. Zadaniem wychowawców katolickich jest obrona boskich praw każdej osoby ludzkiej.

Duszpasterstwo czerpie swój program działania z doktryny chrześcijańskiej i ma na celu doprowadzić człowieka do osobistego spotkania z Chrystusem po to, żeby się od Niego nauczyć żyć. Wychowanie szkolne korzysta i przekazuje dziedzictwo kulturowe polskie i europejskie, którego niezbywalnym fundamentem są wartości chrześcijańskie. Jeśli wychowawca pominie te wartości to pozbawi swych wychowanków wiedzy o ich tożsamości osobowej, o ich pochodzeniu i przeznaczeniu. Wychowawca katolicki musi sięgać do Ewangelii i nieustannie uczyć nasłuchiwania tego, co Chrystus mówi każdemu młodemu człowiekowi.

Sługa Boży Biskup Jan Pietraszko tak mówił do nauczycieli w 1985 roku:

„Społeczność ludzka […] jest tym bardziej w pełnym wymiarze ludzka, mocna i zwarta im bardziej jest nasycona przysłowiową ewangeliczną solą prawdziwej wiedzy i mądrości i im bardziej jest prześwietlona mądrą dobrocią. Wprawdzie to, co przekazujecie w swej pracy nie jest wprost zakorzenione w Ewangelii, niemniej w jakimś znaczeniu zawsze dotyczy świata stworzonego przez Boga i praw, jakie nim rządzą i w nim obowiązują, czyli ostatecznie dzieła Bożego. Wszystkie te prawdy i wartości, które wchodzą w zakres waszych zainteresowań i które w swej pracy przekazujecie tkwią w jakiś sposób w strukturze człowieka, który na waszych oczach rośnie i rozwija się intelektualnie i moralnie, bogacąc się prawdą i dobrem, przy waszej najbliższej współpracy i kosztem waszych wysiłków." (Opłatek nauczycielski, Sucha Beskidzka, 26.01.1985)

Praca wychowawcy katolickiego jest swoistym duszpasterstwem, o czym przekonuje fakt, że wielcy, święci duszpasterze odegrali rolę formatorów, mistrzów. Posłużę się przykładem dwóch: św. Jana Pawła II i jego Mistrza Sługi Bożego biskupa Jana Pietraszki. Obaj byli autorytatywnymi nauczycielami, a jednocześnie uczniami bo codziennie uczyli się człowieka, jakby powiedział Liebert. Pokazali, że aby dobrze nauczać trzeba miłować prawdę i uczniów. Pokazali też, że – jak powiedział ksiądz Pietraszko – nie ma konfliktu między miłością a mądrością: „Miłość jest zawsze mądra, mądrość nie zawsze jest miłująca".

Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek widzimy, że „kto w Kościele nauczy miłości, ten się również tutaj nauczy najprawdziwszej mądrości", która zapewnia szczęśliwe życie. Ta najprawdziwsza mądrość nie zmienia się w zależności od sytemu politycznego czy jakiejś efemerycznej mody kulturowej.

Należy pamiętać, że duszpasterze, których pracę i wizję człowieka chciałam krótko przedstawić działali w warunkach o wiele trudniejszych niż dzisiejsi kapłani i wychowawcy.

Duszpasterstwo adekwatne Karola Wojtyły

Karol Wojtyła przez całe swoje kapłańskie życie był duszpasterzem i naukowcem, niemniej duszpasterstwo wydaje mi się ważniejsze, szczególnie w dziedzinie dotyczącej małżeństwa i rodziny, wychowania do życia małżeńskiego i rodzinnego. Jako młody ksiądz – z inicjatywy ks. Abpa Sapiehy – rozpoczął w Rzymie pracę naukową zakończoną doktoratem na temat wiary u św. Jana od Krzyża. Zaraz po powrocie z Rzymu został wysłany jako wikary do małej wioski Niegowici, a w 1949 r. – do parafii św. Floriana w centrum Krakowa. Tutaj zaczęło się jego duszpasterstwo małżeństw i rodzin. Zaczęło się z inicjatywy studentów, gromadzących się przy kościele. To właśnie oni „zmusili" księdza Wojtyłę do zajęcia się problemami, które były im najbliższe – miłość, narzeczeństwo, małżeństwo, rodzina.

Chociaż okres duszpasterzowania ks. Wojtyły był bardzo krótki, bo już w jesieni 1951 r. wrócił do pracy naukowej i nigdy potem nie pracował w parafii, to jednak nie przestał nigdy – ani jako kardynał, ani jako papież – uprawiać duszpasterstwa. Nazywam je duszpasterstwem adekwatnym. Nazwę zasugerował mi fakt, że Karol Wojtyła swoje filozoficzne refleksje, skoncentrowane na doświadczeniu osoby ludzkiej, nazwał antropologią adekwatną. Punktem wyjścia tej antropologii jest doświadczenie człowieka, w którym szuka się obecności Boga i ukierunkowania człowieka do Boga. Natomiast duszpasterstwo wychodzi od Osoby Chrystusa i Jego nauczania po to, aby pomóc człowiekowi zrozumieć jego tożsamość i postępować w życiu jako Chrystusowy uczeń. Zarówno antropologia jak i duszpasterstwo są adekwatne do doświadczenia człowieka i nauczania Chrystusa przekazywanego przez Kościół. Obie te dziedziny wzajemnie się uzupełniają, co nie znaczy, że dobry duszpasterz winien być filozofem, jak Wojtyła i na odwrót. Ważne jest,

aby obie te dziedziny były oparte na niezmiennym fundamencie Słowa Bożego i respektowały niezmienne pragnienia ludzkiego serca. Istotnie Wojtyła zarówno w pracy naukowej jak i duszpasterskiej opierał się na bezpośrednim doświadczeniu osoby ludzkiej stworzonej z miłości i przeznaczonej do kochania i bycia kochaną. Głównym przedmiotem filozoficznej i duszpasterskiej pracy Karola Wojtyły jest człowiek i jego doświadczenie. W rozmowie z Vittorio Messorim wyznał, że zawsze osoba ludzka była centrum jego zainteresowania, zarówno w pracy naukowej jaki i duszpasterskiej. Szczególną uwagę koncentrował na relacji inter-personalnej, która objawia oblubieńczy charakter człowieka, a która znajduje swoje spełnienie w relacji z drugim człowiekiem lub z Bogiem. Jako papież w Adhortacji Apostolskiej „Mulieris dignitatem" oblubieńczą wspólnotę mężczyzny i kobiety nazwał „jednością dwojga", cielesno-duchową jedność zrodzoną z ich wzajemnej miłości i owocującej we wspólnocie, jaką jest rodzina.

Jak wspomniałam początkiem duszpasterstwa adekwatnego księdza Wojtyły było spotkanie z grupą młodych ludzi grupujących się wokół kościoła św. Floriana. Grupa ta znana dzisiaj jako Środowisko, stanowiła jakby personalną parafię młodego księdza. Wyzna po latach, że to właśnie ci młodzi, nauczyli go kochać ludzką miłość, a możemy dzisiaj powiedzieć, że pozostał wierny tej miłości do końca życia. Młodzi odkrywając powołanie do życia małżeńskiego nie rezygnowali z realizacji od powołania do świętości, czego najlepszym przykładem jest Czcigodny Sługa Boży Jerzy Ciesielski. Rozmowy z młodymi, poznanie ich doświadczenia stanowiły szkołę duszpasterską młodego księdza. Były też inspiracją książki „Miłość i odpowiedzialność" oraz dramatu „Przed sklepem jubilera", opublikowanych w 1960 roku. W przedmowie do książki Wojtyła nazywa swoich młodych przyjaciół współautorami

i uzasadnia wielkie znaczenie doświadczenia, chociaż przyznaje, że w przypadku duchownego jest to doświadczenie pośrednie. „Funkcja doświadczenia jeśli chodzi o genezę książki – pisze autor we wstępie – nie jest wyłączna i jedyna […]. Oprócz doświadczenia, a nawet poniekąd poprzez doświadczenie duszpasterskie działało również drugie źródło. Tym źródłem nadrzędnym jest Ewangelia, a na jej przedłużeniu – nauka Kościoła. Źródło to pracowało na rzecz przemyśleń, podczas gdy doświadczenie dostarczało faktów do konfrontacji z doktryną."[33]

Duszpasterstwo adekwatne harmonijnie łączy studium z bezpośrednim doświadczeniem małżonków i potrafi przekonywająco przekazać Magisterium Kościoła. Dla kardynała, a potem Papieża duszpasterstwo, zrodzone z konfrontacji doświadczenia konkretnych osób z doktryną nie oznaczała jakiegokolwiek redukowania, umniejszania czy zmieniania doktryny. „Doktryna wiary jest cała, albo jej nie ma" – zapisze w swoich notatkach osobistych, 6.9.1974 r. A nieco dalej czyni swoisty rachunek sumienia, który powinien czynić każdy duszpasterz: „Językiem, który się nie przeżywa, jest język Ewangelii. Jest to język, który wzywa do opowiedzenia się za Chrystusem /…/. Jaki jest mój język, którym przemawiam do ludzi? Czy głoszę Ewangelię z pełnym przekonaniem, z pełnym przeżyciem? Czy głoszę ją po to, aby się Bogu podobać, nie ludziom? Wróg ewangelizacji kryje się w słówku: 'prawie'."[34]

Sam starał się zawsze poznawać ludzkie doświadczenie i przemawiać do ludzi w sposób przekonywający. Dzięki duszpasterskiej pracy oraz nawiązanym w jej trakcie przyjaźniom, Karol Wojtyła – pomimo sieroctwa, a potem kapłaństwa – nie był nigdy samotnikiem; 22 lutego

[33] K. Wojtyła, Miłość i odpowiedzialność. Studium etyczne, Kraków, Znak 1962, s. 6.

[34] Karol Wojtyła, Jan Paweł II, „Jestem bardzo w rękach Bożych. Notatki osobiste 1962- 2003, Wydawnictwo Znak 2014, s. 144.

1980 roku (w trzecim roku „zamknięcia" za Spiżową Bramą) zanotował: „Poczucie samotności (List Claudela) przezwyciężać miłością dla ludzi. Non sum solus, Pater, familia humana, Ecclesia"[35]. Jan Paweł II, jak każdy dobry duszpasterz, wychodził ku ludziom, szukał ludzi, rozmawiał z nimi, pytał, nasłuchiwał głosu każdego napotkanego człowieka. Nie bał się rzeczowej krytyki i prosił o uwagi. Święty papież realizował do końca życia duszpasterstwo adekwatne, co widać w Jego nauczaniu, wywiadach i książkach. Trzeba dodać, że zawsze jego duszpasterstwo cechowało ojcowskie podejście do wiernych, a jego niezbędnym elementem była modlitwa. Praca duszpasterska była poprzedzona modlitwą i modlitwą wspierana. W notatkach osobistych pod datą 6 lipca 1977 r. zapisał: „Prośba o Łaskę i światło dla teologii ciała."[36] Od tego dnia do pierwszej katechezy z cyklu: „Mężczyzną i kobietą stworzył ich" (5.9.1979 r.) upłynęły dwa lata, refleksji, studium, a przede wszystkim modlitwy. To pokazuje fundamentalną regułę pracy duszpasterskiej i nauczania Jana Pawła II. Taka reguła tłumaczy pewność i moc magisterium Jana Pawła II. Owa pewność udzielała się wielu młodym, którzy go słuchali i wcielali w życie jego nauczanie.

Mistrz Wojtyły

Podobną pewność i zakorzenienie w modlitwie cechowało duszpasterstwo Sługi Bożego, biskupa Jana Pietraszki (1911-1988), od 1963 roku biskupa pomocniczego Archidiecezji Krakowskiej. Nazywam Jana Pietraszkę mistrzem Karola Wojtyły, chociaż on sam nigdy sobie takiego tytułu nie przypisywał, dlatego że przyszły Papież za takiego go uważał, wyrażając to wielokrotnie publicznie i w prywatnych rozmowach.

[35] Jw. s. 229.
[36] Jw. s. 172.

W miesiąc po wyborze na Stolicę Piotrową, 20 listopada 1978 r., w liście do Pietraszki pisał: „Dziękuję za to, że mi swego czasu pokazałeś, drogi Biskupie Janie, drogę do młodzieży akademickiej. A także za to, że mnie – i wielu innych – stale uczyłeś i uczysz, z jaką czcią, miłością, rzetelnością, należy traktować tę podstawową naszą posługę, która wiąże się z przepowiadaniem słowa Bożego."

Natomiast w liście przesłanym kard. Macharskiemu po śmieci biskupa Pietraszki nazywa go „twórcą współczesnego duszpasterstwa akademickiego w Krakowie". Istotnie to ks. Pietraszko jako pierwszy realizował tę formę duszpasterstwa akademickiego, którą cały świat poznał dzięki biografiom Jana Pawła II.

Jan Pietraszko urodził się w 1911 roku w podbeskidzkiej wsi, Buczkowice, (dziś w diecezji bielsko-żywieckiej). Studiował w Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Krakowie oraz na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1936 roku, a w ciągu pierwszych 10 lat kapłaństwa pracował jako wikary w małych wioskach. Dwukrotnie (w latach 1938-39 i 1943-44) przerywa tę pracę, gdyż arcybiskup Adam Stefan Sapieha wzywa go do Krakowa i mianuje swym kapelanem. Pełniąc tę funkcję, spotyka po raz pierwszy (prawdopodobnie w zimie 1944 roku) Karola Wojtyłę, alumna podziemnego seminarium, który przyszedł na Franciszkańską, by służyć Księciu Arcybiskupowi do Mszy św. W rok po zakończeniu wojny, w 1946 r., arcybiskup Sapieha przenosi księdza Pietraszkę do Krakowa, gdzie zostanie aż do śmierci (1988).

Od pierwszych miesięcy swej pracy w Krakowie, ks. Pietraszko obok funkcji wikarego jest zaangażowany w duszpasterstwo młodzieży, jako kapelan skautów, katecheta licealistów oraz – prefekt alumnów Seminarium i kapelan organizacji studenckiej *Iuventus Christiana*. W styczniu

1948 roku (6 miesięcy przed powrotem Karola Wojtyły z Rzymu) Sapieha mianuje go kapelanem akademickim przy kolegiacie uniwersyteckiej św. Anny. Z tym kościołem będzie odtąd stale związany: najpierw jako duszpasterz akademicki, potem jako proboszcz (którym pozostanie nawet po nominacji biskupiej w 1962 r.) a wreszcie – jako emeryt – rezydent. W tym kościele, zgodnie w jego życzeniem, został pochowany pod ołtarzem Zdjęcia z Krzyża, kilka metrów od miejsca, gdzie złożona została urna z prochami Czcigodnego Sługi Bożego Jerzego Ciesielskiego i jego dwojga dzieci. Proces beatyfikacyjny Ciesielskiego i Pietraszki toczy się w Kongregacji do Spraw Kanonizacyjnych.[37]

Pietraszko pracował w okresie gdy – jak to określił – władza państwowa „ nie była z ludźmi" (*Medytacje w drodze*, 279), a katolicy byli traktowani jako obywatele drugiej kategorii. Początek misji Sługi Bożego zbiega się w czasie z początkiem największych prześladowań w historii Kościoła polskiego, który przetrwał okres komunizmu dzięki takim ludziom, jak on. Należy on do tych proroków, o których Leon Bloy mówił, że nie zajmują się fantazjowaniem na temat przyszłości lecz troszczą się o teraźniejszość. Istotnie ks. Pietraszko nie traci czasu na przewidywanie politycznych wydarzeń, lecz nieustannie, *hic et nunc*, poświęca się całkowicie służbie Bogu i ludziom, aby ich bronić przed ateistycznym totalitaryzmem. Nie zamyka się w zakrystii, nie opuszcza młodych lecz razem z nimi szuka nowego sposobu kontynuowania duszpasterstwa, które nie tylko trwa lecz ubogaca się o nowe inicjatywy i formy „wymuszone" przez obiektywną sytuację polityczną. Z ogromnym poczuciem odpowiedzialności i duszpasterskim geniuszem prowadzi swą działalność

[37] Więcej informacji można znaleźć na stronie internetowej Kolegiaty Uniwersyteckiej św. Anny w Krakowie, gdzie można również odsłuchać nagrań niektórych kazań.

w ten sposób, że władze nie mogą jej przeszkodzić ani powstrzymać. Nie opracowuje żadnego programu, jego duszpasterska posługa nie jest owocem teorii, ale dynamicznym, realnym życiem z młodymi, z którymi kapłan dużo się modli i rozmawia, dzieląc ich niepokoje i radości. Jest to duszpasterstwo wolne od biurokratycznych struktur i formalistycznych dywagacji, oparte na szczerej przyjaźni i wzajemnym zaufaniu, które są najlepszą obroną przeciwko zakusom służalców reżimu. Jest to duszpasterstwo niezwykle owocne pomimo przesłuchań oraz nieustannej inwigilacji jakimi tajne służby nękały licznych studentów, a przede wszystkim ich duszpasterza. Młodzi, objęci taką opieką pasterską. nie ulękli się ani prześladowań ani dyskryminacji w życiu zawodowym.

Ks. Pietraszko staje się dla nich nie tylko kierownikiem duchowym, ale także najważniejszym wychowawcą i wiernym przyjacielem, na którego można zawsze liczyć. Jest serdeczny a zarazem wymagający, cieszy się ogromnym autorytetem chociaż nie jest autorytarny. Spieszy z pomocą studentom również w ich kłopotach finansowych, pomagając dyskretnie, bez poniżania, kosztem rezygnacji ze swoich potrzeb. Prowadził bardzo skromny tryb życia, ale nie afiszował się z tym; ci, którzy odwiedzali jego dwupokojowe mieszkanie przy wspólnej jadalni, zapamiętali głównie „zużyty" klęcznik.

W swoim nauczaniu ks. Pietraszko koncentruje się na Ewangelii oraz na życiu duchowym, w które żaden totalitaryzm nie może ingerować. Przypomina swoim słuchaczom, że wnętrze człowieka jest świątynią Bożą „ziemią wolności, może ostatnią ziemią wolności, którą trzeba obronić, byśmy spełnili Boży plan w czasie, który jest nam dany jako czas naszego życia" (*Po śladach Słowa Bożego, Rok A*, 316)[38].

[38] Cytowane przeze mnie fragmenty kazań ks. Pietraszki pochodzą z trzynastu tomów wydanych przez Wydawnictwo św. Stanisława Archidiecezji Krakowskiej.

Angażuje młodych w coraz bardziej intensywne życie sakramentalne oraz liturgię, dużą uwagę przywiązuje do poznania chrześcijańskiej kultury. Dwa razy w tygodniu organizuje konferencje na tematy religijne i kulturowe. Rekolekcje Adwentowe poświęcone są tematyce związanej z przygotowaniem do małżeństwa. Natomiast w Wielkim Poście odbywają się dwa, trzy cykle rekolekcji, głoszonych przez samego duszpasterza akademickiego lub zaproszonych kapłanów, od lat 50-tych m.in. przez księdza, a potem kardynała Wojtyłę.

Jan Pietraszko pomaga przetrwać duchowo oraz pogłębić lub odnaleźć wiarę. Dzięki jego posłudze duszpasterskiej wielu studentów i naukowców pozostało w Kościele lub do Niego wróciło. Głównym celem jego działania jest utwierdzenie w wierze i umocnienie nadziei katolików, surowo prześladowanych, a także kuszonych łatwą karierą i propagowanych przez reżim relatywizmem moralnym. Ks. Pietraszko dostrzega wszystkie te zagrożenia i reaguje na nie. Potrafi wyzwolić studentów, uczonych oraz intelektualistów z komunistycznej niewoli, stwarzając dla nich duchową przestrzeń absolutnej wolności. Jako odpowiedź na walkę z Kościołem proponuje „milczącą godność wewnętrzną, która się nie da złamać przemocą" (*Rok C*, s. 340). W ten sposób osiąga się zwycięstwo, które „przetrwa wszystkie inne zwycięstwa" (ibid. 341). Należy dodać, że formacja duchowa szła w parze z formacją kulturową; konferencje w kościele św. Anny głosili wybitni pisarze i intelektualiści katoliccy, studiuje się dzieła klasyków literatury polskiej i światowej, które zostały usunięte z programów szkolnych a nawet ich lektura w domach były surowo zakazana.

Ich pełne tytuły i rok wydania znajdują się również na stronie internetowej Kolegiaty.

Ks. Pietraszko istotnie stworzył wokół siebie ziemię wolności, enklawę suwerennej Polski, gdzie wychowały się dwa pokolenia katolików tworzących polską elitę intelektualną i polityczną po upadku komunizmu.

Godność człowieka

Ks. Pietraszko broniąc wiary, bronił zarówno Boga jak i człowieka, wiedząc, że ideologia komunistyczna tak, jak „wszelkie ateizmy jest zawsze jakąś samoobroną człowieka przed wielkością, jaką mu przyniósł Chrystus, przed tym modelem szczęścia, jakie Bóg człowiekowi oferuje" (*Rok C*, s. 243). Takie stwierdzenia nie oznacza wtrącania się do polityki. Duszpasterz często przypomina wiernym, że „zadaniem Kościoła jest prezentować Chrystusowe prawdy (C, s. 132). „Ziarna prawdy, rzucone w duszę, nie są wrogiem, niczego, co ludzkie; natomiast wszystko to, co usiłuje zająć pozycję równorzędną z Bogiem, jest wrogiem, aż do śmierci, aż do zniszczenia wszystkich spraw Bożych i ostatecznie wszystkich spraw ludzkich w człowieku." (Królestwo Boże, s. 13)

Jest głęboko przekonany – i świadczy o tym słowem i czynem – że kapłan nie powinien współpracować z politykami lecz z Chrystusem i dlatego powinien zawsze być sprzymierzeńcem człowieka, opowiadać się solidarnie po stronie człowieka. Takie zadanie stanowi logiczną konsekwencję istoty Kościoła jako „wspólnoty rodzinnej Boga z człowiekiem […] opartej o ojcostwo Boga, o braterstwo Chrystusa i o rodzinną miłość w Duchu Świętym" (C. s. 139).

A-polityczność ks. Pietraszki nie oznacza obojętności wobec rozlicznych zagrożeń ze strony ideologii komunistycznej. W swoich kazaniach demaskuje wszelkie kłamstwa i potępia różne sposoby dyskryminowania katolików. Mówi: „na naszych oczach zrehabilitowano nienawiść, jako społeczną siłę napędową życia jednostkowego i grupowego" aby

„ułatwić i utrwalić zwycięstwo ideologii ku pożytkowi i dobru pewnej grupy ludzkiej – kosztem innej" (B. 189).

Jako odpowiedź nie proponuje walki zbrojnej ani też manifestacji ulicznych lecz świadectwo wiary i życia zgodnego z ewangelicznym przesłaniem. Nie ma pośredniej drogi, nie ma miejsca na żaden kompromis. „Chrystus pragnie nas przestrzec, byśmy nieświadomie nie współpracowali i nie byli nieświadomymi, mimowolnymi sprzymierzeńcami księcia tego świata" (B. 190).

Programem duszpasterskim ks. Pietraszki jest cała Ewangelia, a proponowaną regułą życia – Dziesięć Przykazań, nie wyłączając przykazania o miłości bliźniego, którym w ówczesnych realiach polskich mógł być również agent bezpieki. Uświadamia chrześcijanom, że mają w ręku potężną broń miłości, którą mogą walczyć z nienawiścią, stanowiącą podstawę rządowego programu. „Nienawiść rodzi się zawsze z doczesności – tłumaczy Pietraszko – z ograniczenia, z zawziętości, która stawia granice […] a miłość rodzi się z nieskończoności, miłość rodzi się z wolności […] rodzi się z Boga i dlatego zawsze będzie miała ostatnie słowo" (*Otwarte Serce Chrystusowe,* s. 106).

Kapelan studentów i naukowców zachęcał ich do zdobywania tej wiedzy o człowieku, którą przekazuje Chrystus, to znaczy wiedzy, która bierze pod uwagę powołanie człowieka do miłości oraz do życia w Domu Ojca Niebieskiego (cfr. Rok A, s. 164). Żaden system polityczny nie może przeszkodzić w takich studiach.

W czasie ciemnej nocy komunistycznej niewoli ks. Pietraszko prowadzi młodych ku ziemi wolności oświeconej światłem Chrystusa. Prowadzi jak ojciec, miłujący i wymagający, prowadzi tak, że nie zdradza ani człowieka ani Boga. W swoim nauczaniu ukazuje chrześcijańskie przesłanie jako źródło nadziei wbrew wszelkiej nadziei. Mówi z wielką

mocą; „Jesteśmy ludźmi nadziei. Nie mamy prawa mówić, że tego się nie da zrobić / w takim ustroju politycznym […] bo także i teraz potrafimy okazać naszą przynależność do Boga i ewangeliczną mądrość skłonną do zgody." (B. 297).

Charyzmatyczny duszpasterz doskonale widzi i rozumie trudności oraz niebezpieczeństwa, na jakie są narażeni jego uczniowie. Mimo to nie aprobuje chrześcijaństwa „ułatwionego", wymaga przestrzegania wszystkich bez wyjątku Bożych przykazań i akceptacji całego Magisterium Kościoła. Jako ważne zadanie chrześcijan uważa przypominanie innym, a szczególnie „braciom ateistom", że „Bóg szuka każdego człowieka […] nie dlatego, że człowiek do Niego należy jako rzecz, ale dlatego, że istnieje jakieś tajemnicze pokrewieństwo pomiędzy człowiekiem a Bogiem, że Bóg go stworzył po to, żeby go rodzinnie kochać i uczynić szczęśliwym" (C. 42).

Zadaniem chrześcijan jest obrona boskich praw każdej osoby ludzkiej. Ks. Pietraszko przygotowuje młodych do tego zadania, wychowując ich na chrześcijan odważnych i dojrzałych. „Dojrzałość naszej wiary polega na tym, żeby Go [Chrystusa] widzieć i żeby z Nim uzgadniać wszystko, co się w naszym życiu dzieje." (O. S. s. 41). Tylko odważny i dojrzały chrześcijanie potrafi pokazać niewierzącym Boże prawdy „w sposób godny, z miłością, nie upokarzając nikogo".

Ks. Pietraszko uczy codziennego świadectwa i wierności nauczaniu Chrystusa, uważając to za najważniejszą misję polskich katolików, bo godne świadectwo jest ważniejsze niż jakakolwiek dyskusja. „Nie mówcie za dużo o Bogu – radzi – nie kłóćcie się za dużo o Pana Boga, ale żyjcie – żyjcie prawdą i żyjcie łaską." (O. S. s. 22) Taka postawa stanowi najlepszą odpowiedź na hałaśliwą propagandę ateistyczną, a myślę, że na każdą antychrześcijańską propagandę w każdym czasie i miejscu.

Miłość ludzka

Ks. Pietraszko bardzo dużo uwagi poświęca wychowaniu młodych do życia w małżeństwie i rodzinie, bo jest głęboko przekonany, że kryzys małżeństwa i rodziny stanowi dla jego rodaków większe zagrożenie niż trudności ekonomiczne spowodowane błędną polityką oraz represje reżimu. Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie zagraża osobie ludzkiej, której wielka godność jest zagrożona nie tyle w społeczeństwie co w rodzinie. Tam mężczyzna i kobieta są bezpośrednio zaangażowani w walkę przeciwko pokusom ideologii komunistycznej ale także tej formy współczesnej kultury, która stara się narzucić karykaturę chrześcijańskiego modelu relacji między mężczyzną a kobietą oraz ich wzajemnej miłości. To ostatnie zagrożenie pojawiło się znowu dzisiaj.

Duszpasterz studentów i naukowców wymaga, ażeby nie przestrzegali tych przepisów prawa, które są skierowane przeciwko godności osoby ludzkiej, a szczególnie temu prawu, które czyni z człowieka „sędziego i kata" dziecka w łonie matki. Aby stworzyć rodzinę, zdolną do obrony przeciwko każdemu Herodowi i każdemu Cezarowi, trzeba umieć kochać. Ks. Pietraszko proponuje trudny ideał; kochać drugiego człowieka tak, jak go kocha Bóg. W ten sam sposób i tymi samymi słowami tłumaczy młodym miłość między Bogiem a człowiekiem oraz między mężczyzną i kobietą, ukazując podobieństwo człowieka do Boga także i w tej dziedzinie. Pokazując Boga „zakochanego" w człowieku, uczy chłopców i dziewczęta, jak można zakochać się w ten sam sposób.

Przekazuje młodym przyjaciołom swoje mocne przekonanie, że czysta miłość jest możliwa w ich epoce, w ich sytuacji, bowiem rodzi się na ziemi wolności, którą zdobyli i winni jej bronić. Znawca ludzkich serc, potrafi rozbudzić i umocnić ich pragnienie miłości podobnej miłości Bożej. „Miłość jest najszlachetniejszą twórczością ducha ludzkiego,

a pod pewnym względem również najkosztowniejszą twórczością: jej ceną jest cały człowiek. Miłość nigdy nie przychodzi z zewnątrz, spoza człowieka. Jest tylko jedna rola, która rodzi miłość, a jest nią głębia człowieczeństwa, w której działa myśl i wolność" (A. 278), Gdy jeden człowiek mówi drugiemu, że go kocha, a neguje lub wręcz niszczy jego boską godność, to znaczy, że kłamie, że nie kocha. „Prawdziwa miłość zawsze jest zbudowana na prawdzie" (OS. s. 120).

Bóg, stwarzając człowieka na swoje podobieństwo, obdarzył go tak wielką godnością, że nie może się stać własnością drugiego człowieka. A zatem „nikt nie ma prawa wziąć drugiego człowieka na taką bliskość, jaką jest małżeństwo, tylko we własnym imieniu. Nikt też nie ma prawa dać siebie, nawet w największej miłości, drugiemu człowiekowi i tak się z nim związać, jak to ma miejsce w małżeństwie, tylko we własnym imieniu. To Bóg przyprowadza człowieka człowiekowi, uczyniwszy go przedtem równym w godności. […] równym pod każdym względem. […] Przyprowadził Ewę Adamowi i sam mu ją dał jako swój dar, jako pełnoprawnego, równego w godności i prawach człowieka". (B. s. 309)

Tak więc mąż i żona najpierw należą do Boga, a dopiero potem – jedno do drugiego. Sakramentalność małżeństwa polega na tym, że mężczyzna przyprowadza do ołtarza kobietę i zaprasza Boga do ich wspólnoty, ufając, że dzięki Bożej pomocy będzie jej wierny aż do śmierci. Na końcu życia Pan Bóg każdemu z nich każe zdać sprawę z tego, co zrobili z Jego umiłowanym stworzeniem. Duszpasterz studentów sugeruje nowożeńcom takie oto słowa, z jakimi mogliby zwrócić się do Boga: „przyprowadzam Go (ją) przed Twoje oblicze, abyś mi go (ją) dał, bo ja tylko z Twojej ręki mogę przyjąć Twoją własność i tylko z Twoim dekretem uczynić go swoim." (B, s. 310)

Logiczną konsekwencją takiej wizji małżeństwa jest uznanie pożycia przedmałżeńskiego za kradzież człowieka „za plecami Boga", bez Jego zgody, a niewierność małżeńską za nielegalne przywłaszczenie sobie kogoś, kogo Pan Bóg już ofiarował komuś innemu.

Czysta i wierna miłość jest piękna ale wymaga nieustannej pomocy Boga i ludzi. „Żadna miłość pomiędzy osobami nie jest nigdy stanem spokojnego posiadania. Ale jest nieustannie powracającym pytaniem. Jest nieustannie oczekiwaną odpowiedzią. Jest ciągle powtarzającym się wyborem. Jest ciągle odnawianą decyzją przyjmowania od kochanej osoby. […] Miłość jest z wolności, a wolność jest co dnia pytaniem: co może wybrać człowiek? […] Miłości nie wystarczy jedno pytanie. Miłości nie wystarczy jedna odpowiedź. Miłość będzie ciągle pytać […] miłujesz?" (OS, s. 168).

Ks. Jan tłumaczy, że ludzkiej miłości nie wystarczy pomoc struktur społecznych i nauki. Ludzkie mądrości się starzeją i są zastępowane nowymi, ale „Bóg się nie starzeje i nie starzeją się prawdy i prawa przez Niego nadane. Tak jak nie starzeje się nigdy wiosna, która wraca nowymi kwiatami i nową nadzieją owocu, tak nie starzeją się ludzkie serca. […] Można mieć pretensje do barbarzyńców, którzy wiosnę niszczą i mówią, że odtąd nie będzie wiosny […] że nie potrzebujemy już kwiatów, wiosny i tej nowej zieleni pełnej nadziei" (C, s. 165). Barbarzyńcy niszczą nadzieję na możliwość przeżycia pięknej, czystej miłości. Mistrz młodych ludzi chce im przekazać „kulturę czystego serca", która im zapewni szczęście.

Ks. Pietraszko zdaje sobie doskonale sprawę i pokazuje to wiernym, jak nauczanie Kościoła o miłości ludzkiej stało się celem niezliczonych ataków i kontestacji ze strony współczesnej kultury (nie tylko w krajach komunistycznych) w różnych środowiskach i w różnoraki sposób. Miłość ludzka została przysypana taką ilością śmieci, że trudno już

dostrzec jej pierwotne, boskie piękno. Przyjaciel i mistrz młodych nie poprzestaje na tych pesymistycznych stwierdzeniach, ale przekazuje im to co widzi i słyszy, mówi, że także i współcześni ludzie „z wielkim wysiłkiem rozgarniają te śmieci i głoszą, że uczynią wszystko, by miłować dobrze i żyć szczęśliwie. „Ile razy młodzi rozgarniają śmieci i głoszą, że wierzą w szczęście, tyle razy prorokują" (C, s. 159). Młodzi „prorocy" świadczą o tym, że człowiek nigdy nie potrafi zapomnieć, że został zrodzony z miłości i nosi w sobie pamięć o tym początku. Ich duszpasterz surowo, ale zarazem serdecznie prosi młodych, aby nie zadowalali się miłością, która ogranicza się do ciała. Zapewnia ich, że pomimo niesprzyjających okoliczności, wbrew „nieszczęsnym uczonym", którzy ogłaszają śmierć takiej miłości, jaką zamyślił Bóg, miłość ta nie zginie, gdyż żyje w ich sercach i pokazuje, że powołaniem człowieka jest miłość.

Ksiądz Pietraszko, modląc się i rozmawiając z młodymi stara się umocnić ich pragnienie miłości podobnej do boskiej i pragnienie zachowania czystości serca. Przygotowuje ich do małżeństwa od pierwszego roku studiów poprzez kazania, konferencje, a także osobiste rozmowy. Uczy ich a zarazem słucha, prowadzi i towarzyszy im w radościach i kłopotach. Towarzyszy rodzinom swoich uczniów. Cieszy się z narodzin każdego dziecka, które nazywa „ważniejszym wydarzeniem niż wszystkie inne zjawiska na tej ziemi" gdyż „w świecie bytu zjawia się nowa osoba, nowa nieśmiertelność. Ktoś taki, do kogo Bóg miłujący chce powiedzieć: synu umiłowany." (*Medytacje* s. 313)

Przypomina, że to Pan Bóg jako pierwszy cieszy się z narodzin dziecka i jako pierwszy je miłuje. Odblask tej Bożej miłości i radości możemy dostrzec w macierzyństwie. „Każde macierzyństwo to pojedynek przeszłości z przyszłością, pojedynek nadziei z rozpaczą. Jest ono bowiem zawsze obrazem przyszłości i stawia na przyszłość. […] Chrześcijaństwo

będzie zawsze wierne macierzyństwu. Jest ono i zawsze będzie wyczulone na każde zagrożenie macierzyństwa" (B. s. 362)

Baczny obserwator współczesnego świata, dostrzega niebezpieczeństwo zagrażające suwerenności i godności człowieka od momentu poczęcia, tam, skąd „wypływa święta rzeka życia, nie bez bezpośredniej obecności Pana Boga" (C, s. 101). Jest szczególnie zaniepokojony, gdy słyszy jak uczeni mówią o „człowieku przyszłości, który mógłby być sterowany od samego początku w swoim rozwoju nie przez matkę, ale przez technikę i naukę" (B, s. 362). Dziś wiemy, że owo sterowanie dokonuje się i pragnie uzyskać pieczęć prawomocności.

Jako skuteczną obronę macierzyństwa proponuje zastąpienie socjologicznych analiz wzajemną pomocą i docenianiem roli kobiety, która stanowi „rzeczywisty, egzystencjalny węzeł wspólnoty i jedności wspólnoty rodzinnej" (C, s. 370). Najlepszym środowiskiem takiej obrony jest Kościół. Dlatego ks. Pietraszko gromadzi młodych wokół ołtarza, aby tam nauczać prawdy o małżeństwie i rodzinie. Uważa dom rodzinny za swego rodzaju świątynię i dlatego często porównuje stół, wokół którego gromadzi się rodzina na posiłki do ołtarza, gdzie żywi się Chlebem Eucharystycznym. Zapewnia, że Chrystus towarzyszy wspólnocie rodzinnej jak uczniom w drodze do Emaus i zawsze przyjmuje zaproszenie pozostania z nią, gdy „ma się ku wieczorowi".

Biskup Jan uczestniczył w dwóch sesjach Soboru Watykańskiego II i doskonale znał nastroje na Soborze oraz towarzyszące mu manipulacje przez ludzi niewierzących, a szczególnie przez mass media. Zacytuję tylko kilka zdań, bo są niezwykle aktualne również dzisiaj, po ostatnim Synodzie. Wyraźnie odpowiadał na oczekiwania niektórych „letnich" chrześcijan, inspirowanych głównie prasowymi dywagacjami, że po soborze Kościół zmieni swoje nauczanie o małżeństwie i rodzinie.

W styczniu 1963 roku mówił: „Po Soborze ludzie spodziewają się, że Kościół się zorientował, że jest zacofany i „będzie zmieniał przykazania, będzie zmieniał sakramenty, zwłaszcza to nieszczęsne małżeństwo: Moi drodzy. Nie! Nie będzie żadnych. Nie miejcie złudzeń! To, co wyszło z ust Bożych i zostało raz powiedziane, nie zmieni się. Ani jota, ani kreska, bo Pan Bóg jest ciągle taki sam" (*Zawierzyć Chrystusowi*, s. 110). Zmienią się tylko wtórne, trzeciorzędne i czwartorzędne szczegóły a doktryna się nie zmieni. Bo Pan się nie zmienia i nie zmienia swoich praw. To niektórzy ludzie chcieliby zmusić Pana Boga, żeby „nauczył się chodzić krzywymi drogami", bronią dopuszczalności rozwodu, przerywania ciąży „bronią innych słabości żenujących" aby „przymusić" Pana Boga: A wszystko to w "imię nowoczesności, w imię dotrzymania kroku dzisiejszemu światu, w imię współczesności" (C, s. 19-20). Zwolennicy takich „reform" podpierają się „nawet racjami niektórych teologów" – zauważa Pietraszko i charakteryzuje te „nowoczesne teologie" jako „teologie hodowane w prywatnych ogródkach, teologie wydumane z ludzkiego doświadczenia i rozumu zamiast z Objawienia" (C, s. 183). Przestrzega, że takie teologie chcą się oddzielić od Ewangelii (C, s. 183), co oznacza, że odchodzą od Bożego planu miłości i małżeństwa, a głoszą to, co głosi świat, a nie Bóg. Nawet niektórzy kapłani – inspirowani owymi teologami „doprowadzają do tego, że ludzie młodzi, wierzący, żyjący Komunią św., bardzo często żyją ze sobą bez najmniejszych skrupułów" (C, s. 184) mówi Biskup Jan w 1974 roku. Takie teologie chcą „przekręcać Ewangelię" (Gal 1,6). Biskup Jan przypomina: „Chrystus przyszedł na świat nie po to, żebyśmy Go przycinali i zmieniali, przystosowując Go do dzisiejszych czasów, tylko żeby On nas zmienił do miary Królestwa Bożego" (C, s. 185). Pietraszko natrudził się bardzo, żeby nauczyć młodych miłować tak, jak tego uczy Bóg, bo wiedział, że

tylko wtedy będą szczęśliwi na zawsze. Nie ukrywał, że mowa Chrystusa to „twarda mowa", bo nie ulega ludzkim słabościom; Chrystus pragnie te słabości zamienić w wielką moc. Dlatego duszpasterz młodych przekonywał, że warto zaprosić Chrystusa do wspólnoty małżeńskiej i rodzinnej i być z Nim „na zawsze".

Ze szkoły Sługi Bożego wyszło wielu „absolwentów", którzy w życiu rodzinnym i społecznym realizowali jego nauczanie. Może dzisiaj warto wrócić do szkoły Biskupa Jana, aby wychować odważnych i wolnych ludzi zdolnych żyć Ewangelią w demokratycznym kraju. Aktualne zagrożenia są trochę inne, ale niemniej niebezpieczne .

Można dzisiaj, w 2015 roku powtórzyć słowa ks. Jana z lat 70-tych ubiegłego wieku: „Chrystus dziś potrzebuje świadków i świadectwa, potrzebuje uczniów, którzy się do Niego przyznają. […] Spodziewa się, że nie będziemy bezmyślnymi, wygodnymi uczniami, którzy zostawili Ewangelię w swoim prywatnym mieszkaniu i pojechali w świat bez niej". (A. 186).

Ks. Abp Wacław Depo

Wychowywać do odczytania powołania

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Chciałbym bardzo serdecznie podziękować za zaproszenie do wygłoszenia prelekcji. Wyrażam również radość ze spotkania z Wami na XXVI już Forum Szkół Katolickich tutaj, na Jasnej Górze. Cieszę się, że mogę do was, jako dyrektorów i reprezentantów waszych wspólnot, skierować przesłanie, które zostało mi zadane, a mianowicie: wychowywać do odczytania powołania.

Ojciec Święty Jan Paweł II, dziś już kanonizowany, przemawiając do nas w październiku 1980 roku na zakończenie trwającego wówczas Synodu biskupów poświęconego rodzinie chrześcijańskiej, powiedział między innymi takie słowa: „Kościół jest przekonany, że głosząc i pogłębiając naukę o rodzinie spełnia swoją posługę wobec wszystkich ludzi. Kościół zdradziłby człowieka, gdyby nie głosił swego orędzia na temat rodziny".

Przyjmujemy te słowa jako kolejne wyzwanie po Synodzie biskupów też na temat rodziny, który miał miejsce w październiku tego roku w Rzymie. Przyjmujemy je jako wezwanie, aby na nowo odczytać

prawdę o naszym chrześcijańskim powołaniu, a przede wszystkim o charakterze rodziny. Bo jeśli dzisiaj oczekujemy kolejnej odnowy naszego społeczeństwa, naszego Narodu, to musimy sobie szczerze i wyraźnie powiedzieć, że ta przemiana nie przyjdzie z tej czy tamtej strony, od jakichś programów politycznych czy reform społecznych. Ona musi narodzić się z prawdy o nas samych. Prawdy, która płynie do nas z tajemnicy Bożego Objawienia zawartego w księgach Starego i Nowego Testamentu. To jest najgłębsze źródło kultury moralnej ludzi i narodów. Człowiek bowiem jest obrazem Boga, istotą stworzoną na Jego podobieństwo. Jest zależny w swoim rozwoju od rozpoznawania Bożego obrazu w sobie. Trzeba, abyśmy kształtowali swoje człowieczeństwo na tę ludzką i zarazem Boską miarę.

Zatem pierwszym zadaniem, które dotyka każdego z nas i każdego człowieka naszej drogi – to przyjąć siebie jako istotę stworzoną na obraz i podobieństwo Boga, obdarowaną ciałem, świadomością, wolnością a jednocześnie otwartą na miłość. Dopiero wtedy rozumiemy, że już w naszej ludzkiej naturze z podobieństwa Bożego wynika nasze powołanie do życia jako daru podstawowego i do świętości, która realizuje się poprzez miłość na różnych drogach powołań: w małżeństwie, w kapłaństwie, w życiu konsekrowanym czy w samotności.

Moi Drodzy! W ostatnich spotkaniach z księżmi bardzo mocno to podkreślałem, że trzeba w naszej pracy zwłaszcza z dziećmi, czy młodzieżą, odczytując program aktualnych przygotowań do Światowych Dni Młodzieży, wrócić do Listu Jana Pawła II do ludzi młodych. Był on i jest dla ludzi młodych fundamentem – można powiedzieć – takim impulsem i wskazaniem drogi w odczytywaniu własnego powołania. Wspomniany List zaczyna się bardzo pięknym przesłaniem, o którym zapewne wiemy. A mianowicie, żebyśmy zdali sobie sprawę z nadziei,

która jest w nas i umieli obronić tę nadzieję wobec tych, którzy się tej nadziei od nas domagają. Czyli krótko mówiąc, znowu wracamy do podstawowego obrazu człowieka, jakim jest każdy z nas stworzony na podobieństwo Boga. Dlatego podkreślał tam Papież, że młodość jest bogactwem i czasem szczególnego stawiania pytań o wartość i sens życia, o najlepszą drogę spełnienia siebie. A stawiać sobie egzystencjalne pytania, to jest początek drogi. Cała wartość młodości polega na tym, że na te istotne pytania, pragnie ona odpowiadać kształtem własnego serca, kształtem własnego życia. Stara się dać własną, oryginalną odpowiedź. Młodzież z kolei wymaga i oczekuje od dorosłych w miarę pełnej prawdy o życiu, o świecie i o sobie. Ojciec Święty charakteryzując dalej ten etap życia podkreśla: „Młodość to czas potencjalności konkretnego człowieczeństwa, w którą wpisany jest jakby projekt przyszłego życia. Jest to bogactwo odkrywania, ale zarazem planowania, przewidywania i wybierania, podejmowania pierwszych własnych decyzji, które mają znaczenie dla przyszłości".

Doświadczamy tej prawdy, że Ojciec Święty we wspomnianym Liście zabrał głos w imieniu Kościoła, który ze szczególną troską pochyla się nad ludźmi młodymi, którzy są w zakresie naszego współodpowiedzialnego powołania. Kościół występuje tutaj jako stróż podstawowych prawd i wartości, a zarazem tych odwiecznych przeznaczeń, jakie człowiek i wielka rodzina ludzka ma w Bogu samym.

Moi Drodzy! Stawiamy sobie to bardzo podstawowe pytanie, które wiele razy już tutaj powracało: Na czym polega wychowanie do rozpoznawania powołania? W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie nie można pominąć dwóch fundamentalnych prawd. Po pierwsze, że człowiek jest powołany do życia w prawdzie i miłości. A po drugie, że każdy z nas urzeczywistnia się poprzez bezinteresowny dar z siebie samego.

Uważam, że chyba nie ma piękniejszego tekstu, który w każdym spotkaniu można dzisiaj zadać sobie i ludziom młodym, jak fragment Konstytucji „*Gaudium et spes*", nr 24. Człowiek jest jedynym w świecie stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego. I dlatego człowiek nie może siebie odnaleźć inaczej, jak poprzez bezinteresowny dar z siebie. Jeśli człowiek – to jest każdy z nas – uwierzy, że Bóg mnie kocha bardzo osobiście, to ja będę robił wszystko, żeby odkryć Jego plan zbawienia, który ma wobec mojego życia. Bo to nie jest przypadek, to nie jest tylko jakiś etap ewolucji. To jest plan Boga, i to plan urzeczywistnienia się Jego miłości poprzez konkret życia każdego człowieka.

Oczywiście pomijam tutaj każde wejście w zło i wolność, która wybiera zło. My mówimy teraz o powołaniu, o planie i zamyśle Boga samego względem każdego z nas. Dlatego te prawdy odnoszą się zarówno do nas, którzy wychowujemy innych, jak i do tych, którzy są wychowywani. Również wychowanie jest procesem, w którym dochodzi do głosu wzajemna komunia osób. Wychowawcą jest osoba, która „rodzi" w znaczeniu duchowym. Przepięknie mówi o tym Święty Paweł w swoim *Liście do Galatów*: „rodzę was, żeby Chrystus ukształtował się w każdym z was". To znaczy, że ja robię wszystko, żeby każdy poddany mojej trosce wychowanek odkrył Chrystusa jako drogę swojego życia, jako przewodnika, który ma dla jego życia najlepszy plan i najlepszy projekt, prowadzący do prawdziwego szczęścia.

Proszę Państwa, żeby nie przedłużać mojego wystąpienia, które z pewnością będzie kiedyś dostępne do własnej lektury, chciałbym wskazać na pewne błędne koncepcje wychowania, funkcjonujące we współczesnym świecie, które nie pomagają młodym rozpoznawać własnego powołania. Wspomniane tutaj koncepcje wychowania mogą być nazwane również mitami czy utopiami. Wskażę tylko na kilka z nich.

Po pierwsze, bardzo często w pedagogice występuje mit o spontanicznym wychowywaniu i spontanicznej samorealizacji. To jest bardzo groźna teoria. Kiedy my realizując swoje powołanie na jakimkolwiek etapie życia mówimy, że „chcę się samozrealizować", to jest tak, jakbyśmy powiedzieli: „chcę się sam na nowo stworzyć". Ja mam się wczytać w plan Boga, który jest planem miłości, i to miłości zbawczej, a nie tylko stwórczej i starać się go realizować w życiu.

Drugim mitem jest wychowywanie, z którym sami często się spotykacie, tak zwane wychowanie bezstresowe. To znaczy wychowywanie bez stawiania granic i wymagań również w dziedzinie moralnej. To są niebezpieczne trendy, które dzisiaj są przekazywane do umysłu i serca ludzi młodych. Bardzo wielkim niebezpieczeństwem, chociażby w kontekście ostatnich naszych przeżyć i wyborów jest również tak zwana neutralność światopoglądowa w wychowaniu. Jest tutaj obecny Pan europoseł, Pan Marek, jako były marszałek Sejmu i wiemy, jak te wspomniane tendencje są na nowo odgrzewane w sejmach obecnej czy innej kadencji. Chodzi o to, aby oddzielić religię i wiarę od jakiegokolwiek publicznego jej wyznawania. Neutralność światopoglądowa, czy też szkoła laicka…, Tak jak ostatnio pokazywano dziewczynkę, która trzymała transparent z napisem: „Wolna szkoła, religia do kościoła".

To nie są programy wychowania, to są mity, fikcje i kłamstwa. Już kiedyś to przeżywaliśmy, że czego innego uczono w szkole, co innego mówiono w domu i jeszcze inaczej nauczano w Kościele. To jest po prostu absurd, jakaś schizofrenia, dzielenie człowieka, a nie integralne wychowywanie, które prowadzi do harmonijnego rozwoju. Integralny system wychowania kształtuje człowieka o dojrzałej osobowości, który ma poczucie własnej wartości, potrafi dokonywać w życiu właściwych wyborów, postępuje mądrze i odpowiedzialnie, zgodnie ze swoim

światopoglądem. A światopogląd to jest zespół przekonań danej osoby, czy grupy na temat tajemnicy świata, człowieka, hierarchii wartości, podstawowych zasad moralnych, sensu życia.

Innym bardzo niebezpiecznym trendem jest traktowanie wolności, demokracji i tolerancji jako najwyższych wartości w życiu społecznym, w relacjach międzyludzkich i w wychowaniu. Pamiętam, jak kiedyś ksiądz profesor Marek Dziewiecki był atakowany za krótką ripostę, której udzielił w telewizji, mówiąc, że dzisiaj tolerancja to jest zakaz mówienia o złu – zakaz. Jak się tylko mówi o granicy pomiędzy dobrem i złem, to już się jest człowiekiem, którego trzeba przestać słuchać. Tak jest chociażby w przypadku Magisterium Kościoła jako stróża prawdy i wartości.

Kolejna błędna tendencja to subiektywizm, czyli twierdzenie, że każdy ma swoją prawdę, i każdy ma swoje sumienie. Te nie są programy wychowania młodego człowieka, a raczej wprowadzanie go w błąd, co prowadzi młodych ludzi do zagubienia w życiu. Albowiem uleganie tym mitom, ideologicznym systemom prowadzi do kryzysu wychowania i wyrządzania krzywdy wychowankom. Także w Polsce – jak wiemy – jest coraz więcej nastolatków uzależnionych od alkoholu, narkotyków, zaburzonych emocjonalnie. Wielu ludzi młodych jest niezdolnych do założenia rodziny czy podjęcia pracy zawodowej.

Dlatego trzeba nieustannie wskazywać na rolę Ducha Świętego i rozpoznawanie swojego powołania poprzez osobiste spotkanie z miłującym Bogiem objawionym w Chrystusie. Wychowywać z miłością to podprowadzać wychowanka i towarzyszyć mu w osobistym spotkaniu z Chrystusem, by wzrastał do miary otrzymywanego powołania. Naszym istotnym zadaniem i misją jest pomoc ludziom młodym w rozpoznawaniu i realizacji powołania na miarę otrzymanej łaski przez każdego z nich.

Ks. dr Tomasz Jaklewicz

Neutralność światopoglądowa a wychowanie

Często dostajemy w „Gościu Niedzielnym" telefony, maile od czytelników, które można streścić w taki sposób: „jesteście gazetą katolicką, chcemy w tej gazecie czytać o Bogu, a wy za bardzo zajmujecie się polityką. Za dużo jest polityki w Gościu". Moja odpowiedź na tego typu zarzuty brzmi następująco: polityka jest z definicji przedsięwzięciem moralnym. Dlatego jako katolicy mamy obowiązek się nią zajmować. Nie możemy milczeć. Postawą bardzo wygodną jest powiedzenie „my się tutaj będziemy zajmować Panem Bogiem, religią, duchowością, natomiast polityką niech zajmują się politycy czy inni fachowcy". Myślę, że to byłby rodzaj dezercji Kościoła czy gazety katolickiej. Nie wolno katolikom rezygnować z polityki, czyli z publicznej debaty o kształcie naszego życia społecznego. Ludzie, którzy takie zastrzeżenie zgłaszają, pewnie nie mają złych intencji. Ale pomyślmy, jak będą wyglądały nasze szkoły, jaki będzie prawodawstwo, jakie będzie miejsce Kościoła, jaka będzie nasza Ojczyzna, jeżeli my, katolicy, będziemy dezerterować z polityki, która bezpośrednio wpływa na te rzeczywistości. Jeśli

zgodzimy na oddzielenie sfery religijno-moralnej od polityki, wówczas będzie się działo bardzo źle. Nie możemy dezerterować.

Znakomity amerykański myśliciel, ks. Richard Neuhaus, bardzo mocno podkreślał, że każdy wybór polityczny jest zawsze wyborem moralnym, jest wyborem między dobrem a złem. Tam, gdzie w grę wchodzi dobro i zło, tam wiara i Kościół mają wiele do powiedzenia. W taki sposób trzeba także widzieć ostatnie wybory w Polsce. To nie jest tylko kwestia „techniczna", komu oddaliśmy władzę. To, co się stało, było też określonym wyborem moralnym, którego dokonali Polacy. To jest bardzo istotne. Teraz trzeba konsekwentnie patrzeć, czy ci, na których postawiliśmy, będą stali za tymi wartościami, czy będą ich rzeczywiście bronili.

Teraz przechodzę już do zadanego mi tematu „neutralność światopoglądowa a wychowanie". Chciałbym przypomnieć wypowiedź byłej minister edukacji pani Joanny Kluzik – Rostkowskiej. Ponad rok temu pojawił się pomysł deklaracji wiary, którą mieli składać lekarze. Była taka inicjatywa, by lekarz deklarował, że uznaje prymat prawa Bożego w swojej pracy zawodowej. W ślad za tym pomysłem poszedł inny pomysł, żeby również nauczyciele składali podobną deklarację. To krążyło w blogosferze i zostało podchwycone przez media. Pani minister wykazała się ogromną czujnością i postanowiła od razu wyrazić swoją opinię. Powiedziała tak: „Mam nadzieję, że ten dokument pozostanie wyłącznie w sferze projektu. Mam nadzieję, że nie stanie się przyczynkiem do rozpętania jakiejś wojny religijnej w polskiej szkole". Charakterystyczne jest to przejście od deklaracji od razu do wojny. To typowy chwyt propagandowy, od razu straszenie wojną religijną. I zadeklarowała: „Będę robić wszystko, by neutralność światopoglądowa polskiej szkoły została zachowana". Postraszyła, że jeśli nauczyciel podpisze taką deklarację,

powinien liczyć się z reakcją dyrektora szkoły, organu prowadzącego i wojewody. Nauczyciel, który by taką deklarację złożył, „łamie Konstytucję, która mówi, że wszyscy obywatele mają takie same prawa i obowiązki bez względu na wyznanie i światopogląd, łamie również przepisy Karty Nauczyciela". Pani minister powołała się na artykuł 6 Karty Nauczyciela, w którym zapisano: „nauczyciel obowiązany jest kształcić i wychowywać młodzież w umiłowaniu Ojczyzny, w poszanowaniu Konstytucji Rzeczpospolitej Polskiej, w atmosferze wolności sumienia i szacunku dla każdego człowieka oraz dbać o kształtowanie u uczniów postaw moralnych i obywatelskich zgodnie z ideą demokracji, pokoju i przyjaźni między ludźmi różnych narodów, ras i światopoglądów".

Teraz mój komentarz w kilku punktach.

Pierwsza rzecz: Pani minister sama sobie przeczy, ponieważ cytuje fragment Karty Nauczyciela, który w ogóle nie mówi o neutralności światopoglądowej. Jeśli Karta Nauczyciela zobowiązuje nauczycieli np. do wychowania w duchu umiłowania Ojczyzny – to nie jest to neutralne. Przecież to jest określona aksjologia, określone wartości: poszanowanie Konstytucji czy postawy moralne zgodne z ideą demokracji, pokoju i przyjaźni między ludźmi. Jakkolwiek oceniamy ten zestaw wartości, to na pewno nie mamy tutaj do czynienia z neutralnością, ale z określonymi elementami światopoglądu. Czyli pani minister sama sobie przeczy. Tak bywa nieraz, że ludzie ulegają presji medialnej nie dostrzegając, że błąd jest już na poziomie zwykłej logiki.

Druga rzecz: pani minister powołała się na Konstytucję RP. Tymczasem w Konstytucji RP nie istnieje sformułowanie „neutralność światopoglądowa". Zawiera ona sformułowanie o bezstronności religijnej i światopoglądowej władzy publicznej i państwowej (Konstytucja RP, art. 25 ust. 2). W myśl tego przepisu organy administracji państwowej

mają być bezstronne wobec światopoglądu nauczycieli, rodziców i dzieci, a więc nie mogą narzucać im swojego światopoglądu.

Trzecia rzecz: idea wychowania, w samym swoim założeniu, jest sprzeczna z ideą neutralności. Przecież wychowanie z definicji jest działaniem mającym na celu wywołanie zmian w myśleniu, w postępowaniu, w postawach, właśnie w światopoglądzie wychowanka. To jest idea wychowania, więc jeżeli mamy mu przekazać pewne wartości, pewne moralne punkty orientacyjne, pewne wzorce osobowe, to nie może to być neutralne, bo neutralność z definicji zakłada, że nie opowiadam się ani za tym, ani za tym, ani za tamtym. Tymczasem, muszę się opowiedzieć – po to, żeby to, w co wierzę, przekazać swojemu wychowankowi.

Czwarta uwaga. Rzecz charakterystyczna, że kwestia neutralności światopoglądowej zazwyczaj pojawia gdy ktoś, jako osoba wierząca, podkreśla właśnie prawo do życia zgodnego z wiarą w przestrzeni publicznej. A więc zwykle to hasło neutralności światopoglądowej jest wymierzone w bardzo konkretną grupę ludzi. Czyli teoretycznie – to jest antydyskryminacyjne, praktycznie – chodzi o wyciszenie tych, którzy swoje wartości i przekonania czerpią z wiary. Wtedy nagle okazuje się to sprzeczne z Konstytucją, jak słyszeliśmy. Zatem zwykle za hasłem neutralności tak naprawdę kryje się pogląd ateistyczny. Głównie o to chodzi. Gdzieś w tle jest założenie, że ateizm jest „neutralny", a wiara nie jest neutralna. A ponieważ ma być neutralność, więc praktycznie trzeba promować w przestrzeni publicznej ateizm. W tę stronę to idzie.

I piąta rzecz: kwestia neutralności światopoglądowej szkoły jest częścią większej całości. Współczesne demokracje liberalne, spora część elit świata, w którym żyjemy, dąży do czegoś takiego, co wspomniany już ksiądz Richard Neuhaus określał jako „naked public square". To jest taki ukryty aksjomat, że przestrzeń publiczna powinna być wolna od

odniesień do religii w imię wolności, tolerancji, równości, itd. Czyli między innymi dlatego szkoła publiczna ma być światopoglądowo neutralna. Oczywiście, szkoła jest bardzo wrażliwym, strategicznym miejscem. Tzw. wojna kulturowa toczy się także o szkołę i trwa w szkole. I my, czy chcemy czy nie, jesteśmy do tej walki, do tych zmagań wciągnięci.

Nasuwa mi się tutaj pewien komentarz już bardziej księdza niż dziennikarza. Otóż to, co publicyści nazywają wojną kulturową na głębszym poziomie jest walką duchową. Słyszeliśmy dzisiaj o zmaganiach biskupa Pietraszki. To była walka o rząd dusz z komuną, takie były okoliczności jego życia. Ale każde pokolenie w okolicznościach swojego czasu doświadcza tego samego duchowego zmagania. To jest kolejny etap odwiecznej walki ze Złym, któremu nie podoba się to, co pochodzi od Boga.

To zmaganie jest językiem symbolicznym opisane w Księdze Apokalipsy. Centralnym obrazem tej księgi jest starcie Smoka, czyli szatana, z Niewiastą, czyli z Kościołem (rozdziały 12 i 13). Walka ma trzy rundy. Początkiem pierwszego starcia jest narodzenie Jezusa. Szatan chce „pożreć dziecię". Przegrywa. Rozpoczyna więc drugą bitwę – walkę z Niewiastą, czyli z Kościołem jako całością. I również przegrywa. Próbuje więc po raz trzeci. Smok „odszedł, aby rozpocząć walkę z resztą jej potomstwa…". Zły nie mogąc pokonać Kościoła w całości, chce wyszarpać, kogo się da, atakuje pojedynczych wiernych. To dotyczy zmagań każdego z nas. Ta „trzecia runda" wojny trwa. Pomocnikami Smoka okazują się dwie bestie. To jest diabelska karykatura Trójcy Świętej (smok i dwie bestie). Bestia pierwsza jest symbolem władzy doczesnej, która przypisuje sobie boskie atrybuty. W imperium rzymskim istniał boski kult cesarza. Budowano świątynie Cezara, rzymski imperator kazał siebie nazywać „Dominus et Deus noster" – „Pan i Bóg nasz". Dzisiaj nikt już w ten sposób nie mówi o władzy. Ale pokusa zastępowania

Boga przez władców jest nadal żywa. Władza polityczna uważa dzisiaj np. że może zmieniać definicję małżeństwa czy płci, walczy o prawo do zabijania nienarodzonych dzieci czy dobijania umierających, więc uzurpuje sobie również „boskie" znamiona, stając się „totalitaryzmem" maskowanym frazesami o wolności i tolerancji. Tak jak w czasach gdy powstała Apokalipsa, tak i dziś Kościół jest w stanie konfrontacji z władzą, która przypisuje sobie boskie prerogatywy. Kościół pełni rolę krytyczną wobec wszelkiej władzy politycznej, także tej demokratycznej. Taka krytyczna postawa nie podoba się władzy i tu jest źródło prześladowania chrześcijaństwa. Tak było czasach rzymskich, tak jest i dzisiaj. Chrześcijaństwo jest obecnie najbardziej prześladowaną religią na świecie. W 139 państwach skupiających ¾ ludzkości chrześcijanie doświadczają różnego rodzaju prześladowań, począwszy od politycznych (ograniczenia praw publicznych) po tortury, więzienia i zabijanie.

Jest także druga bestia pozostająca na usługach tej pierwszej. Czytamy o niej: „Miała dwa rogi podobne do rogów Baranka, a mówiła jak Smok… I zwodzi mieszkańców ziemi". Mamy tutaj podróbkę Baranka, czyli fałszywego proroka udającego Chrystusa. Druga bestia symbolizuje władzę duchową, to propaganda ideologiczna władzy politycznej. To siła, która działa nie przemocą, ale wpływając na rozum, ogłupiając ludzi, tworzy podróbki zbawienia i Zbawiciela. Diabeł i dziś przy pomocy władzy politycznej oraz ideologii pracujących na jej usługach wojuje z tymi, którzy chcą pozostać wierni Jezusowi. Ta druga bestia będzie atakowała właśnie sferę wychowania. Apokalipsa podpowiada, że odpowiedzią chrześcijan na zakusy pierwszej bestii (władzy politycznej) są wytrwałość i wiara świętych, zaś lekarstwem na kłamstwa drugiej bestii (ideologii) jest mądrość.

Każde pokolenie odczytuje Biblię, a więc i Apokalipsę we własnych kontekstach kulturowych, społecznych, politycznych, historycznych. Jak się to ma do neutralności światopoglądowej? Nie chcę tu przesadzić, ale myślę, że ta idea neutralności światopoglądowej to jest właśnie broń tej drugiej bestii, tzn. pewien rodzaj intelektualnego haczyka, na który wielu daje się złapać. Wydaje się bowiem, że brzmi to przekonująco: „no oczywiście, są różne poglądy, mamy pluralistyczne społeczeństwo, musimy to uszanować, nie możemy nikogo zmuszać, itd. itp.". Powstał cały język tej propagandy, którą określamy często mianem poprawności politycznej. Hasło neutralności światopoglądowej należy właśnie do tego szerszego zjawiska określanego mianem poprawności politycznej. A poprawność polityczna to nie jest – jak to się zwykło mówić – pewna grzeczna mowa, poszanowanie inności, tolerancja itd. Jest to w gruncie rzeczy parodia tolerancji. Chodzi w istocie o wyeliminowanie z dyskursu publicznego, z przestrzeni społecznej podstawowej ludzkiej wartości, jaką jest prawda. Warto na to zwrócić uwagę. Poprawność polityczna to ideologiczny (lewicowy) pomysł na zniszczenie tradycyjnego kulturowego kodu, który ma swój rdzeń w chrześcijaństwie. Inżynierom społecznym narzucającym Zachodowi poprawność polityczną chodzi o to, by ludzie mieli w głowie sieczkę. Powiadają, że trzeba wyeliminować spór, uzyskać konsens itd. Ale zauważmy to się zawsze dzieje za cenę prawdy, rozmywania tożsamości. To dlatego posiadanie jednoznacznych poglądów religijnych i moralnych jest bardzo często określane jako nietolerancja, fundamentalizm, szowinizm, a nawet faszyzm. Często przy pomocy tych przymiotników stygmatyzuje się osoby, które mają jednoznaczne poglądy. George Weigel zwraca uwagę, że istnieje jakaś dziwna nienawiść Zachodu do siebie samego, do fundamentów cywilizacji europejskiej, czyli tego, co jest syntezą Aten, Jerozolimy i Rzymu.

To wszystko prowadzi do relatywizmu. Wszystko jest płynne, umowne, do zmiany, zależne od okoliczności. Benedykt XVI mówił wprost o dyktaturze relatywizmu – myślę, że jest to właśnie jedna z form działania dzisiaj owej drugiej apokaliptycznej bestii.

Szkoła niewątpliwie jest jednym z takich strategicznych frontów, gdzie odbywa się ta walka o człowieka, o jego świadomość, a ostatecznie o jego duszę, o jego zbawienie. To jest walka na śmierć i życie. Dlatego przeróżni wysłannicy owej drugiej bestii, pracują usilnie nad tym, aby kategorie poprawności politycznej, neutralności światopoglądowej, relatywizmu zaszczepić człowiekowi od dziecka, po to, by potem łatwiej było ludźmi manipulować.

Państwo pracują w szkołach katolickich, więc być może ów nacisk nie jest aż tak odczuwalny, ale macie z pewnością do czynienia z różnymi dokumentami z wytycznymi, które przychodzą z kuratoriów, z ministerstw czy z urzędów Unii Europejskiej. Proszę zwrócić uwagę na to nieustanne, stopniowe odchodzenie od tradycyjnej edukacji stawiającej na wiadomości, na przekazywanie wiedzy. Teraz mówi się w kółko, że istotne jest zdobywanie umiejętności życiowych. To jedno z tych haseł-kluczy. Uczniowie mają nabywać umiejętności. Rzecz w tym, że zdobywanie wiedzy polega na poszerzaniu pewnej obiektywnej wiedzy, poznawania świata, człowieka, pewnych obiektywnych reguł, którymi rządzi się życie. Tymczasem rozwijanie umiejętności kładzie akcent na czysto subiektywny wymiar wiedzy. Podobne hasła w tym duchu mówią, że dziś konieczna jest wiedza interaktywna, uczestnicząca, demokratyczna, oddolna. Pod hasłem jakości kształcenia kryje się często próba dekonstrukcji prawowitego autorytetu nauczyciela i zastąpienia go władzą i autonomią ucznia. Zdanie, które wynotowałem, już nie pamiętam skąd, ale bardzo a propos: „Edukacja w kulturze postmodernistycznej

odrzuca to, co istnieje samo w sobie, aby stworzyć cywilizację, gdzie liczy się tylko to, co człowiek ma dla siebie". Wydaje mi się, że to jest istota rzeczy. „Odrzucić to, co istnieje samo w sobie, aby stworzyć cywilizację, gdzie liczy się tylko to, człowiek ma dla siebie".

Sprawy dotyczące Konstytucji zostały już wyczerpująco omówione, więc dorzucę tylko kilka słów na temat preambuły konstytucyjnej. Preambuła nie ma znaczenia czysto prawnego. To jest rodzaj wprowadzenia, czegoś co, jest na styku między sferą aksjologii a prawa. I właśnie to przejście jest, jak mi się wydaje, bardzo istotne. Tu pojawiają się pytania. Skąd prawo stanowione ostatecznie czerpie swoją siłę? Czy tylko z większości demokratycznej, czy też jest jakaś bardziej trwała podstawa, jakaś obiektywna prawda, na której prawo jest budowane?

Ten temat wielokrotnie, dogłębnie analizował Benedykt XVI. Zwracał uwagę np. na kwestię praw człowieka. Skąd wiemy, że prawa człowieka są jednakowe wszędzie na całym świecie? Na jakiej podstawie? Tu konieczne wydaje się odniesienie do transcendencji, do uznania, że istnieje coś takiego jak niezmienna natura człowieka. To przecież nie jest tak, że ONZ czy inna organizacja ustawia prawa człowieka. Mówimy o „Deklaracji Praw Człowieka". Czyli te prawa zostają odczytane. No dobrze, ale gdzie my je odczytujemy? Innymi słowy, gdzie one są zapisane? Tu wchodzimy w przestrzeń sumienia i w przestrzeń prawdy, która istnieje obiektywnie. Człowiek odkrywa te fundamentalne zasady, człowiek jakby stoi wobec wartości, wobec prawdy. Nie da się być neutralnym obliczu wartości takich jak dobro, prawdy czy piękno. Bo człowiek jest pociągany przez dobro, prawdę i piękno, aby się stawać dobrym, prawdziwym, pięknym. Być neutralnym oznaczałoby rezygnować z rozwoju człowieczeństwa.

W preambule do naszej Konstytucji zapisano: „W poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub własnym sumieniem". Kiedy nam mówią, że nauczyciel nie może pełnić swojej funkcji w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem, wtedy warto powołać się na to zdanie. Jeżeli Konstytucja, najważniejszy akt prawny Rzeczpospolitej, jest napisana „w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem", to ja mam pełne prawo jako wierzący pełnić swoją misję publiczną jako nauczyciel czy jakikolwiek urzędnik państwowy – w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem. Oczywiście, na ile to jest hasło, na ile to jest coś, co wypływa z mojego serca i co mnie zobowiązuje do określonej postawy – to jest osobny temat.

Dlaczego idea neutralności jest sprzeczna z samą ideą wychowania? Wydaje mi się, że to są pewne oczywistości, więc proszę mi wybaczyć, że ośmielam się mówić do Państwa, do wychowawców, takie rzeczy, ale powtórzę jeszcze raz: nie można być neutralnym wobec wartości. Wartości z definicji zmuszają do wyboru: prawda, dobro, piękno. One angażują, muszę się opowiedzieć: za lub przeciw.

Chcę przywołać tekst ewangeliczny, który będziemy rozważali podczas Uroczystości Chrystusa Króla. Rozmowa Jezusa z Piłatem. Rozmowa dotyczy władzy. Nie jest to rozmowa filozofów, choć brzmi filozoficznie, ale to jest w istocie przesłuchanie. Proszę zauważyć postawę Piłata, którego można uznać za sztandarową postać reprezentującą postawę neutralności. Piłat próbował zachować neutralność wobec dziwnego Skazańca, którego mu kazano osądzić. Jezus mówi: „Królestwo moje nie jest z tego świata". Gdyby było z tego świata, to wojska anielskie by tu stały. Jezus jest całkowicie bezbronny. „Ja się na to urodziłem, aby dać świadectwo prawdzie". I wtedy Piłat, który cały czas próbował bronić Chrystusa, odpowiada: „cóż to jest prawda?" Ujawnia

się jego postawa sceptyka, agnostyka i zaczyna się wycofywać z obrony Jezusa. To jest bardzo charakterystyczne w dialogach z wieloma współczesnymi politykami, kiedy np. pojawia się kwestia in vitro albo kwestia aborcji. Ludzki zarodek w łonie matki jest człowiekiem czy nieistotnym zlepkiem komórek? Jaka jest prawda? Kiedy pada takie pytanie, pytanie o prawdę, natychmiast zaczyna się ucieczka, wzruszenie ramionami, „nie wiem", „nie znam się", „są różne opinie" itd. Kiedy zapytano prezydenta Obamę przed pierwszymi wyborami „czy w łonie matki rozwija się człowiek czy to zlepek komórek" odpowiedział: „za to mi nie płacą, żebym ja decydował, czy zarodek jest człowiekiem czy nie". Efekt, Obama stał się najbardziej proaborcyjnym prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych. Piłat ostatecznie skazuje niewinnego Człowieka na śmierć. Tak się kończy neutralność wobec największych wartości. Nie mówię, że to jest zawsze taka krótka, prosta droga, ale konsekwencją próby zachowania neutralności wobec prawdy jest zawsze łajdactwo, niesprawiedliwość, krzywda wyrządzona bezbronnemu. Piłat ostatecznie walczy tylko o swój stołek. I w imię utrzymania swojej małej władzy podpisuje się wyrok na niewinnego, czyli godzi się na świństwo. Nie pozostaje neutralny, choć umywa ręce. Staje się winny zbrodni.

Bodaj w zeszłym roku hasłem Tygodnia Wychowania było: „Prawda fundamentem wychowania". O jaką prawdę chodzi? Co to znaczy, że prawda jest fundamentem wychowania? Według klasycznej definicji prawda to zgodność rozumu z rzeczywistością. Jeśli człowiek żyje w jakiejś iluzji, jeśli narzuca na rzeczywistość swoje oczekiwania, plany czy nadzieje, jeśli nie liczy się z realiami, to prędzej czy później musi to się źle skończyć. Jeśli w wychowaniu, zgodnie z dominującą kulturą, główny akcent kładzie się na indywidualne ludzkie „ja", na samorealizację, musi to skutkować jakimś rodzajem ślepoty, nieliczenia się z innymi,

z realnym światem, z zasadami, które nim rządzą. Wychowanie nie polega na stawianiu przed wychowankiem lustra, ale raczej na otwieraniu okien – na innych, na świat, na Boga. „Wychowywać, z łacińskiego „educere", znaczy: wyprowadzać z samego siebie, by wprowadzać w rzeczywistość, prowadzić ku pełni, która sprzyja rozwojowi osoby", podkreśla papież Benedykt XVI.

Chodzi także o prawdę o samym wychowaniu. Czym jest wychowanie? Polemizowałbym z tym fragmentem z Karty Nauczyciela, gdzie jest mowa o duchu demokracji… Według mnie szkoła z definicji nie może być demokratyczna. Tylko niedemokratyczna szkoła służy demokracji, tak bym to ujął. Uzasadnię, o co mi chodzi. Na sztandarach francuskiej rewolucji wypisano hasła: wolność, równość, braterstwo. W imię tych trzech haseł głosi się właśnie neutralność światopoglądową. Tymczasem wychowanie z natury opiera się na ideach, które są w opozycji do tej rewolucyjnej triady. To dotyczy zresztą nie tylko szkoły, ale także rodziny i Kościoła.

Zacznijmy od równości. Owszem, wychowanek i wychowawca są równi w człowieczeństwie, w ludzkiej godności, ale na tym koniec. Wychowanie z natury rzeczy oparte jest na nierówności. Ono zakłada hierarchię. Jest ktoś, kto wie, rozumie, widzi więcej oraz ktoś kto wie, rozumie i widzi mniej. Jest człowiek starszy, silniejszy, mądrzejszy, który prowadzi człowieka młodszego, słabszego, mniej mądrego. Bez zgody na taką hierarchię nie ma w ogóle mowy o wychowaniu. To jest podstawowy fundament paideii, czyli tej klasycznej idei prowadzenia kogoś. Jeżeli zapominamy o hierarchii, szkoła zaczyna być postawiona na głowie. Jako początkujący katecheta (7 lat uczyłem w szkole) zadawałem pytanie w klasach: „jakie tematy byście chcieli, by były poruszone na katechezie?". Jedna dziewczyna, chyba w szkole zawodowej

powiedziała mi: „proszę księdza, to ksiądz ma wiedzieć, czego chce nas nauczyć, a nie się nas pytać". Nigdy już więcej tego nie robiłem. Miała rację. To nauczyciel ma wiedzieć, do czego chce doprowadzić ucznia, co chce mu zaofiarować, jaki wzór, jaki model, jakie wartości, jaką wiedzę chce mu przekazać. I wcale to nie oznacza, że jest tyranem.

Druga rzecz: wolność. Owszem, wychowanek i wychowawca są ludźmi wolnymi, ale obie strony rezygnują z części swojej wolności. Wychowanek godzi się na to, że jest prowadzony, kształtowany, poddany mądrości wychowawcy. Z kolej wychowawca musi być gotowy dać siebie, swój czas, swoje zdrowie, itd. Nauczanie młodego człowieka mądrego korzystania z wolności to jedno z najważniejszych zadań wychowawczych. Sednem jest to, by zrozumiał, że wolność nie jest wartością największą, jak to się nam dziś wmawia, akcentując zwłaszcza wolność jednostki. Być wolnym nie znaczy być niewolnikiem zmiennych zachcianek, pożądań, popędów. Człowiek jest wolny po to, aby kochać czyli ograniczać siebie więzami z innymi. Człowiek jest powołany do więzów. Chodzi o nauczenie szlachetnej i mądrej wolności, która zakłada zdolność do poświęcenia, do rezygnacji z siebie ze względu na innych i na większe wartości. Dobra szkoła z definicji nie opiera się na wolności typu „róbta co chceta", ale na posłuszeństwie, dyscyplinie, pokonywaniu lenistwa i egoizmu, uczeniu się systematycznej, ciężkiej pracy. Benedykt XVI pisze do nauczycieli: „W miarę jak dziecko rośnie, staje się nastolatkiem, później młodym człowiekiem, powinniśmy godzić się na ryzyko wolności, być zawsze gotowymi pomagać w korygowaniu błędnych idei i wyborów. To natomiast, czego nie powinniśmy robić nigdy – to nie reagować na błędy, udawać, że ich nie widzimy czy gorzej: uczestniczyć w nich, jak gdyby były nowymi horyzontami postępu ludzkości".

I trzecia rzecz: braterstwo. Oczywiście pozytywna wartość, ale przeniesiona na teren wychowania najczęściej oznacza jakiś rodzaj kumpelstwa, wzajemnego poklepywania się po plecach wychowawcy i wychowanka. Tymczasem wychowawca nie ma być bratem, ale ojcem lub matką. Czyli to jest inny rodzaj relacji. Miłość braterska jest inna niż miłość rodzicielska. Wychowawca musi kochać swoich uczniów, to jasne, ale modelem zdrowej miłości wychowawczej jest miłość ojcowska i macierzyńska.

Tak więc wychowanie nie opiera się więc na wolności, równości i braterstwie, ale na innej triadzie: hierarchia, posłuszeństwo, ojcostwo/macierzyństwo. Brzmi bardzo konserwatywnie. Dziś usiłuje się na siłę demokratyzować szkołę, dlatego w kółko słyszymy o prawach dzieci, ich podmiotowości, mądrości, naturalnej dobroci. Nie wolno dzieciom niczego narzucać, wymagać od nich, oczekiwać, egzekwować, karać, stresować. Dziecko postawione w centrum nakręcane jest od początku do walki o swoje, o sukces, o uznanie, o powodzenie. Tego typu podejście jest zaprzeczeniem wychowania. Choć taki model wychowania uważa sam siebie za idealny wzór miłości do dziecka, nie ma z miłością wiele wspólnego.

„Ja wszystkich, których kocham karcę i ćwiczę", jeszcze raz słowa z Apokalipsy. Tak mówi Bóg. Oczywiście, że wychowanie polega także na przytuleniu. Owszem oznacza także czułość, pojęcie tak bliskie papieżowi Franciszkowi. Każdy ojciec i matka, każdy dobry nauczyciel szukają równowagi między miłosierdziem a stawianiem wymagań, między karaniem a nagradzaniem, między wolnością a dyscypliną. Przewaga wychowawcy nie oznacza wcale przemocy. Władza rodzicielska czy nauczycielska jest po to, by chronić słabszego i pomagać mu stać się silnym. To, że zdarzają się nadużycia tej władzy, nie znaczy, że

należy w ogóle zakwestionować konieczność jej istnienia. Na tym polega nasza służba, że mądrze, z miłością sprawujemy władzę jako wychowawcy, jako rodzice, jako nauczyciele, czy jako duszpasterze. Ta władza jest służbą, jest umywaniem nóg. Myślę, że w tym kluczu warto na to patrzeć.

W wychowaniu ważna jest wreszcie prawda o człowieku jako takim. Czyli poprawna antropologia. „Czegóż dusza pragnie na sposób bardziej żarliwy niż prawdy?" – pisał święty Augustyn. To pragnienie, tęsknota za prawdą skłaniało ludzi do czytania i pisania ksiąg, prowadzenia badań, zakładania szkół, uniwersytetów, bibliotek. Dziś obiektywny charakter prawdy został ograniczony do świata fizycznego. Cała przestrzeń humanistyczna, czyli pytania o prawdę moralną (dobro, zło), duchową (sens życia, Bóg, religia) zostały zdominowane przez relatywizm. W tych dziedzinach, mówią nam, nie ma prawdy obiektywnej, są tylko opinie, hipotezy – i dlatego konieczna jest neutralność. Tak głosi świecki dogmat. Kto więc ma wyznaczać granice między dobrem a złem? Opinia przypadkowej większości, aktualnie sprawujący władzę, własne egoistyczne „ja"? „W takiej relatywistycznej perspektywie nie jest możliwe prawdziwe wychowanie" – podkreśla Benedykt XVI i dodaje: „Bez światła prawdy każdy człowiek prędzej czy później zwątpi w wartość własnego życia i relacji, które się na nie składają, w sens wysiłków, które podejmuje wspólnie z innymi, aby coś zbudować". Wychowawca musi mieć wizję człowieka, pewien wzór człowieczeństwa, do którego chce prowadzić uczniów. Ten wzór nie może być subiektywną opinią, ale musi mieć obiektywne podstawy. Chrześcijaństwo ma odwagę twierdzić, że zna prawdę o człowieku. Człowiek jest istotą mającą w swym sercu pragnienie nieskończoności, pragnienie prawdy – nie częściowej, ale zdolnej wyjaśnić sens życia, bowiem został stworzony na obraz

i podobieństwo Boga. To jest fundament godności człowieka. Dlatego wychowanie polega na uczeniu się dostrzegania w człowieku obrazu Stwórcy, i w konsekwencji głębokiego szacunku dla każdej istoty ludzkiej i pomagania innym w prowadzeniu życia na miarę tej godności.

Katolicka wiara, katolicka szkoła, katolicka wiara wychowawców, rodziców nie jest w żadnym wypadku przeszkodą, ale przeciwnie – jest potężną siłą wspierającą wychowanie. Kto zna historię Kościoła, ten doskonale wie, że jako katolicy nie musimy mieć tutaj żadnych kompleksów. Kościół zakładał i prowadził szkoły od wieków. O wiele wcześniej niż współczesne państwa. Ma w edukacji i wychowaniu znakomite tradycje. Wspomnę chociażby tylko św. ks. Józefa Kalasantego (założyciela pijarów), który był twórcą pierwszej na świecie szkoły publicznej, czyli szkoły darmowej dostępnej dla wszystkich. Nieraz sami nie znamy tej pięknej historii. Mamy wielkie powody, aby czuć dumę, aby mieć poczucie wielkiego dziedzictwa. Jednak podstawowym źródłem naszej moralnej siły jako katolickich wychowawców powinna być prawda o chrześcijaństwie, po prostu. Wiara chrześcijańska pokazuje bowiem pełną prawdę o człowieku. Mówi o tym, że pochodzi on od Boga i do Boga idzie. To Bóg jest prawdziwym centrum człowieka. Centrum człowieka nie leży we mnie, tylko jest poza mną. Człowiek jest istotą relacyjną. Wszystkie świeckie humanizmy są z natury rzeczy niepełne, bo milczą o transcendencji, wycinają perspektywę nieba.

Wierzącym wychowawcom konieczna jest dziś odwaga przeciwstawiania się relatywistycznemu dogmatowi głoszącemu, że nie ma prawdy. Trzeba zrelatywizować relatywizm. Wymaga to odwagi nieulegania społecznej presji, dominującej kulturze, wytycznym z Unii Europejskiej czy kolejnego ministerstwa oświaty. Tak, bycie wychowawcą dzisiaj wymaga odwagi płynięcia pod prąd tym nurtom, które promują

subiektywizm, relatywizm, a w pakiecie z nimi właśnie neutralność. Pan Jezus, najwyższy wychowawca, powołując także nas na swoich uczniów mówi: „pójdź za Mną". To zdecydowanie nie jest neutralność, to jest określona tożsamość. „Pójdź za Mną!". Nie za innymi, za Mną! Jako uczeń Chrystusa idę za Nim, ale swoim uczniom proponuję to samo: pójdźmy za Nim, bo w Nim jest prawda i życie. Wiary, odwagi Państwu z całego serca życzę. Od Waszej wiary i odwagi zależy bardzo wiele.

Wywiad z Ludmiłą i Stanisławem Grygiel

Rozmawia ks. dr Tomasz Jaklewicz

Ks. Tomasz Jaklewicz:

Proszę Państwa, nasze spotkanie od różnych stron naświetla temat wychowania. Święty Jan Paweł II był przykładem wychowawcy. Był zwłaszcza „specjalistą" w wychowaniu młodzieży do życia w małżeństwie i rodzinie. Mówił sam o sobie, że zakochał się w ludzkiej miłości. Potrafił w niezwykły sposób zafascynować młodych ludzi miłością, pokazać jej piękno. Samą miłością zafascynować się jest dość prosto, wystarczy się zakochać, ale papież potrafił jako duszpasterz i wychowawca pokazać prawdę o ludzkiej miłości. Myślę, że w tej dziedzinie możemy się od Niego wiele uczyć.

Chciałbym, żebyśmy o tym porozmawiali z naszymi wspaniałymi gośćmi. Państwo Stanisław i Ludmiła Grygielowie mieli łaskę osobistego spotkania z Janem Pawłem II.

– Mieliście Państwo możliwość obserwowania go z bliska i chciałbym Was poprosić o to, żebyście przywołali trochę wspomnień i obrazów z jego życia. Minęło już 10 lat od jego śmierci, rośnie nowe pokolenie Polaków – i nie tylko Polaków, które go nie znało. Więc śmiem twierdzić, że obowiązkiem świadków jego życia jest przekazanie kolejnemu pokoleniu opowieści o Janie Pawle II.

Chciałbym zapytać na początek o człowieczeństwo. Na czym polegała tajemnica piękna człowieczeństwa Jana Pawła II? I na czym polegała siła jego oddziaływania? Skąd to się brało? Myślę, że marzeniem wszystkich wychowawców jest to, by mieć wpływ na drugiego człowieka, nie przez przemoc, nie przez samą dyscyplinę, czy posłuszeństwo, ale nade wszystko przez sam fakt, kim się jest.

Stanisław Grygiel: Poznałem świętego Jana Pawła II w '58 roku. On miał wtedy 38 lat, ja 24. Przyszedłem do Niego wieczorem z pytaniem – jeszcze jako student polonistyki, ale pod wpływem namów księdza prałata Czartoryskiego, żebym wrócił do filozofii – otóż przyszedłem do Niego z pytaniem, czy mógłbym uczestniczyć w Jego seminarium doktoranckim i pisać u Niego pracę doktorską. Zaproponowałem Mu temat. Mnie wówczas bardzo interesował Albert Camus. Młody biskup wysłuchał mnie uważnie i odpowiedział, że dzisiaj byłoby lepiej zająć się Jean Paul Sartre'm: – Jego myślenie o absolutnej wolności jest bardzo niebezpieczne dla marksizmu, i to nam jest na rękę. Ale jest też niebezpieczne dla nas, dla naszej wizji człowieka i dla naszej wizji wolności. I tu musimy się przygotować. Niech się Pan tym zajmie.

W Jego subtelnie delikatnych słowach nie było żadnego narzucenia tematu. Zgodziłem się od razu. Wyszedłem od niego zapalony do tematu i do osoby młodego profesora. Wspominając dzisiaj to pierwsze z nim spotkanie, powiedziałbym, że zbliżył się on do mnie „zdjąwszy uprzednio buty". Był dla mnie subtelnie dobry i obecny. Poczułem się kimś ważnym dla niego, a więc i dla mnie samego. Takie spotkania pozwalają rozumieć doświadczenie Mojżesza z krzewem gorejącym, przed którym Mojżesz musiał zdjąć z nóg sandały. Tak, niech mi wolno będzie tak powiedzieć, metafizyczna delikatność charakteryzowała sposób

bycia św. Jana Pawła II ze wszystkimi. Miał on ogromny respekt dla każdego człowieka, bo w każdym, nawet w niewierzącym, widział Boży płomień. Dla św. Jana Pawła II człowiek był krzewem, w którym płonie Bóg nawet wtedy, kiedy ten ludzki krzew nie wie, że gorzeje Boskością.

Opowiem małe wydarzenie, która daje temu świadectwo. Kiedyś byliśmy z żoną z naszymi, wtedy jeszcze małymi, dziećmi na kolacji u Ojca Świętego. Siedzieliśmy z nim sami. Po godzinie mój syn, który miał wtedy 8 lat, kopie mnie pod stołem nogą. Pytam go po cichu, co się dzieje. Na to on szepce mi do ucha: „Chodźmy stąd tato, bo tu nudno". Uspokoiłem go, ale tylko na chwilę. Po kilku minutach znowu mnie kopie pod stołem, i szepce mi tę samą śpiewkę: "Chodźmy do domu". Papież zorientowawszy się, że z jego „gościem" coś jest nie w porządku, zapytał go: „Jakub, co się dzieje?" Ten z dziecięcą szczerością odpowiedział. „Chcę iść do domu, bo tu jest nudno". Ojciec Święty popatrzył chwilę na niego i rzekł: „Ja ciebie bardzo przepraszam. Zaprosiłem cię na kolację i nie zająłem się tobą ani przez moment, rozmawiam tylko z rodzicami. Bardzo cię przepraszam." Zaczął z nim żartować i bawił się z nim do końca kolacji. To także było doświadczenie Bożego płomienia w młodym krzewie osoby ludzkiej.

Często wspominam to drobne wydarzenie. Pomaga mi rozumniej pytać o tajemnicę prawdy tego, co się wydarza pomiędzy osobą a osobą, o tajemnicę miłości, która odsłania się w pragnieniu i w woli należenia do drugiej osoby, albo, inaczej, w pragnieniu i w woli zawierzenia się jej na zawsze. Św. Jan Paweł II umiał się zawierzyć nawet dziecku.

Św. Jan Paweł II nie przestaje być obecny dla mnie w ten sposób. Tylko ludzie wielcy są tak obecni dla innych. On nadal istnieje dla mnie z tą jedynie różnicą, że istnieje inaczej. Spotykam się z nim w modlitwie, spotykam się z nim w eucharystycznej liturgii. Wiem, że on jest w Bogu, a więc jest teraz razem z Nim w tej Hostii na tym ołtarzu.

Ludmiła Grygiel: Jeżeli miałabym powiedzieć coś o człowieczeństwie Ojca Świętego, to nie potrafiłabym zacytować Jego zdania o sobie samym dlatego, że Jego człowieczeństwo było czymś tak głęboko zinterioryzowanym a jednocześnie tak promieniującym, że tylko spotkanie z Nim –nawet bez słów – pozwalało poznać, kim on był, jakim był człowiekiem. Trudno jednak zwerbalizować to poznanie. Teraz, gdy jest przedstawiany jako święty, to aureola oświetla Jego człowieczeństwo i pozwala je poznać. Aureola bowiem nie jest ozdobą, aureola oznacza światło, którym promienieje święty. Oddając cześć świętemu Janowi Pawłowi II, musimy ciągle odkrywać Jego człowieczeństwo, Jego tożsamość świętego. On sam bardzo mało mówił o sobie, a bardzo dużo mówił o człowieku. Jego mówienie o człowieku świadczyło o tym, że z ogromnym szacunkiem traktował każdego człowieka, zarówno wierzącego jak i niewierzącego. Dlatego z taką mocą i odwagą sprzeciwiał się wszelakim działaniom, które niszczyły godność człowieka i naruszały jego wolność. Wystarczy przypomnieć jego protest przeciwko wojnie, czy przeciwko mafii. Włosi do dziś wspominają jego dramatyczne, płomienne przemówienie w Palermo, w którym przypominał członkom mafii o tym, że czeka ich Boży Sąd i kara za ich zbrodnie. Przemawiał jak prorok, który przyszedł do Niniwy, aby wezwać jej mieszkańców do nawrócenia. To był jeden z epizodów długiej walki Jana Pawła II w obronie człowieka. Najbardziej wymownym przykładem tej walki jest obrona życia poczętego dziecka. Wszystkie poczynania i słowa Papieża w obronie człowieka pozwalają poznać Jego piękne człowieczeństwo.

Chciałam zwrócić uwagę na ukazanie przez Jana Pawła II piękna kobiecego człowieczeństwa. Był pierwszym papieżem, który poświęcił godności kobiety Adhortację Apostolską, ogłosił List do Kobiet i mówił o kobiecie w czasie Anioła Pańskiego. Gdy zapowiedziano publikację

Apostolskiej Adhortacji o godności kobiety „Mulieris dignitatem", feministki bardzo się niepokoiły, co ten Papież, tradycjonalista, powie o kobiecie. Natomiast po przeczytaniu Adhortacji, wiele z nich uznały ją za najpiękniejszy wyraz szacunku dla kobiety, jaki kiedykolwiek usłyszały. Znałam osobiście jedną z tych feministek, dawną komunistkę, Marię Antoniettę Macciocchi, która pod wpływem tego dokumentu papieskiego zaczęła chodzić do kościoła, zaczęła słuchać, co Kościół myśli o człowieku, jaka jest chrześcijańska koncepcja osoby ludzkiej. Przyznawała, że chociaż komuniści mówili dużo o równouprawnieniu kobiet ale nie szanowali kobiet, nie respektowali ich osobowej tożsamości. Dopiero dzięki Ojcu Świętemu uświadomiła sobie, jaka jest jej kobieca tożsamość. Tak Jan Paweł II uczył człowieczeństwa.

Nie tylko uczył ale i realizował w życiu to nauczanie. Przytoczę tylko dwa przykłady. Pierwszy: gdy się wchodziło do jadalni papieskiej, a wśród gości były kobiety, Jan Paweł II prosił, żeby kobiety weszły pierwsze. Drugi epizod miał miejsce w czasie synodu o Europie. Na koniec synodu przemawiali eksperci, wśród których była jedna jedyna kobieta, Irina Alberti. To była wielka postać kultury rosyjskiej i europejskiej, która z prawosławia przeszła w sposób naturalny na katolicyzm. Była sekretarką Sołżenicyna. Od początku pontyfikatu Jana Pawła II mówiła, że w nim jest nadzieja na to, że się odrodzi chrześcijaństwo także i w Rosji. Bardzo dużo nad tym pracowała, a Ojciec Święty bardzo doceniał jej pracę. Otóż gdy podchodzili mężczyźni, całowali pierścień Ojca Świętego i po wymianie kilku słów odchodzili. Kiedy podeszła Irina Alberti Ojciec Święty wstał i ucałował ją. Zdziwionym kardynałom powiedział: Ja nie mogę siedzieć jak podchodzi do mnie kobieta. To był taki aneks do „Mulieris dignitatem".

Z jednej strony piękny człowiek. Tak można o nim powiedzieć. I jakiś rodzaj promieniowania jego osoby. Chciałem zapytać o to promieniowanie, na czym polegała tajemnica oddziaływania Jana Pawła II na ludzi? Czyli Jan Paweł II jako nauczyciel – nauczyciel wiary, duszpasterz. On z jednej strony kojarzy się nam jako ktoś niesamowicie łagodny, pogodny, ale jednak promieniujący jakąś siłą. Była to osobowość, która z jednej strony emanowała kulturą, szacunkiem. Ale jednocześnie to był człowiek silnych przekonań, który prowadził młodych ludzi. Myślę, że dla wielu kapłanów to jest jakaś niesamowita szkoła duszpasterstwa młodzieży i pewien przedmiot zazdrości. Jak on to robił, że młodzi ludzie go słuchali, co więcej, że go kochali, nawet wtedy, kiedy mówił rzeczy trudne, wymagające. Jan Paweł II jako nauczyciel – czego on nas, nauczycieli, może nauczyć?

SG: Moje doświadczenie osoby św. Jana Pawła II jako nauczyciela jest doświadczeniem kogoś, kto pisał pracę doktorską pod Jego kierunkiem, uczestniczył w Jego seminarium, rozmawiał z Nim i pracował. Co z tego zostało we mnie? Przede wszystkim pewność, że nauczyciel-mistrz jest w pełni tego słowa mistrzem pod warunkiem, że szanuje wolność ucznia w jego pytaniu o prawdę i szukaniu jej. Mistrz wie, że droga mistrza nie jest drogą ucznia, a prowadzony przez niego uczeń wie, że z pomocą mistrza musi szukać swojej drogi. Mistrz uczy się od uczniów, a uczniowie od mistrza. Wielkość mistrza i uczniów objawia się w tym, że ciągle uczą się od siebie nawzajem. Prof. Karol Wojtyła ciągle pytał mnie, co sądzę o tym lub innym problemie? Prosił o przeczytanie książki, która go interesowała. Zaczynał dialog ze studentem tak, jak Chrystus z Samarytanką: Daj mi się napić tej wody! Pod wpływem takiej prośby szukanie prawdy i pytanie o nią stawały się o wiele ważniejsze aniżeli napisanie samej rozprawy.

Szukanie prawdy i pytanie o nią zaczyna się prośbą skierowaną do drugiej osoby: Pozwól mi razem z tobą szukać tego, czego także i ja pragnę. Sądzę, że zobowiązania moralne rodzą się w osobie w tej mierze, w jakiej pomiędzy nią, a drugą osobą, wydarza się dialog zawierzania się sobie nawzajem. Ich wiara w siebie nawzajem staje się niepowtarzalną drogą wędrowania do prawdy i dobra, które objawiają się im i wzywają je do siebie. Zobowiązania moralne rodzą się w przynależności do ognia, którym płonie druga osoba. Gdybym nie należał do nikogo, nie doświadczałbym żadnych zobowiązań. Źródła moralności biją we wspólnotach osób (*communiones personarum*), to znaczy w przyjaźni, w małżeństwie, w rodzinie, w narodzie, w Kościele. Ten, kto żyje w nędzy samotności, sądzi, że wszystko mu wolno. I ma rację. Tak widać rzeczy z jego punktu widzenia. O tym trzeba dużo mówić społeczeństwom rozpadającym się dzisiaj w samotności jednostek, które się na nie składają. Małżeństwo pomogło zrozumieć to, o czym mówili ojcowie duchowni, którzy powtarzali aż do znudzenia, że trzeba żyć w obecności Boga. W doświadczeniu obecności drugiej osoby budzą się w człowieku największe zobowiązania. Zobowiązanie jest nie czym innym jak tylko wezwaniem osoby przez osobę. Tam, gdzie są zobowiązania, muszą być zagwarantowane prawa do ich spełnienia. Tam, gdzie ich nie ma, prawa nie mają racji bytu.

Duszpasterz, jakim był św. Jan Paweł II, nikomu nie narzucał niczego. On szedł swoją drogą obok tych, którzy zawierzali się jego duszpasterskiej trosce. Był duszpasterzem, którego obecność pomagała ludziom odkryć w swoim żalu Boże przebaczenie i poczuć się przenikniętymi przez szczęście.

Co rozumiem przez bycie szczęśliwym? Odpowiem tak: Człowiek jest nieszczęśliwy, kiedy jest samotny. Nędza samotności na ziemi jest przedsionkiem nędzy, jaką jest piekło. Dzisiejsza Europa jest

przedsionkiem nędzy piekła. Jest do tego stopnia nędzna i nieszczęśliwa, że nienawidzi siebie. Nędza ta nie utożsamia się z materialnym ubóstwem. Gdyby tak było, Europa byłaby rajem. Tak jednak nie jest. Z ubóstwa można wyjść samemu, o własnych siłach, ale z nędzy nie. Z nędzy można wyjść tylko z pomocą drugiej osoby, osoby obecnej dla nędzarza. Europa odrzuca taką pomoc. Europa odrzuca Boga.

Człowiek jest szczęśliwy wtedy, kiedy spotkana osoba wyprowadza go ze samotności. Poprzez osobę obecną przychodzi szczęście do tych, dla których ona jest obecna. Wojtyła wyprowadzał ludzi z nędzy samotności, ucząc ich odpowiedzialnej miłości. Ucząc ich takiej miłości, uczył ich patrzeć w niebo. Jako mistrz pokazywał uczniom, że logicznie nie można myśleć w nędzy samotności. Logicznie myśli się tylko wtedy, kiedy się jest szczęśliwym, a jest się szczęśliwym tylko we wzajemnej obecności z innymi osobami. To druga osoba jest epifanią prawdy, której źródło bije w Logosie. Pytanie o tę prawdę i o ten Logos czyni nasze myślenie myśleniem logicznym. W nędzy samotności człowiek nie myśli logicznie. Myśleć logicznie można jedynie w przedsionkach nieba.

LG: Wydaje mi się, że pierwotną nazwę, którą bym przypisała Ojcu Świętemu to: uczeń w szkole człowieczeństwa. On uczył się każdego człowieka. Codziennie się uczył człowieka, jakby powiedział Liebert. Zanim zaczął cokolwiek radzić czy podjąć jakąś decyzję, zadawał dużo pytań, zastanawiał się, kim jest człowiek, który stoi przede mną? Jakie ma problemy? Czego potrzebuje? A dopiero potem starał się odpowiedzieć w sposób taki, jak to robi prawdziwy mistrz, tzn. niczego nie narzuca, tylko pokazuje pewne rozwiązania, przekonuje które są lepsze dla konkretnego człowieka. Nie zawsze były to rady łatwe do zrealizowania w życiu. Zwróćmy uwagę, jak bardzo pociągał młodych ludzi w czasie Światowych

Dni Młodzieży. Wymagał od nich dużo i sam się nie oszczędzał. Gdy był bardzo chory, niektórzy sugerowali żeby nie organizować tych spotkań, bo młodzi będą się czuli trochę nieswojo i zniechęcą się do uczestnictwa. Tymczasem Jan Paweł II swoim cierpieniem, swoją obecnością udzielał młodym ostatniej lekcji człowieczeństwa; uczył młodych co to znaczy być chorym, starym człowiekiem. Powiedział nam kiedyś kardynał Schönborn, że powtarza swoim seminarzystom: obserwujcie uważnie Jana Pawła II, bo od czasu Cesarza Franciszka Józefa nikt nie widział wielkiego władcy, wielkiej osobowości, która się starzeje na oczach świata i nie wstydzi się swojej starości. To też była ważna nauka, nie tylko dla młodych, ale też ludzi starych i cierpiących. Wszyscy chyba mamy w pamięci ostatnią w życiu Jana Pawła Drogę Krzyżową, kiedy to, trzymał się kurczowo krzyża jako ostatniego źródła mocy. Wtedy też pouczył młodych, że zjednoczony z Chrystusem cierpiący, stary człowiek nosi w sobie Boże podobieństwo. Takie nauczanie docierało także i do tych (a nie jest ich mało) którzy nie czytali papieskich dokumentów i homilii.

Jak państwa słucham, to myślę sobie, że to jest bardzo ważna lekcja dla nas, nauczycieli. Jan Paweł II był genialny, gdy chodzi o budowanie ludzkich więzów. Nie da się zbudować dobrej szkoły, dobrej klasy, wspólnoty wychowującej, jeśli nie ma relacji na tym podstawowym ludzkim poziomie, przyjaźni, bliskości. Pod tym względem był mistrzem świata. Pan profesor mówił o logicznym życiu. Benedykt XVI zwraca uwagę, że słowo: „logiczne" pochodzi od słowa „logos", czyli „Słowo (Logos), które stało się ciałem". Papież cytuje św. Pawła, który pisze o „rozumnej służby Bożej" (Rz 12, 1). W oryginale mowa jest o „logicznej" służbie Bożej, czyli zgodnej z Logosem, ze Słowem, które stało się ciałem. Boża logika polega na tym, że Bóg schodzi do nas, że się wciela, że możemy Go dotknąć, możemy Go

spotkać. U Jana Pawła II było widać tę „logiczną" służbę Bożą. To jest też dla mnie ogromnie ciekawe, że On uczył bycia szczęśliwym. Nieraz świętość kojarzy się nam z wielką męczarnią, a nie z radością. Czy da się w ten sposób uczyć młodych, żeby oni byli coraz bardziej szczęśliwi, żeby ich cieszyło to, że mają taką szkołę, takich nauczycieli, taki Kościół itd.? Ufam, że to się nam układa w pewną opowieść… Chciałbym teraz zapytać o Papieża jako o patriotę, o jego miłość do Ojczyzny. To jest też jakiś rys ważny dla nas jako wychowawców, nauczycieli. Jak dzisiaj uczyć patriotyzmu? Ten temat się pojawia się często w kontekście naszych relacji z Europą. Jest obecny rodzaj propagandy, niechęci do patriotyzmu, którą serwuje nam od ponad 20 lat środowisko „Gazety Wyborczej". Na tym tle – Jan Paweł II jako człowiek, który nie wstydził się pokazywać swej miłości do Polski. W Nim nie było żadnych kompleksów, które często my, jako Polacy mamy albo się je nam wmawia. Czy Państwo mogą pokazać jakiś obrazek z życia ukazujący miłość papieża do Polski?

SG: Pytanie jest trudne. Nie wiem, czy potrafię sprostać wyzwaniu, jakie ksiądz rzucił w naszą stronę. Wydaje mi się tak: Papież Jan Paweł II zakorzeniał się w ojczyznę odsłaniającą przed nim swoją przestrzeń w osobach, dla których on był obecny i które były obecne dla niego. Widział ją w bezgranicznej całości. Nie zatrzymywał się w jej fragmentach, zdefiniowanych geograficznie czy nawet kulturowo. Polska była dla niego miejscem, w którym wszystko w jego życiu się poczęło, w którym jednak nie wszystko się kończyło. Jego wiara stawała się, jak mówił, określoną kulturą, ale nie sprowadzała się do niej. Nosił w sobie tradycję tysiącletniej historii Polski, ale włączał tę tradycję w tradycję poprzednich wieków. Kochał Polskę w Polakach. Kochał ją w nich dlatego, że

kochał w nich Boski płomień z góry Horeb i pragnął, żeby on rósł, grzał i rozjaśniał wszystko dokoła. Ojczyzna jest zawsze trochę dalej.

Myślę, że św. Jan Paweł II miał dwie wizje kultury. Kultura w głębszym znaczeniu polega na tym, że uprawia się ziemię w człowieku, pod człowieczeństwo, tak jak rolnik uprawia swoją ziemię pod przyszłe zboże (łaciński czasownik colo, colere, cultum znaczy uprawiać ziemię. Słowo kultura zostało utworzone w oparciu o imiesłów czasu przyszłego tego czasownika i znaczy to, co jest do uprawiania). Różnie jednak uprawia się ziemię. Są, jeśli mogę tak powiedzieć różne kultury jednej kultury. Kultura europejska różni się od kultury afrykańskiej czy azjatyckiej, a te różnią się także między sobą. Wszystkie one schodzą się w jednej kulturze, w tym uprawianiu człowieczeństwa w człowieku pod jego przyszłość. Kultury mają określony czas trwania. Kultura natomiast trwa i będzie trwać tak długo, jak długo trwa i będzie trwać człowiek na ziemi.

W kulturze, przede wszystkim w jej pierwszym znaczeniu, leży przyczyna, dla której św. Jan Paweł II nie cierpiał na kompleks polskości i o której z dumą mówił w UNESCO w Paryżu w 1980 r. Na sposób polski uprawiali w sobie ziemię pod przyszłe plony św. Maksymilian Kolbe, św. Adam Chmielowski, święty Stanisław biskup krakowski i wiele innych osób, niekoniecznie wyniesionych na ołtarze. Oni tworzyli w najgłębszym znaczeniu tego słowa kulturę w kulturze polskiej. Tworzyli kulturę, którą mierzy się nie erudycją, technicznym postępem, lecz znaną tylko Bogu wielkością wiary, nadziei i miłości.

Jan Paweł II znał słabości Polaków. Nieraz rozmawialiśmy o tym. Bardzo się bał o nich, kiedy w ’89 roku odzyskali wolność i niepodległość. Co teraz będzie? – pytał. Napominał Polaków. Oni jednak nie chcieli go zrozumieć, kiedy przyszedł do nich i zaczął przypominać Dekalog. Oczekiwali, że zadowoli się festiwalami. Ale on kochał Ojczyznę,

a nie festiwale i pomniki. Praxis pozbawiona jednoczenia się z Logosem może sprawiać przyjemność, ale będzie to przyjemność czcza.

LG: Zgadzam się z mężem, że to pytanie jest bardzo trudne, ale proszę sobie uświadomić, że poruszona w pytaniu rzeczywistość była dla Ojca Świętego bardzo trudna. Był pierwszym po przeszło czterystu latach papieżem, którego ojczyzną nie były Włochy. Mimo to Jan Paweł II potrafił połączyć polskość z katolicyzmem powszechnym. Potrafił służyć Kościołowi, nie wyrzekając się niczego co wyniósł z Polski. Potrafił przekazać Kościołowi i światu te wartości polskiej kultury które go uformowały. Wystarczy wspomnieć jego homilię na inauguracji pontyfikatu, kiedy mówił jak trudno Mu opuścić swój ojczysty kraj i zacytował Mickiewicza. To było pierwsze wprowadzenie elementu kultury czysto polskiej do nauczania papieskiego. Potem było słynne przemówienie w UNESCO, na początku którego przedstawił się jako syn narodu polskiego. Trzeba przyznać, że uczył nas, Polaków, jak można przekazać to, co najpiękniejsze i najcenniejsze w naszej kulturze.

Mam w pamięci jeden obrazek, który może Państwo pamiętają. Było to w czasie pielgrzymki Papieża do Stanów Zjednoczonych, kiedy na stadionie w Nowym Jorku odprawiał Mszę świętą. W homilii mówił o tym, że w pieśniach religijnych jest dużo mądrości, również i teologicznej mądrości. Jako przykład wspomniał kolędę „Bóg się rodzi", która znakomicie tłumaczy fakt Wcielenia Syna Bożego. Streścił krótko treść kolędy, po czym bez cienia zażenowania zaczął tę kolędę śpiewać. A ponieważ miał świetny głos, wszystkim się bardzo podobało. Znalazło się też kilku Polaków, którzy się przyłączyli do Papieża, a wszyscy zaczęli bić brawo. To też jest przykład, jak można promować wartości narodowej kultury.

W papieskim nauczaniu obecne jest także jego zafascynowanie poezją Norwida, którego często cytował. Komentatorzy i współpracownicy Jana Pawła II mieli z tym trochę kłopotu, bo nie znając Norwida myśleli na początku, że to jakiś Norweg. Ale powoli Norwid stawał się znanym poetą. Jan Paweł II wprowadził też jedno pojęcie, które w Krakowie dla uczestników duszpasterstwa Karola Wojtyły i Jana Pietraszki było oczywiste i zrozumiałe. Chodzi mi o sformułowanie mówiące o wierze, która się wciela w kulturę. Papież mówił, że kultura chrześcijańska, która wyraża pewne prawdy wiary, jest w pełnym tego słowa znaczeniu kulturą. To jest przykład jak Papież potrafił przekazać to, co wyniósł z Krakowa, z Polski. Potrafił to przekazać, a czy zostało przyjęte – nie wiemy. Może się dowiemy za 100 lat, ale już dziś możemy powiedzieć, że przekazał Kościołowi i światu najcenniejsze wartości polskiej kultury.

Myślę, że Jan Paweł II zrobił taką promocję Polski, jej kultury, tradycji, historii, jak żaden Polak w historii. Mówiłem wcześniej o pewnym kompleksie Polaków, który nieraz na Zachodzie się pojawia. On bierze się po trochu stąd, że jest jakaś zarozumiałość Zachodu, który patrzy na Wschód z lekceważeniem. Jan Paweł II pokazał się tam, na Zachodzie, jako człowiek z tak rozległym wykształceniem, z takimi horyzontami, z taką wiedzą, że oni przecierali oczy ze zdumienia. Ale on z całą pokorą mówił im, że nie jest cudownym dzieckiem, ale dziedzicem 1000-letniej historii Polski. Myślę, że to jest rzecz, którą warto cały czas przypominać. Dzięki niemu odzyskaliśmy poczucie wartości jako Polacy, zaleczyliśmy w dużym stopniu ten swój kompleks wobec Zachodu. Pan profesor chciał jeszcze dopowiedzieć.

SG: Ad verbum chciałbym przypomnieć dwa wydarzenia. W 1978 roku kardynał Wojtyła wygłosił na Uniwersytecie Katolickim w Mediolanie

odczyt, w którym przedstawił swoją wizję kultury. Jest to bardzo piękny i pouczający tekst. Myślę, że on będzie coraz głębiej wchodził w krwiobieg kulturowego myślenia w świecie zachodnim. Przedstawioną w tym tekście wizję kultury kardynał Karol Wojtyła oparł na znanym fragmencie poematu Cypriana Kamila Norwida „Promethidion". Wspomnę kilka słów z tego fragmentu: Piękno jest kształtem miłości (..), piękno jest po to, by zachwycało do pracy, a praca – aby się zmartwychwstało. W tych kilku słowach Norwida Wojtyła dopatrzył się prawdy kultury kultur i jej związku z religijną wiarę w eschatologiczną Przyszłość osoby ludzkiej. To, co ksiądz Jaklewicz nazwał najlepszą promocją kultury Polski, powinno być realizacją tej poezji. Słabo promują Polskę festiwale pierogów czy barszczu… Promuje się ją, pokazując życie i pracę wielkich Polaków, to znaczy tych, którzy całym życiem byli tak obecni dla innych, że kiedy była tego potrzeba, oddali za nich życie.

Drugie wydarzenie miało miejsce na Placu św. Piotra w Watykanie koło godziny 11-tej wieczorem, w dniu Mszy świętej inauguracyjnej 22 października 1978 roku, na której byliśmy razem z żoną. Wracając od przyjaciół Włochów, zatrzymaliśmy się na chwilę na wprost Domu Apostolskiego. W pokoju, w którym pracuje… pracował Papież (dzisiaj papież, jak wiecie, mieszka w hotelu, dzisiaj papież nie ma swojego domu, jest bezdomnym człowiekiem…), paliło się światło. Przypomniał mi się Sienkiewiczowski latarnik. Ból swojej tęsknoty za ojczyzną Jan Paweł II wyraził przed kilkoma godzinami w homilii słowami Mickiewicza, z „Pana Tadeusza". Patrząc wtedy na światło w oknie pokoju tego latarnika, próbowałem wczuć się w nową sytuację kardynała Wojtyły, w jego myślenie o powierzonym mu piotrowym uprawianiu ziemi, myślenie błąkające się po malowanych polach z polskiej epopei. Po powrocie do Krakowa napisałem wspomnienie mojego zapatrzenia się w światło

okienne na Placu św. Piotra i opublikowałem je w Znaku pod tytułem: „Pod kolumnadą Berniniego". Po kilku tygodniach otrzymałem list od Papieża, w którym znajduje się między innym takie zdanie: „Przeczytałem twój tekst. Wzruszyłeś mnie do łez". To chyba jest jeden z objawów jego patriotyzmu wprzęgniętego w posługę Piotrową dla ludzkości.

On wiedział, co to jest cierpienie. Cierpienie nie utożsamia się z bólem w kolanie czy w uchu. Cierpi ten, kto wie, że musi umrzeć dla siebie, aby się zmienić i stać nowym człowiekiem. Cierpi ten, kto wie, że musi wyjść ze swojego kraju i iść, nie wiedząc, dokąd idzie, że musi dać się prowadzić Bogu, nie wiedząc, dokąd On go prowadzi. Tak musiał cierpieć Abraham, który pozwolił, żeby kierowała nim tylko wiara w Boga. Abraham jest przykładem wielkiego patriotyzmu.

W kontekście tematu neutralności, który tu wcześniej poruszałem, Jan Paweł II jest żywym zaprzeczeniem tej nowoczesnej neutralności głoszonej rzekomo w imię otwartości na innych. On był tak mocno zakorzeniony w konkretnej kulturze, w polskości, wręcz zakochany w tej kulturze. I okazuje się, że taki właśnie człowiek o zdecydowanej tożsamości był zarazem szalenie otwarty na inne kultury, na innych ludzi, na uniwersalizm. A fundamentem jest człowieczeństwo. Ono jest kluczem do tej otwartości. Myślę, że to nam się układa w ciekawą opowieść o Janie Pawle.

Ostatnie moje pytanie dotyczy Jana Pawła II jako tego, który został nazwany przez papieża Franciszka w czasie kanonizacji, Papieżem Rodziny. Jana Pawła II fascynowała miłość mężczyzny – kobiety i prawda o tej miłości. Jego teologia ciała wyrosła jako dojrzały owoc tej fascynacji. Jeśli Państwo zechcą, to prosimy opowiedzieć, czy Karol Wojtyła wpłynął też jakoś na wasze małżeństwo? Ale pytanie bardziej podstawowe jest takie: skąd się wzięła ta papieska fascynacja tą tematyką? Nie ma sprawy

ważniejszej w życiu niż miłość, i chyba właśnie dlatego Zły bardzo mocno atakuje sferę ludzkiej płciowości, seksualności. Na tym tle Jan Paweł II i jego nauczanie o małżeństwie, o miłości, ten jego patos w spojrzeniu na te kwestie, to coś bardzo niezwykłego. Przyznam, że dopiero niedawno przeczytałem z uwagą jego katechezy środowe o małżeństwie, zmobilizowany przez pewne małżeństwo. Odkryłem ze zdziwieniem, że w ogóle nikt nas tego w seminarium nie nauczył. Nikt nam nie pokazał tego bogactwa, nikt nas tym nie zafascynował. Oczywiście to jest język bardzo trudny. Tego nie da się czytać tak jak czyta się gazetę. Natomiast jak człowiek wejdzie już w ten świat, to zauważa, że to jest mądre, głębokie, fascynujące. To spojrzenie, które jest odpowiedzią Kościoła na spustoszenie w tej dziedzinie, które widzimy w świecie. Przypatrując się z bliska dwóm synodom o rodzinie zastanawiałem się, dlaczego żaden z biskupów nie powiedział: „przeczytajmy tę książkę i spróbujmy tym żyć". W Kościele wciąż jest słaba recepcja tego nauczania. To jest ciągle, jak powiedział George Weigel, teologiczna bomba zegarowa, która kiedyś wreszcie wybuchnie.

LG: Sądzę, że Ojciec Święty jest nadal duszpasterzem, którego niewielu naśladuje, a jego nauczanie o małżeństwie i rodzinie jest mało znane. W nielicznych chyba seminariach wykłada się teologię ciała. Trzeba przyznać, że Pan Bóg tak pokierował losami Wojtyły, że mógł pracować jako duszpasterz, a także studiować i wykładać na uniwersytecie. Jednak dla jego nauczania o małżeństwie i rodzinie decydujące było jego spotkanie z młodymi w kościele św. Floriana. To oni przyszli do niego i powiedzieli: Proszę księdza, my chcemy się dowiedzieć, jak się przygotować do małżeństwa. A ksiądz Karol nie zaczął ich uczyć, tylko zaczął z nimi rozmawiać, pytać, jakie są ich oczekiwania, jakie są ich marzenia, jak oni przeżywają swoją miłość W czasie tego dialogu, jak to sam powiedział: zakochał

się w ludzkiej miłości, bo poznał piękno czystej, pięknej miłości między mężczyzną i kobietą. Nigdy nie przekraczał granicy tej intymnej rzeczywistości, w której uczestniczy tylko mąż i żona. Dla mnie znamienne jest to, że np. swojemu najbliższemu przyjacielowi, Jerzemu Ciesielskiemu radził, żeby się spowiadał albo u księdza Pietraszki albo w Tyńcu. Świadczy to o Jego wielkiej delikatności. Nigdy nikogo nie zmuszał do zwierzeń, a jednocześnie tak uważnie słuchał, że potrafił zrozumieć doświadczenie ludzkiej miłości. Owocem tego słuchania i dialogowania z młodymi jest pierwsza książka Karola Wojtyły: „Miłość i odpowiedzialność". Chociaż jest o wiele łatwiejsza niż cykl katechez „Mężczyzną i niewiastą stworzył ich", to wątpię, czy jest wystarczająco studiowana. Trzeba powiedzieć, że Jan Paweł II do końca życia był wierny tej miłości, nie przestawał miłować ludzkiej miłości. Nie przestawał ukazywać piękna ludzkiej miłości w czasach, kiedy ta miłość jest ośmieszana, po prostu nie kochana. Potrafił przekazać swą fascynację tysiącom młodych na całym świecie.

Pamiętam jedno spotkanie, które ilustruje temat miłości. Otóż Czesław Miłosz, po odebraniu Nagrody Nobla przyjechał do Rzymu ze swoim synem, gdyż pragnął się spotkać z Ojcem Świętym. Zostali zaproszeni na Mszę św. i śniadanie. W czasie śniadania syn, który miał dosyć skomplikowane życie rodzinne, powiedział: Ojcze Święty, ja bardzo Ojca Świętego cenię, ale chciałbym prosić, żeby Ojciec Święty złagodził swoje wymagania moralne wobec młodych, dlatego że to, co Ojciec Święty mówi jest zbyt surowe, zbyt trudne. To jest po prostu niemożliwe do przyjęcia i młodzież odejdzie od Ojca Świętego. Jan Paweł popatrzył na młodego Miłosza typowym dla Niego, trochę ironicznym a trochę serdecznym, spojrzeniem i powiedział: Wiesz młody człowieku, ja już od czterdziestu paru lat nad tym się zastanawiam. Zapewniam cię, że to jest możliwe i że to jest piękne. Znam osobiście takich ludzi, którzy się ze mną zgadzają.

W czasie Światowych Dni Młodzieży, kiedy Ojciec Święty mówił o trudnej miłości, młodzi bili brawo. Mówił o czymś takim, o czym oni nigdy nie słyszeli. Myślę, że duszpasterstwo ma tutaj jeszcze dużo do zrobienia, dużo do powiedzenia. Duszpasterstwo – począwszy od młodzieży szkolnej a skończywszy na małżeństwach – powinno pokazać to, co jest istotą pięknej miłości. Obserwując Wojtyłę można się takiego duszpasterstwa nauczyć. We wstępie do książki „Miłość i odpowiedzialność", przyznaje, że dla niego jako duchownego, doświadczenie miłości między mężczyzną a kobietą jest „doświadczeniem pośrednim". Jednak tak bardzo pokochał młodych oraz ich miłość, że potrafił ich doświadczenie przekazać w sposób wiarygodny. Potrafił przekonać wielu czytelników, że opisana przez niego miłość jest nie tylko piękna, ale jest także możliwa.

Na koniec pragnę dodać, że człowieczeństwo Wojtyły wyrażało się w jego wierności przyjaźniom. On nigdy nie odrzucał ludzi, nie wyrzekał się tych, którzy w jakiś sposób Go zawiedli. Jego miłosne zrozumienie człowieka, obejmowało także tych przyjaciół, którzy zbłądzili. Nigdy ich nie potępiał, tylko modlił się i czynił wszystko, żeby naprawili błędy.

Myślę, że taka postawa jest bardzo ważna w duszpasterstwie małżeństw i rodzin. Duszpasterz winien stale towarzyszyć małżonkom i rodzinom, a wówczas zauważy, kiedy potrzebują pomocy. Pamiętam, że biskup Jan Pietraszko najczęściej odwiedzał tych, którzy mieli kłopoty małżeńskie. Jestem przekonana, że można by uniknąć wielu rozwodów w Polsce, gdyby duszpasterze, którzy błogosławili małżeństwo, towarzyszyli małżonkom na co dzień. Myślę, że jest to możliwe. Znam księży, którzy zapobiegli rozbiciu małżeństwa dzięki temu, że towarzyszyli małżonkom, że ciągle im przypominali o ich wierności, o konieczności pokonywania trudności, bo wierność to nie jest jedno słowo raz wypowiedziane, wierność trzeba „wypowiadać" przez całe życie.

SG: Tajemnica pięknych owoców duszpasterskiej pracy świętego Jana Pawła II z małżeństwami i z rodzinami promienieje z jego współuczestniczenia w ich miłości. On poznawał małżeńskie i rodzinne problemy przez to, że brał w nich udział. W ten sposób on wychodził ze samotności i, przebywając w małżonkach oraz w ich dzieciach, poznawał prawdę miłości, czyli prawdę człowieka. Myślę, że On uczył się miłości, uczestnicząc w sposób mniej lub więcej świadomy w miłości swoich rodziców, a zwłaszcza w miłości ojca, który pozostał przy żonie nawet po jej śmierci. Miłość dojrzewająca do małżeństwa fascynowała go. Po maturze studiował polonistykę, a nie teologię. Uczestniczył w pracach Teatru Rapsodycznego. Pan Bóg jednak zamknął przed Nim drogę miłości małżeńskiej, powołując go do kapłańskiego służenia małżeńskiej i rodzinnej miłości innych, w której w imieniu Boga miał być tym trzecim. Miłość małżeńska, jeśli jest miłością, dzieje się zawsze w trójkącie „mąż-żona-Bóg". Kiedy Ludmiła i ja zawieraliśmy ślub przed ołtarzem i kiedy błogosławił nas Sługa Boży biskup Jan Pietraszko, w tym samym dniu, o tej samej godzinie kardynał Karol Wojtyła w Rzymie błogosławił „włoskie" małżeństwo. Nasza przyjaciółka, która była wtedy w Rzymie i uczestniczyła w tej uroczystości, opowiadała nam ze wzruszeniem, że w homilii do włoskich małżonków kardynał powiedział, że łączymy się duchowo z dwojgiem przyjaciół, którzy właśnie w tej chwili w Krakowie ślubują sobie miłość i wierność.

To, co tworzy wierną miłość, trwa. Nie rozpływa się w nicości. Świętość Jana Pawła II, czyli jego dojrzewanie do daru miłości objawiało się przede wszystkim w wiernym, trwałym towarzyszeniu miłości łączącej mężczyznę i kobietę w „jedno ciało".

Miłować ludzką miłość ksiądz Karol Wojtyła nie uczył się w seminarium, bo on nie przeszedł przez nie. On przygotowywał się do kapłaństwa

podczas wojny niemal prywatnie, mieszkając przez jakiś czas z kilkoma innymi, takimi jak on klerykami, w domu metropolity księcia Adama Stefana Sapiehy. Może dzięki temu nieseminaryjnemu życiu umieli oni służebnie miłować małżeńską miłość innych. Przepraszam za tę dygresję.

Podczas naszej rozmowy w zeszłym roku po pierwszym synodzie Pan profesor mówił, że niewątpliwie jest konieczne zbliżenie drogi kapłańskiej czy życia konsekrowanego z drogą życia małżeńskiego. Ostatecznie chodzi o miłość. Obie te formy miłości siebie nawzajem potrzebują jako zasilanie, wzajemnie dla siebie mogą być płodne. Takie zbliżenie może też strzec od pewnych niebezpieczeństw, tak mi się wydaje. Papież Jan Paweł II doprowadził do powstania instytutu naukowego, który się zajmuje małżeństwem i rodziną. Pan profesor właśnie z tym instytutem się związał i od lat o ten instytut dba, pracuje dla niego i mu służy, Pani Ludmiła, choć bez etatu, także. Proszę o parę słów o tej instytucji, bo myślę, że warto wiedzieć o tym dziele.

SG: Na początku swojego istnienia Papieski Instytut Jana Pawła II do Studiów nad Małżeństwem i Rodziną stanowił część Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego w Watykanie. Dziś jest autonomiczną instytucją. Preside – Dyrektor Instytutu – jest z nominacji Papieża, profesorowie przechodzą normalny tryb „kariery" profesorskiej w Państwie Watykańskim. Autonomia pozwala Instytutowi zakładać filie i kampusy na całym świecie. Obecnie mamy ich, jeżeli się nie mylę, jedenaście. Są one rozsiane po wszystkich kontynentach świata. Tworzą całość, której „sercem" jest Instytut w Rzymie. Studia w Instytucie mają charakter specjalistyczny. Przyjmujemy tylko tych, którzy ukończyli jakieś studia i mają tytuł, mówiąc po naszemu, przynajmniej magistra. Oferujemy

trzy programy: master, licencjat i doktorat. Wykładane są filozofia, teologia oraz nauki ścisłe (psychologia, psychiatria, medycyna). Wszystkie one skupiają się na tym, co nazywa się communio personarum.

Instytut powstał w przedziwnych okolicznościach. Papież myślał o nim już w Krakowie. Zamierzał ogłosić jego powstanie w dniu 13 maja 1981 roku. Niestety zamach na jego życie dokonany przez Ali Ağcę stanął temu na przeszkodzie. Odpowiedni papieski dokument ogłoszono bodajże we wrześniu tego samego roku. Niemniej jednak dzień 13 maja jest dniem założenia Instytutu, a jego opiekunką jest Matka Boska Fatimska. Wykłady rozpoczęły się w październiku. Od pierwszego dnia biorę w nich udział aż do dziś mimo przejścia na emeryturę.

Jeszcze przed powołaniem Instytutu do życia Papież zapraszał przyszłych profesorów do siebie, do mieszkania, i poświęcał kilka godzin na to, żeby wspólnie z nimi myśleć o treści i kształcie nowej wspólnoty akademickiej. Podkreślał, że Instytut powinien być rodziną, w której profesorowie i studenci razem pracują, modlą się a nawet, jeżeli to możliwe, jedzą. Nawiązywał do średniowiecznej universitas studiorum, w której poszukiwanie prawdy było wspólnym trudem profesorów i uczniów. Spotykał się z nami także w ciągu pierwszych lat pracy Instytutu, dwa, trzy razy do roku, i rozmawiał z nami tak, jak rozmawia się w rodzinie o istotnych dla niej problemach.

Zorganizowanie tego Instytutu polecił księdzu profesorowi Carlo Caffarra, który przez 13 lat sprawował urząd Preside. Potem Mons. Caffarra został arcybiskupem Ferrary, skąd przeszedł do Bolonii. Kapelusz kardynalski otrzymał z rąk Benedykta XVI. Wszyscy są zgodni, że myślenie kardynała C. Caffarry harmonizowało z myśleniem Jana Pawła II. Potrafił on urzeczywistnić pragnienie Papieża tak, że do dzisiejszego dnia panuje w Instytucie atmosfera rodzinna, w której można

żyć i myśleć logicznie, czyli, jakby powiedział ksiądz Jaklewicz, w harmonii ze Słowem wcielonym (Logos). Dodam: w harmonii z tajemnicą Miłości obecnej w Eucharystii. Mogę dać temu świadectwo, bo pracuję w tym Instytucie od pierwszego dnia jego istnienia (dzisiaj prawie wszyscy profesorzy to moi studenci). Jestem w Instytucie starym świadkiem początku.

Dzisiaj, kiedy gromadzą się czarne chmury nad małżeństwem i nad rodziną, widać, jak bardzo profetyczna była decyzja św. Jana Pawła II, dzięki której powstała ta przedziwna instytucja na pięciu kontynentach świata. Ośmielam się prosić was o krótką modlitwę złożoną na ręce Matki Boskiej Fatimskiej w intencji Instytutu św. Jana Pawła II.

Proszę Państwa, myślę że moglibyśmy jeszcze długo słuchać opowieści Państwa Grygielów. Ja chciałbym w imieniu swoim i wszystkich nas tutaj zgromadzonych podziękować za to, że Państwo tu przyjechali z Rzymu, poświęcili czas i są z nami. Dziękuję za te piękne słowa o Janie Pawle II. Myślę, że dzięki temu świadectwu, dzięki Waszej opowieści, Jan Paweł II też był razem z nami. Człowiek – wielki święty, piękny człowiek, patriota, zakochany w ludzkiej miłości. Pan profesor powiedział, że wspomniany Instytut działa jak rodzina. Niech to będzie taka końcowa podpowiedź i życzenie dla wszystkich szkół, żeby były jak rodzina. Papież Franciszek często powtarza, że podstawową wspólnotą, modelem dla innych ludzkich wspólnot pozostaje rodzina, która swoimi korzeniami sięga do wspólnoty Ojca, Syna i Ducha Świętego. Pięknie dziękuję za to rodzinne spotkanie.

Abp Henryk Hoser

Homilia wygłoszona 13 listopada 2015 r. podczas XXVI Forum Szkół Katolickich

Drodzy Bracia i Siostry, uczestnicy XXVI Forum Szkół Katolickich,

jest to ważna okoliczność – dni zadumy, poszukiwań, odkryć, które dokonujemy tutaj, w tym przyciągającym miejscu, które nas urzeka również swym pięknem. Każde sanktuarium Maryjne jest piękne. Przychodzimy tutaj i patrzymy na piękną postać Najświętszej Maryi Panny, na Jej piękną twarz. Kontemplujemy to piękno i jednocześnie odkrywamy w Niej Matkę i Wychowawczynię. To pod Jej wzrokiem Forum się odbywa i Jej też owoce tego Forum powierzamy, żeby były liczne i dojrzałe.

Dzisiaj Słowo Boże skierowane do nas, jak zwykle, odpowiada okolicznościom miejsca i czasu. Ci, którzy wsłuchują się w to Słowo Boże codziennie, odkryją taką jego tajemnicę, że zawsze wpisuje się w ten czas i w tą przestrzeń, w której jest odczytywane. Dlatego Słowo Boże jest naszym głównym wychowawcą i słuchanie tego Słowa, wczytywanie się – *Lectio divina*, jest tak ważne, byśmy odkryli w naszym życiu obecność Bożą. Tak jak użyliśmy tego pozdrowienia na początku Mszy świętej:

Łaska i pokój od Tego, który jest i który był, i który przychodzi. Przychodzi w swoim Słowie do nas, skierowanym tu i teraz. Dzisiaj mamy taki szczególny fragment Księgi Mądrości, który odczytujemy w obecności Matki Bożej – Stolicy Mądrości. Mądrość jest cechą, która też opisuje co to znaczy być obrazem Bożym w człowieku. Jesteśmy przecież stworzeni na obraz i podobieństwo, to znaczy, że cecha mądrościowa – ten rys mądrościowy powinien człowieka charakteryzować; każdego, którego Bóg powołał do istnienia poprzez to tchnienie nieśmiertelności, które mu dał. Stąd też wczytywanie się w Księgę Mądrości, która jest późną księgą Starego Testamentu, napisaną w kontekście mądrości filozofii greckiej, hellenistycznej, jest dla nas – zwłaszcza nauczycieli, zwłaszcza rodziców – tak bardzo ważna. Fragment dzisiaj przedstawiony uczy nas, by szukać autora poprzez jego dzieło. Gdy oglądamy piękny obraz, oglądamy dzieło rzeźbiarskie, czytamy jakiś utwór literacki to zaraz się pytamy: kto to zrobił, kto to namalował, kto to wyrzeźbił, kto napisał? Szukamy tego, kto napisał, bo chcemy przez jego osobę lepiej zrozumieć dzieło, które stworzył. W tym duchu, w tej logice Księga Mądrości uczy nas dzisiaj, że piękno stworzenia, które jest wyrażone poprzez kulturę, poprzez literaturę, jest odbiciem piękna Boga samego. Tylko człowiek jest w stanie odczytać to piękno, bo przecież zwierzęta nie mają poczucia piękna – a są piękne, też je podziwiamy. Trzeba przyznać, że to, co w nas jest przypadłością – w Bogu jest istotą, to znaczy, że Bóg jest pięknem. Nie tylko jest piękny, ale jest pięknem. To człowiek może być piękny – ale nie musi. To człowiek może być mądry – ale nie musi. To jest przymiotnik, jesteśmy bytami „przymiotnikowymi" (mówię do nauczycieli), podczas gdy Bóg jest „rzeczownikowy": On jest Miłością, On jest Sprawiedliwością, On jest Miłosierdziem, On jest Pięknem. I o tym nigdy nie zapominajmy.

Jeżeli chcemy coś z tego, czym Bóg jest – kim Bóg jest, mieć w sobie, to musimy się zwracać do źródła, a więc: do źródła mądrości, źródła miłości, sprawiedliwości, miłosierdzia, bo tylko stamtąd możemy je czerpać. Mówi autor Księgi Mądrości, że „z wielkości piękna stworzeń poznaje się przez podobieństwo ich Stwórcę". To jest takie syntetyczne ujęcie tego, że poprzez wielkość i piękno stworzeń można Go poznać.

Przypominał nam św. Jan Paweł II, że miłość jest odpowiedzią na piękno, że zakochani jesteśmy w pięknie. Dlatego tutaj warto to powtórzyć i przypomnieć, bo we wszystkich objawieniach Maryjnych te proste dzieci – czy z Fatimy czy z Lourdes czy z innych okoliczności, innych miejsc: Kibeho – ostatnie objawienie się Matki Bożej w Afryce (pierwsze też w całej Afryce), mówią to samo. Ona jest piękna, piękna tak, że nie sposób tego wyrazić. Jest poza tym zawsze bardzo młoda, a więc ukazuje to, co jest istotne w Bogu: młodość Jego ducha i jednocześnie piękno Boże, które w Niej wyraża się w sposób absolutnie piękny. Warto o tym pamiętać, że Bóg jest piękny, że Matka Boża jest piękna, bo do tego piękna lgnie nasze serce ludzkie spragnione piękna w morzu brzydoty i ohydy, i obrzydliwości – mówię słowami Biblii, Pisma Świętego. Idźmy zatem w kierunku tego piękna, tak jak śpiewamy w Godzinkach: „Piękna jesteś przyjaciółko moja, słudzy Twoi zakochali się bardzo w Tobie". To jest zresztą cytat, to jest cytat „Pieśni nad pieśniami", i dzisiaj możemy też to Jej powiedzieć: piękna jesteś przyjaciółko moja.

Zakochajmy się w Niej. Jeżeli Bóg stworzył świat piękny, który podziwiamy – w kwiatach, w krajobrazach, w porach roku, w kolorach, kształtach – to przecież podziwiamy to piękno człowieka, którego właśnie jest wyrazem Najświętsza Maria Panna – najdoskonalsze stworzenie jakie wyszło z rąk Stworzyciela. O tym też nie wolno zapominać, że to Ona – człowiek jest tym najdoskonalszym stworzeniem i przez to

stała się Królową Aniołów. To jest niebywałe. Niektórzy mistycy mówili, że aniołowie się zbuntowali w perspektywie tego, że człowiek będzie ich Królową. Nie mogli tego znieść, bo bytowo są wyżsi od człowieka. A zatem Ona jest uosobieniem również piękna i innych doskonałości – Niepokalanie Poczęta, i przez to już jest piękna. To piękno w człowieku musimy zauważać, nawet w tym człowieku zniekształconym, tym człowieku, który jest okaleczony, który jest niepełnosprawny. On ma w sobie to zarzewie piękna i powinien to piękno uosabiać i ukazywać. A zatem jesteśmy też na piękno w pewnym sensie zaprogramowani – nie powiem: skazani, bo to źle brzmi – ale zaprogramowani do piękna. Jeżeli chcemy kochać musimy umieć odkrywać piękno.

Wychowanie szkolne również polega na tym, żeby dzieci, młodzież uczyć piękna, bo owszem, reagujemy intuicyjnie – coś nam się podoba, ale to piękno trzeba wyostrzyć. Ono jeszcze w pierwszych takich doświadczeniach życiowych nie jest oczywiste. Uczyć kryteriów piękna jest też istotą naszej misji, ponieważ piękno jest m.in. harmonią, jest proporcją. Polecam nauczycielom podręcznik Władysława Tatarkiewicza „Historia estetyki". Musimy więc też uczyć i tego – tak jak uczymy katechizmu. Dlatego dzisiaj będziemy wdzięczni za to, że te słowa Księgi Mądrości zapadną nam głęboko w sercu.

W innej tonacji przemawia do nas dzisiaj Ewangelia, też tu i teraz w tych okolicznościach, w których żyjemy – a mianowicie: „czuwajcie (..), bądźcie gotowi, bo w chwili, której się nie domyślacie Syn Człowieczy przyjdzie". To jest cechą Boską, którą bez wahania nazywam mówiąc, że według ludzkich miar Bóg jest nieobliczalny. My nie możemy Go zaprogramować, my nie mamy nad Nim żadnej władzy poza tym, że jako dziecko możemy się Jemu oddać z całą oczywistością i zaufaniem. Bóg jest nieprzewidywalny w ludzkich kalkulacjach. Stąd to czuwanie;

bycie gotowymi przyjęcia Jego inicjatyw w historii – mojej osobistej historii, ale również w historii społeczności, w której żyjemy, naszej rodziny, naszego kraju, naszego społeczeństwa, naszego narodu i wszystkich narodów świata – jest właśnie czymś, co jest bardzo głęboko zapisane w Piśmie Świętym. Pan Jezus ciągle nam o tym przypominał, że Jego przyjście będzie niespodziewane i kryterium nie jest pozytywne; kryterium jest raczej negatywne. To znaczy: tam, gdzie nasila się zło, nasila się apostazja, odrzucenie Boga, wtedy następuje czas inicjatywy Bożej.

Uważam, jest to moim wewnętrznym przekonaniem, że ta zmiana, która się dokonuje teraz w atmosferze społecznej w Polsce – jest dziełem inicjatywy Bożej, jest dziełem Ducha Świętego – Tego, Którego przyzywał św. Jan Paweł II. Ten Duch znowu tchnął i coś się zmienia w tej zastygłej, zaskorupiałej sytuacji miernoty i bylejakości – ludzkiej bylejakości. Zaczyna się coś zmieniać, coś drgnęło w ludzkich sercach, w ludzkich umysłach, skoro do takiej zmiany doszło. Nie zapominajmy, że w historii ludzkości znajdują się niewątpliwe epizody apokaliptyczne: wielkie wojny światowe – to była apokalipsa we fragmentach i to, co widział w swojej wizji św. Jan, realizuje się w historii ludzkości. Ale po każdym takim strasznym kryzysie następuje mimo wszystko odrodzenie, bo Duch Boży tchnie w ludzkość, bo Duch Boży nas orzeźwia i otrzeźwia, i On daje nam siły do realizacji dobra.

Jezus mówi (są to Jego własne słowa) – cytując wydarzenia ze Starego Testamentu – najpierw o potopie za czasów Noego, że ludzie prowadzili właśnie takie życie bardzo horyzontalne: zajmowali się tylko tym, co jest związane po prostu z bytowaniem. „Nagle przyszedł potop i wygubił wszystkich", ponieważ stracili zdolność rozeznania Boga w ich życiu. To jest sytuacja, o której mówi się w Księdze Proroka Jonasza. Ta wielka Niniwa, która jest dzisiaj symbolem wielkich miast – megapolis, miasto

wielkie, którego mieszkańcy nie rozróżniali ręki prawej od lewej, stracili zdolność rozróżniania dobra i zła. Na tym polega dekadencja, na tym polega kryzys ludzkości, że traci rozeznanie dobra i zła. Dlatego przychodzi potop, by otworzyć nowa kartę – nowe przymierze, właśnie przymierze z Noem, które Bóg wówczas zawarł.

Podobnie los Sodomy – mamy takie wyrażenie: sodomici – właśnie ludzie, którzy zupełnie stracili poczucie godności ludzkiej i poczucie istnienia Boga w ich sercu i w ich społeczności – i „spadł z nieba deszcz ognia i siarki i wygubił wszystkich". Wreszcie mówi Jezus, że Pan przyjdzie, ten dzień Syna Człowieczego będzie podobny, będzie nagły, będzie niespodziewany. I powie, że nie należy wówczas nigdzie uciekać ani przemieszczać się, bo to spadnie gwałtownie i będzie miało swój skutek. „Pytali Go: Gdzie, Panie? On im odpowiedział: Gdzie jest padlina, tam zgromadzą się i sępy". Te sępy, które odżywiają się padliną, są takim znakiem rozpoznawczym, gdzie się gromadzi zło, byśmy mogli wiedzieć, które miejsca omijać. One są zwiastunami otrzeźwiającej i orzeźwiającej łaski Bożej, która jest naszym zbawieniem i naszym ratunkiem.

Sytuacja świata jest niedobra, bo świat w ogóle traci poczucie i celu i dojścia do celów. Traci również zdolność kierowania wszystkimi procesami, które się na świecie dokonują. Zatem dzisiaj, z tego miejsca wzywamy Boga, by nas zachował; by zachował pokój tego świata, by zachował pokój jedności – i nie tylko całego świata, ale również naszego kraju, naszego społeczeństwa. Nie możemy zapominać tej wielkiej tragedii ludzkiej, która się dokonuje w Europie, że masowo napływają ludzie z innych miejsc ogarniętych wojną i zniszczeniem, i oni liczą na lepsze życie. Tak jak 2 miliony Polaków, którzy wyjechali swego czasu z Polski. Oni na to samo liczą. Ale przecież to nie tędy droga. Trzeba im zapewnić pokój, trzeba im zapewnić bezpieczeństwo, im zapewnić

minimum godności ludzkiej, żeby mogli tam być, gdzie się urodzili – w ich ojczyźnie. Nie jest tutaj rozwiązaniem otwieranie wszystkich granic; nastąpi przemieszczenie się ogromnej masy ludzkości. Nie będzie to satysfakcjonującą kartą w ich życiu, ponieważ to, czego oczekują nie może się spełnić.

Bracia i Siostry, modlimy się, żeby to Forum Szkół Katolickich było Forum mądrościowym, żeby nas uczyło uroku życia, żeby nas uczyło piękna tego życia, żeby nas prowadziło tam, gdzie króluje Najświętsza Maryja Panna, i gdzie możemy wsłuchiwać się w Jej słowa: Róbcie wszystko, cokolwiek wam powie. Amen.

Ks. Abp Wacław Depo

Słowo przed Mszą św.

Przychodzimy tutaj, do Domu Matki, aby przez Jej szczególne wstawiennictwo prosić Syna w naszych codziennych sprawach, które przynosimy, ale przede wszystkim w intencji nas samych. Dzisiaj w sposób szczególny, kiedy gromadzimy się jako Forum Szkół Katolickich i osób odpowiedzialnych za kształcenie i wychowanie obecnego i przyszłego pokolenia, z całą ostrością powracają słowa, które były przedmiotem modlitwy Papieża, Świętego Jana Pawła II: „radość i nadzieja", ale również „lęk i trwoga". Te cztery pojęcia składają się również dzisiaj na naszą modlitwę, bo przychodzimy tutaj dźwigając nie tylko nasze ciężary, ale chociażby ból wczorajszego wieczoru i dzisiejszej nocy. To bestialskie, bolesne starcie w Paryżu ludzi, którzy ginęli dlatego, że byli otwarci na przyjęcie wszystkich. A już dzisiaj, stawiamy sobie pytanie o sens przyjmowania kogokolwiek.

Dlatego stańmy wprawdzie o nas samych, i przeprośmy Boga za nasze grzechy, abyśmy mogli godnie sprawować tę Najświętszą Ofiarę Chrystusa i Kościoła…

Homilia wygłoszona 14 listopada 2015 r. na zakończenie XXVI Forum Szkół Katolickich

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,

Drodzy Bracia i Siostry w Chrystusie, Drodzy Pielgrzymi do „domu Matki", Czcigodne grono Nauczycieli, Wychowawców i Pracowników szkół katolickich naszej Ojczyzny,

Od 26 lat, kiedy podejmujecie jako wspólnota szkół katolickich tę pielgrzymkę, potwierdzacie potrzebę modlitwy i refleksji, by słowo Boga, na podobieństwo wiary Maryi mogło docierać do naszych myśli, decyzji i czynów, oraz tych, którzy są poddani naszej trosce i odpowiedzialności. To wsłuchiwanie się w słowo Boga pozwala nam w pełnej wolności uchwycić się ręki Boga, który nas trzyma i przeprowadza przez życiowe doświadczenia. Autor *Księgi Mądrości* przemierzając najważniejsze etapy historii izraelskiego narodu dostrzega i zapowiada interwencję Boga, który przez swoje Słowo przekształca całe stworzenie. Dlatego w każdym pokoleniu ludzi przechodzących przez ziemię rozbrzmiewa pytanie Chrystusa: Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie? W mocnym akcencie tego pytania przychodzi również podpowiedź samego Chrystusa w początkowym fragmencie dzisiejszej Ewangelii: „zawsze powinniście się modlić i nigdy nie ustawać". Jezus zna nasze życie, jego uwarunkowania, zniechęcenia połączone z lękiem i bezradnością, na podobieństwo owej wdowy niesprawiedliwie traktowanej. Zna każdego z nas i wszystko, co składa się na nasze życie. Tym bardziej zachęca nas do ufnej postawy wobec Ojca, przez Chrystusa, którego prosimy. I zachęca nas wprost do determinacji w modlitwie, wbrew temu, co aktualnie przeżywamy.

Drodzy Bracia i Siostry! Wczoraj, kiedy kończył się dzień i noc wchodziła w swoją głębię, dotarły do nas bolesne wieści z Paryża, gdzie ataki terrorystów pochłonęły ponad sto ofiar ludzkich w tym także zakładników. Powraca więc bolesne stwierdzenie o granice nienawiści… Powraca również owo dzisiejsze słowo niesprawiedliwego sędziego: „Boga się nie boję i z ludźmi się nie liczę". Trzeba to przypomnieć za Świętym Janem Pawłem II, a później Benedyktem XVI i obecnym Ojcem Świętym Franciszkiem, że każda przemoc i gwałt zadawany w imię walki o Boga jest bluźnierstwem. I Bóg wcześniej, czy później upomni się…

Drodzy Bracia i Siostry! Już na początku rozważań rekolekcyjnych młodego biskupa Karola Wojtyły, z 8 lipca 1962 roku, można odnaleźć pewien drogowskaz dla naszych dróg wiary i naszej dzisiejszej modlitwy. Oto te słowa: „We wszystkich doświadczeniach i przemyśleniach trzeba wydobyć wspólny mianownik: <Jestem bardzo w rękach Bożych> i zawartość owego – <Cały Twój>. I gdy jakakolwiek moja sprawa staje się w ten sposób własnością Maryi, można się jej podejmować, choćby nawet zawierała w sobie ryzyko. Chociaż nie wolno szarżować – po ludzku, od strony człowieka, musi być ona także rzetelnie opracowana. Od pewnego jednakże miejsca trzeba opuszczać rachuby ludzkie i jakoś chwytać Boże wymiary każdej trudnej sprawy".

Za Świętym Janem Pawłem II rozumiemy, że każda modlitwa wypływająca z wiary, staje się krzykiem duszy, który przenika Serce Boga, i w ten sposób modlitwa staje się największą siłą przemieniającą świat.

II.

Wykłady, konferencje, homilie z konferencji dyrektorów – 2015 r.

Bp Roman Pindel

Kompetencje i wiara w życiu Nauczyciela Narodów

Uwagi wstępne

Nasza dzisiejsza refleksja będzie dotyczyć życia i dzieła Szawła z Tarsu, który ze względu na znaczenie jego misji dla Kościoła i świata zasłużył na tytuł „apostoła narodów". Zawarty w tym określeniu wyróżnik dany jest Pawłowi jako jedynemu z tych, których określa się mianem „apostoł". Tytuł „apostoł narodów" wyraża zarazem powołanie, do którego ten człowiek został przeznaczony przez Boga – jeden jedyny spośród miliardów, którzy żyli na ziemi, jedyny, który w swojej epoce mógł – i uczynił to kompetentnie – wypełnić to, co Bóg zamierzył w danym momencie dziejowym. Najważniejsze jest to, że ów człowiek rozpoznał swoją misję, podjął ją i zrealizował dzięki kompetencjom – zarówno tym posiadanym już wcześniej, jak i tym, które nabywał w ciągu całego życia i w czasie wypełniania swych obowiązków pojmowanych jako misja. We wszystkim tym obecna była wiara w Boga, który jest Panem dziejów, ale też Panem życia każdego człowieka. Wiara także i w to, że człowiek nie znajdzie spokoju, dopóki nie odkryje i nie spełni zamiaru Bożego wobec swojego niepowtarzalnego życia.

Podstawowym zadaniem każdego człowieka jest rozpoznać, do czego został przeznaczony przez Boga, do czego jest przygotowywany przez wydarzenia i znaki, do czego jest powoływany przez osobiste rozeznanie, obiektywizowanie, decyzje osób odpowiedzialnych i przełożonych. Bóg posyła ludzi na nasze drogi, daje znaki i przeświadczenie w sercu. Na drodze realizowania tego, co Bóg zamierzył będzie stawał Zły, ale i ludzie przeciwni Bogu lub nie rozumiejący Jego zamiarów. W nas także może być niezrozumienie lub jedynie częściowe pojmowanie tego, co Bóg nam przeznacza. Wszystko to jest bardzo wyraźnie widoczne w życiu Szawła z Tarsu.

W perspektywie zamiarów Boga

Z wiary biblijnej i katolickiej wynika jednoznacznie, że to Bóg ma rozstrzygający głos co do dziejów świata, dziejów zbawienia i kształtu naszego życia. Dlatego trzeba nam najpierw zapytać o zamiar Boży wobec Szawła z Tarsu w kontekście ówczesnych wydarzeń w świecie, a zwłaszcza w perspektywie Bożych zamiarów wobec Kościoła w jego początkach.

Jesteśmy w momencie, gdy Chrystus wypełnił już swoją misję. Po chrzcie w Jordanie zaczął gromadzić uczniów, przez trzy lata formował ich i głosił Dobrą Nowinę, wzywając do nawrócenia. Poddając się do końca woli Ojca, pozwolił pojmać się w Ogrodzie Oliwnym, skazać na śmierć i ukrzyżować. Po swoim zmartwychwstaniu dał swoim uczniom najważniejszy nakaz: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego" (Mt 28,19). Reszty miał dokonać Pocieszyciel, zesłany na Apostołów w Dniu Pięćdziesiątnicy.

Zamiar Boży, wyrażony przez Jezusa jest jasny: dobra nowina o pojednaniu z Bogiem przez śmierć i zmartwychwstanie Mesjasza ma być

głoszona każdemu człowiekowi, by uwierzył i przyjął chrzest – każdemu, owszem, od Jerozolimy ale aż po krańce świata (por. Mk 16,15-16; Łk 24,47). Jak ma tego dokonać dwunastu rybaków z Galilei, bez wykształcenia teologicznego, bez znajomości dydaktyki czy zasad rozpowszechniania nowych idei religijnych, bez znajomości języków obcych, potrzebnych do nauczania wszystkich narodów. Poza tym religia żydowska nie zna czegoś takiego jak agitacja religijna, prozelityzm, czy misje do pogan. Żydzi są raczej przygotowani do separacji od narodów pogańskich w przekonaniu, że „zbawienie bierze początek od Żydów" (por. J 4,22), a gdy poganin chce się zbawić, winien przyłączyć się do religii Boga Jedynego (por. Dz 10). Apostołowie, powołani przez Jezusa, nie są zdolni przekroczyć ciasnych ram religii, w której się urodzili. Nie ma co marzyć, by udali się na krańce świata, do pogan, nawet gdy Duch Święty zstępuje na nich w dniu Pięćdziesiątnicy (Dz 2). Apostołowie i cały Kościół pozostają w Jerozolimie, czyniąc ze świątyni miejsce swojej modlitwy i świadectwa o zmartwychwstaniu Jezusa. Gromadzą się ciągle w świątyni (Dz 2,46), w krużganku Salomona (Dz 3,11; 5,12), jak jedna ze szkół któregoś z uczonych w Piśmie. Tu też spotykają ich pierwsze pogróżki i prześladowania (Dz 4,1-3; 5,17.26-28.40-41).

Powracając do tytułu naszego wystąpienia, Dwunastu wybranych przez Jezusa na pierwszych głosicieli Ewangelii nie ma kompetencji, by pójść na krańce świata, do innych narodów. Brakuje im najpierw kompetencji teologicznych, bo nie widzą możliwości zbawienia poganina w oparciu o wiarę. Nie mają kompetencji językowych, ani kulturowych, ani metodologii. Co więc mają czynić? Co jest w tym momencie ważniejsze – kompetencje czy wiara?

W Dziejach Apostolskich znajdujemy opis kilku wydarzeń, które układają się w całość jako różne sposoby przynaglenia Apostołów do

wyjścia z Jerozolimy i ze świata żydowskiego. Najpierw, w wyniku prześladowania i wypędzenia części wyznawców Chrystusa z Jerozolimy (Dz 8,1), niektórzy idąc przez Samarię do Syrii głoszą Ewangelię wyznawcom innych religii i innych narodów, nawet tych znienawidzonych przez Żydów. Pierwszymi słuchaczami Dobrej Nowiny są Samarytanie, z powodów religijnych szczególnie skonfliktowani z Żydami (Dz 8,5.25). To głoszenie Ewangelii wśród Samarytan jest dziełem wyznawców Chrystusa pochodzenia żydowskiego, ale mówiących po grecku, a wcześniej żyjących poza granicami Izraela.

Następne przynaglenie, i to wprost ze strony Ducha Świętego, dotyczy Apostoła Piotra. Przez niezwykłe prowadzenie Apostoła, ale i rzymskiego dowódcy – setnika Korneliusza, Paweł wchodzi do domu poganina. Dzieje się to w Cezarei Nadmorskiej, gdzie swoją siedzibę mieli rzymscy namiestnicy – jak choćby najbardziej znany spośród nich prokurator Piłat, a także Feliks i Festus. Duch Święty udzielając daru mówienia językami i wielbienia Boga pokazuje, że słuchacze pogańscy są godni przyjąć Ewangelię i chrzest (Dz 10,44-46). To przekonuje Piotra, który zwraca się do towarzyszących mu chrześcijan pochodzenia żydowskiego: „Któż może odmówić chrztu tym, którzy otrzymali Ducha Świętego tak samo jak my" (Dz 10,47).

Do Apostołów, wciąż pozostających w Jerozolimie, dochodzi wiadomość o tym, że w Antiochii Syryjskiej głosi się Ewangelię poganom, nie wymagając od nich przejścia na judaizm. Tak odważyli się czynić mówiący po grecku uciekinierzy z Jerozolimy. Poganie okazują się chłonnymi słuchaczami i wielu z nich staje się wyznawcami Chrystusa (Dz 11,20-22). Praktykę tę akceptuje przybyły z Jerozolimy specjalny wysłannik Apostołów, Barnaba. Jednak wielu pobożnym żydowskim wyznawcom Chrystusa wydaje się to zdradą tego co najświętsze i odejściem od tradycji ojców.

Gdyby sprawy potoczyły się tym torem, Ewangelia miałaby szansę dotrzeć jedynie do miejsc zamieszkałych przez Żydów. Prawdziwymi wyznawcami Chrystusa staliby się tylko ci, którzy w całej rozciągłości przyjmują w dalszym ciągu Prawo Mojżeszowe. Chrześcijanie drugiej kategorii – poganie, którzy uwierzyli w Chrystusa, ale nie przyjęli tradycji judaizmu – nie mogliby nawet z tymi pierwszymi zasiadać do wspólnego stołu (por. Ga 2,12n).

Bóg jest wierny i przewidujący w swoich planach

Skoro brakuje chętnych, którzy jednocześnie są kompetentni, a do tego wierzący w zamiar Jezusa, Bóg musi powołać kogoś nowego, kto pójdzie odważnie do pogan z Dobrą Nowiną, nie wymagając od nich by stali się wpierw wyznawcami judaizmu. Bóg zdaje się w tym momencie wypowiadać znane słowa z Księgi Izajasza: „Kogo mam posłać? Kto by nam poszedł?" (Iz 6,8).

Najpoważniejszym problemem w tym momencie jest fakt, że nie ma nikogo takiego w Kościele. Nawet Barnaba, najbardziej otwarty na głoszenie Dobrej Nowiny poganom, z czasem zawiedzie i cofnie się w swojej otwartości pod naporem „żydujących" w Kościele.

Potrzebny jest człowiek nieprzeciętny, o silnej osobowości, który będzie w stanie przeciwstawić się wszystkim – nie wyłączając największych autorytetów w Kościele – w imię prawdy Bożej. Potrzebny jest ktoś, kto postawi wszystko na jedną kartę. Kto nie będzie zabiegał o nic innego, jak tylko o głoszenie Ewangelii – każdemu człowiekowi, w każdym czasie, za wszelką cenę. Potrzebny jest człowiek, który byłby otwarty na świat, jaki jest poza Palestyną, bo teraz tam trzeba nieść Ewangelię. Potrzebny jest człowiek kompetentny pod względem wykształcenia teologicznego a zarazem odważny w budowaniu nowej teologii, odpowiedniej na nowe

czasy. Potrzebny jest człowiek o szerokim wykształceniu ogólnym. Prości uczniowie Jezusa z Galilei wzbudzali zdumienie w Sanhedrynie, gdy mimo braku wykształcenia przemawiali z ogromną siłą przekonania (Dz 4,13). Ale teraz potrzeba człowieka, który odważy się stanąć w teatrze, na agorze pogańskiego miasta, przed namiestnikami i urzędnikami rzymskimi. Musi mówić płynnie w języku używanym w całym Cesarstwie Rzymskim. Powinien choć trochę znać tę kulturę, którą żyje społeczeństwo pogańskie, by móc nawiązać skuteczny dialog, prowadzący do ewangelizacji. Prości rybacy z Galilei w środowisku pogańskim zostaliby wyśmiani już na samym początku, jeszcze szybciej niż Paweł, gdy odważył się przemawiać w Atenach na Areopagu.

Chrystusowi jest potrzebny ktoś wyjątkowy na ten moment dziejów Kościoła, w którym trzeba dokonać rewolucji. Trzeba bowiem raz na zawsze oddzielić to, co istotne dla Ewangelii od tego, co stanowi dla niej tylko naczynie. Trzeba określić to, co nieprzemijające i oddzielić od tego, co należy do przeszłości, bardzo czcigodnej, jaką jest tradycja żydowska.

Później Paweł Apostoł napisze o Bogu: „wybrał mnie jeszcze w łonie matki mojej i powołał (Ga 1,15). Jednak przez dłuższy czas nie wie o tym, co będzie najważniejsze w jego życiu. Nie wie, że jeszcze przed swoim narodzeniem jest przygotowywany przez Boga do tej roli. Nie wie też, że wszystko, co wydarza się w jego życiu, będzie później miało ogromne znaczenie w jego działalności ewangelizatora. Ważne więc będzie to, że urodził się w pobożnej rodzinie żydowskiej w pokoleniu Beniamina i przez dłuższy czas będzie znany jako Szaweł z Tarsu. Istotnym argumentem będzie również fakt, że zgodnie z przepisem Prawa obrzezano go w ósmym dniu, nadając imię pierwszego króla Izraela – Saula.

Dla pobożnych Żydów w Jerozolimie i we wszystkich synagogach, w których będzie przemawiał nie bez znaczenia będzie pobyt Szawła

w Jerozolimie, w szkole szanowanego uczonego w Piśmie – Gamaliela. Otworzy mu to możliwość czytania i przemawiania w każdej synagodze, gdziekolwiek przybędzie. Ogromne znaczenie będzie miała jego przynależność do faryzeuszy, osobista gorliwość w przestrzeganiu wszystkich przepisów oraz żarliwa obrona wiary ojców, wyrażająca się w prześladowaniu „nowej sekty" – jak będzie sądził o wyznawcach Chrystusa.

Dla jego słuchaczy pochodzących z pogaństwa wielkie znaczenie będzie miało to, że urodził się, jak i oni, w dużym mieście. Rozumie więc atmosferę Efezu, Aten, Koryntu. Przypominając sobie rodzinny Tars, trafiać będzie do nich używając porównań z zawodów sportowych, wojska, budownictwa, żeglugi. Odwoła się do znanych im form religijności. Będzie cytował powszechnie znane dzieła. Ale przede wszystkim będzie przekładał Ewangelię wypowiedzianą na polach Palestyny na język wielkich miast Cesarstwa Rzymskiego. Orędzie Jezusa wypowiedziane do Żydów stęsknionych za mesjaszem będzie usiłował przekazać w języku dostosowanym do mentalności pogańskiej. Bez swojego dzieciństwa w Tarsie byłby wobec tych problemów bezradny, niekompetentny.

Pozostaje jeszcze problem, w jaki sposób przekonać Szawła w odpowiednim momencie, że Bóg go wzywa do takiej a nie innej misji, że powinien odpowiedzieć Bogu właśnie teraz i że nie ma nikogo innego, kto mógłby wypełnić to zadanie – podczas gdy Szaweł stoi cały czas po drugiej stronie barykady będąc absolutnie przekonanym, że głoszenie Ewangelii i Jezusa jako Mesjasza jest niezwykle szkodliwe i sprzeczne z prawdziwą religią, jaką on wyznaje. Cały swój zapał i umiejętności poświęca dotąd na niszczenie fałszywej religii.

Tymczasem Bóg wybiera moment i okoliczności najmniej spodziewane, by przekonać Szawła do zaangażowania się po stronie Ewangelii. Uczyni to, gdy ten będzie dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich (Dz 9,1), gdy

będzie w podróży do kolejnego miasta, gotów więzić, skazywać na śmierć i kamienować każdego, kto wierzy w Jezusa jako Mesjasza. Wszystko będzie miało miejsce pod Damaszkiem, a później i w samym mieście.

Odkrycie i podjęcie misji przez Szawła

Odkrycie misji i jej podjęcie wymaga kompetencji i wiary. Na pewno jest tak w przypadku człowieka, który swą misję traktuje w kategoriach powołania przez Boga. Jest potrzebna po pierwsze wiara, że Bóg ostatecznie pragnie, by to ten konkretny człowiek podjął taką a nie inną funkcję, ale także wiara, że Bóg wesprze człowieka w tej misji potrzebną łaską. To swoiste „namaszczenie" może się dokonać w różny sposób – czy to na zasadzie posłuszeństwa wobec przełożonego, czy na drodze wyborów, może konkursu na dane stanowisko, czy też takiego zbiegu okoliczności, że można to interpretować jako rodzaj Bożej reżyserii.

Człowiek wierzący i odpowiedzialny odpowiada pozytywne na takie powołanie, gdy posiada odpowiednie kompetencje, a więc dyspozycje, wykształcenie, dary charyzmatyczne, ale też, gdy nie ma jakichś poważnych przeszkód czy niewłaściwych motywacji. Jeżeli przy tym całego siebie oddaje na służbę misji, realizując – najlepiej jak potrafi – dobro wspólne, za które odpowiada, ale także wypełniając zamiar Boży – znajduje się u początku realizacji obiecującej misji. Czeka go trud rozeznawania w wierze Bożych zamiarów wobec siebie i swej misji, ale także trud codziennego nabywania nowych kompetencji.

Powołanie Szawła do bycia apostołem pogan dokonuje się w jednym momencie, a równocześnie podzielone jest na etapy, na których będzie prowadzony do coraz pełniejszego nabywania kompetencji apostoła posłanego specjalnie do pogan. Najpierw Chrystus, ukazując mu się pod Damaszkiem, olśnił go prawdą, że stoi po niewłaściwej stronie: Jezus

z Nazaretu jest Mesjaszem zapowiadanym przez proroków, a on, faryzeusz i prześladowca Jego wyznawców, stał się przeciwnikiem Boga. Na pytanie „Kim jesteś, Panie?" usłyszał odpowiedź: „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz" (Dz 9,5). To wystarczyło, by Szaweł uznał w Jezusie Mesjasza i stanął po Jego stronie. W dalszym kształtowaniu wiary i rozeznawaniu misji pomoże mu Kościół. Słyszy bowiem słowa: „Idź do Damaszku, tam ci powiedzą, co masz czynić" (Dz 9,6).

W Damaszku zamiary Boże wobec Szawła objawia mu w imieniu Chrystusa Ananiasz. Są to trzy *zapowiedzi-obietnice* co do jego osoby: po pierwsze, że będzie głosił Ewangelię w całym świecie, po drugie, że będzie ją głosił także wobec Żydów, po trzecie, wreszcie, że będzie wiele cierpiał ze względu na Chrystusa (Dz 9,15-16). Takie przesłanie przekazał Ananiasz Szawłowi, który tak, jak każdy człowiek – odebrał je z pewnością w sposób selektywny i zapamiętał zapewne przede wszystkim to, co chciał usłyszeć. Z całego słowa wypowiedzianego nad nim przyjął więc Szaweł wezwanie do głoszenia Ewangelii, każdemu kogo spotka, zawsze, za wszelką cenę. Nie usłyszał natomiast zapowiedzi cierpienia dla Chrystusa.

Jak człowiek, któremu się zdaje, że „złapał Pana Boga za nogi", Szaweł przecenia znaczenie swojego nawrócenia a równocześnie nie docenia roli wspólnoty i tradycji Kościoła. Sądzi, że po spotkaniu pod Damaszkiem wystarczy tylko zmienić sztandar, przejść na drugą stronę barykady. Dalej pozostaje „bojówkarzem", gotowym, tak jak wcześniej, przymuszać do zmiany wiary. Nie przychodzi mu też do głowy, że głosiciel Dobrej Nowiny musi sam w nią uwierzyć i dać się przez nią przemienić, że konieczne jest, by umarł w nim „stary człowiek". Należy do ludzi, o których mówi się, że są gotowi pełnić wolę Bożą, niezależnie od tego, czy Bóg tego chce, czy nie.

Nic dziwnego, że w początkach głoszenia Ewangelii przez Pawła pojawiają się problemy. Gdy inni głoszą Ewangelię – buduje się wspólnota Kościoła. Gdy głosi Szaweł – towarzyszy temu niepokój, rozterki, niezrozumienie, wzburzenie. Nie pomaga nawet zmiana środowiska, gdy nowy apostoł opuszcza Damaszek i przybywa do Jerozolimy. W końcu przełożeni Kościoła uznają, że lepiej będzie dla dobra Kościoła i Ewangelii, gdy uda się gdzie indziej. Wyprawiają go na statek i posyłają w jego rodzinne strony. Wszyscy oddychają teraz z ulgą, jak to zaznacza autor Dziejów: „A Kościół cieszył się pokojem w całej Judei, Galilei i Samarii. Rozwijał się i żył bogobojnie, i napełniał się pociechą Ducha Świętego" (Dz 9,31).

To dla nas bardzo pocieszające, że w realizacji naszej misji, zwłaszcza na początku, możemy popełniać błędy, które jej nie przekreślają, jak było to w życiu Szawła. Zdarza się też, że człowiek podejmuje nowe zadania przykładając do nich stare przyzwyczajenia i stosując kompetencje z wcześniejszej kariery zawodowej. Możemy się pocieszać, bo nawet Paweł nie od razu wszedł w nowe zadania, a nawet utracił zaufanie ówczesnych przełożonych, co więcej, słusznie został odwołany od tego obszaru odpowiedzialności, do którego właśnie został powołany.

Konieczne jest stałe doskonalenie umiejętności i oczyszczenie w wierze

Odsunięcie na boczny tor stanowi nieraz w życiu człowieka moment przełomowy, a on sam zaczyna zupełnie inaczej wartościować to co robi i co jest dla niego najważniejsze.

Tak też musiało być w przypadku Szawła, którego przełożeni Kościoła wysłali w okolice rodzinnego Tarsu. Nie wiemy dokładnie, w jaki sposób Szaweł spędził te lata w samotności, ani nie są nam znane jego przeżycia religijne tego okresu, ale na pewno te sześć, a może nawet

dziesięć lat, stanowi najważniejszy okres jego życia. Na pewno są ważniejsze od tych spędzonych u stóp Gamaliela, a nawet od pełnych sukcesów kilkunastu lat intensywnej pracy apostolskiej. W tym czasie, w ciszy i samotności, umierał stary Szaweł, faryzeusz, gwałtownik, a rodził się Paweł – naśladowca Chrystusa, sługa Ewangelii i wierny szafarz Bożych tajemnic. To wtedy też zapewne formułuje zdanie, które zapisze w Liście do Filipian: „wszystko uznaję za stratę ze względu na najwyższą wartość poznania Jezusa Chrystusa" (Flp 3,8).

Paweł musiał też zmierzyć się z pytaniem o sens wszystkiego, co dotąd wydarzyło się w jego życiu – o sens spektakularnego spotkania z Jezusem pod Damaszkiem, o znaczenie słów wypowiedzianych nad nim przez Ananiasza. Musiał pytać o to, co jeszcze czeka go w życiu, gdy teraz, tak wcześnie, jest już na bocznym torze.

Paweł poddał się w tym czasie prowadzeniu przez Boga. Istotne jest też, że poddał się kierownictwu ludzi stojących u steru Kościoła. Nie było to pewnie łatwe, gdyż obiektywnie rzecz biorąc, był on w tym czasie największym teologiem w Kościele. Nie miał też nikogo równego sobie pod względem dynamizmu głoszenia Ewangelii. Nie znamy nikogo, kto miałby większe możliwości niż Paweł. Apostoł rozumiał, że wolą Chrystusa, wyrażoną przez Kościół, jest to, by w tej chwili czekał i dojrzewał.

Doświadczał tego, jak mijają jego najbardziej obiecujące lata, a nic nie wskazuje na to, by ktoś miał sobie jeszcze o nim przypomnieć. Pozostawała mu jedynie nadzieja, że to wszystko, co dotąd wydarzyło się w jego życiu ma jakiś sens i czeka na kontynuację. Trwał cierpliwie w takim stanie do chwili, gdy odszukał go, już po raz drugi w jego życiu, Barnaba i powtórzył zaproszenie Kościoła: Pawle, bracie, przyjdź

do Kościoła w Antiochii, bo Kościół ciebie potrzebuje. Żniwo bowiem wielkie, ale robotników mało (por. Dz 11, 26).

To właśnie w tym Kościele, do którego został zaproszony i dla którego pracował, pewnego dnia prorok wypowiada słowa, które muszą odcisnąć się mocno w sercu Pawła: „Wyznaczcie mi już Barnabę i Szawła do dzieła, do którego ich powołałem" (Dz 13, 2). Po modlitwie i rozeznaniu, czy jest to głos Boga czy fałszywe proroctwo, Paweł nabiera pewności, że wraz z Barnabą mają iść, by głosić Ewangelię wszędzie i wszelkiemu stworzeniu. Stoi za nimi Kościół w Antiochii, w imieniu którego głoszą Dobrą Nowinę, przed którym będą zdawać sprawę z misji i w imieniu którego zakładają nowe Kościoły.

Przez realizację powołania Pawła Bóg zaczyna wypełniać swoje pragnienie, by Ewangelia dotarła nie tylko do Żydów, ale do wszystkich ludzi. Paweł będzie to czynił inaczej, niż jej dotychczasowi głosiciele. Nie będzie wprowadzał swych słuchaczy najpierw do judaizmu, a potem do chrześcijaństwa. Będzie też walczył w Kościele o wolność od przepisów Prawa, którego czas się skończył. To dzięki Pawłowi Kościół będzie mógł się nazywać „katolickim", czyli powszechnym i nie będzie już postrzegany tylko jako jedna z sekt żydowskich.

Paweł doświadcza, jak zaczynają się spełniać słowa wypowiedziane kiedyś przez Ananiasza, łącznie z tymi najbardziej śmiałymi o głoszeniu Ewangelii wobec królów. Już na początku pierwszej wyprawy misyjnej Barnaba i Szaweł mają możliwość głoszenia Ewangelii na dworze prokonsula Cypru (Dz 13,7). Później już sam Paweł będzie miał sposobność przemawiać do dwóch prokuratorów (Dz 24-25), króla (Dz 26) i namiestnika wyspy (Dz 28).

Spełniają się także inne słowa wypowiedziane przez Ananiasza: Paweł głosi Ewangelię w synagogach żydowskich, pozyskując dla Kościoła

wielu spośród żyjących w diasporze synów Izraela. Wreszcie Apostoł coraz bardziej przekonuje się o prawdziwości innej zapowiedzi – że trzeba wiele cierpieć dla imienia Jezusa.

Z wiarą i kompetencją – do końca wyznaczonego przez Boga

Coraz bardziej rozwijają się kompetencje Pawła i głębia spojrzenia z perspektywy wiary na podejmowaną prze niego misję. W swoich rozstrzygnięciach Apostoł posługuje się nie tylko posiadaną wiedzą oraz zdobywanymi umiejętnościami, ale odwołuje się do zdrowego rozsądku i zmysłu organizacyjnego. Ujawniają się przy tym jego wszechstronne talenty. W jego codziennym zaangażowaniu są stale obecne konsultowanie decyzji ze Słowem Bożym oraz wsłuchiwanie się w natchnienia Ducha Świętego.

Wzajemne przenikanie się racji rozumu i wiary widać wpierw w strategii, według której Apostoł wybiera całe obszary i poszczególne miejscowości dla głoszenia Ewangelii. Z Dziejów Apostolskich wynika, że zamierza on przede wszystkim docierać do pogan we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, a więc do tych, którzy mówią, tak jak on, po grecku. Po blisko dziesięciu latach działalności Paweł będzie mógł podsumować, że obszedł z Ewangelią bardzo duży obszar – od Jerozolimy aż po Illirię (Rz 15,19), na który składają się tereny od ziemi Izraela, przez Syrię, tereny dzisiejszej Turcji, aż po zachodnie wybrzeże dzisiejszej Grecji i Albanii. Przegląd miast wymienionych w Dziejach Apostolskich oraz adresatów listów Pawła wskazuje, że zatrzymuje się dla głoszenia Ewangelii w dużych ośrodkach miejskich. Są to często stolice prowincji lub metropolie znajdujące się na skrzyżowaniach szlaków komunikacyjnych – zazwyczaj kosmopolityczne miasta multikulturowe. Dzisiejsi socjologowie powiedzą, że Paweł przyjął najlepszą strategię, by

ewangelizować możliwie największy obszar w jak najkrótszym czasie, z perspektywą, że nowo powstałe wspólnoty w dużych miastach będą zakładać kolejne wspólnoty w podległej im prowincji. Taka strategia sprawia, że chrześcijaństwo pierwszych wieków jest wielkomiejskie, a łacińskie określenie mieszkańca wsi (*paganus*) staje się synonimem człowieka, który jeszcze nie przyjął nowej wiary (*poganin*). Istotne jest, że Apostoł nie boi się dużych miast, w których zatomizowane i liczne społeczeństwo stanowi najlepsze środowisko do pozyskania dla wiary nowych wyznawców.

Jednak wiara każe Pawłowi być otwartym na bezpośrednie prowadzenie przez Boga. Ten zaś nie tylko powołuje człowieka jednorazowo do określonej misji, ale pragnie towarzyszyć powołanemu i objawiać mu, czasem bardzo szczegółowo, swoje zamiary. Bóg prowadzi powołanego przez siebie człowieka formując jego myślenie w czasie modlitwy, czyni to poprzez Słowo Boże, przez udział w życiu Kościoła. Wolę Bożą wypełnia więc człowiek posługujący się rozumem przemienionym przez wiarę i Boże myślenie.

Będąc posłusznym Kościołowi, który go posłał i zachowując zdroworozsądkowe podejście w ocenie możliwości głoszenia Słowa Bożego, Paweł pozostaje ciągle otwarty na prowadzenie przez Ducha Świętego. Niech zaświadczy o tym jeden epizod. W Azji Mniejszej w pewnym momencie okazało się, że Apostołowie nie wiedzieli, dokąd się udać. Czytamy więc: „Przeszli Frygię i krainę galacką, ponieważ Duch Święty zabronił im głosić słowo w Azji. Przybywszy do Myzji, próbowali przejść do Bitynii, ale Duch Jezusa nie pozwolił im" (Dz 16,6-7). Czyżby koniec misji? Czy nie trzeba wracać do domu? A może jednak głosić za wszelką cenę? Paweł jednak czeka na jasną odpowiedź i otrzymuje ją: „W nocy miał Paweł widzenie: jakiś Macedończyk stanął [przed nim]

i błagał go: ‘Przepraw się do Macedonii i pomóż nam!’” (Dz 16,9). Znamienna jest ostrożność, z jaką, nawet po latach, wypowiada się o tym towarzyszący mu Łukasz: „Zaraz po tym widzeniu staraliśmy się wyruszyć do Macedonii w przekonaniu, że Bóg nas wezwał, abyśmy głosili im Ewangelię” (Dz 16,10).

Skuteczności w głoszeniu Ewangelii przez Pawła służy również taktyka przyjmowana w kolejnych miastach. Wierność przymierzu Boga z narodem wybranym nakazywała najpierw w każdym z nich zwracać się najpierw do zgromadzonych w szabat na modlitwę Żydów, a dopiero później do pogan. Ci pierwsi byli najbliżej podprowadzeni do przyjęcia w Jezusie Mesjasza przez obietnice Boże. Drugich trzeba było przeprowadzić przez uznanie jednego Boga i doprowadzić do Jezusa, jedynego Zbawiciela świata. Taki porządek nakazuje wiara, ukształtowana przez proroków. Argumenty stosowane w proklamowaniu wiary są dobierane dzięki kompetencji retorycznej i teologicznej. Paweł znakomicie dostosowuje swoje uzasadnienie do słuchaczy – Żydom w synagodze przedstawi argumenty z Pisma, wobec pogan zgromadzonych na Areopagu będzie przywoływał autorytet filozofów i poetów. Wiara jednak podpowiada to, co Apostoł wyraża w Pierwszym Liście do Koryntian: „Tak też i ja przyszedłszy do was, bracia, nie przybyłem, aby błyszcząc słowem i mądrością głosić wam świadectwo Boże. Postanowiłem bowiem, będąc wśród was, nie znać niczego więcej, jak tylko Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego. I stanąłem przed wami w słabości i w bojaźni, i z wielkim drżeniem. A mowa moja i moje głoszenie nauki nie miały nic z uwodzących przekonywaniem słów mądrości, lecz były ukazywaniem ducha i mocy, aby wiara wasza opierała się nie na mądrości ludzkiej, lecz na mocy Bożej” (1Kor 2,1-5).

By ocenić samego powołanego i realizowaną przez niego misję, trzeba wziąć pod uwagę wierność i konsekwencję w podjęciu wezwania, a także cenę jaką płaci on by być wiernym do końca. W przypadku Pawła łatwo jest przeoczyć spełnienie się słów Chrystusa przekazanych przez Ananiasza: „Pokażę mu, jak wiele będzie musiał cierpieć dla imienia mego" (Dz 9,16). Paweł bowiem niechętnie opowiada o swoim trudzie i cierpieniu znoszonym dla Ewangelii. Gdy przymuszony przez okoliczności zaczyna o tym mówić, poznajemy miarę jego miłości do Chrystusa. Mówi, dlaczego bardziej od innych zasługuje na miano sługi Chrystusa: „Bardziej przez trudy, bardziej przez więzienia; daleko bardziej przez chłosty, przez częste niebezpieczeństwa śmierci. Przez Żydów pięciokrotnie byłem bity po czterdzieści razów bez jednego. Trzy razy byłem sieczony rózgami, raz kamienowany, trzykrotnie byłem rozbitkiem na morzu, przez dzień i noc przebywałem na głębinie morskiej. Często w podróżach, w niebezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od zbójców, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustkowiu, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach od fałszywych braci; w pracy i umęczeniu, często na czuwaniu, w głodzie i pragnieniu, w licznych postach, w zimnie i nagości, nie mówiąc już o mojej codziennej udręce płynącej z troski o wszystkie Kościoły" (2 Kor 11,23-28).

Życzę Państwu kompetencji i wiary. Najpierw wiary w Boga, który nas przeznaczył do wykonania pięknego, nieraz bardzo trudnego, mniej lub bardziej bogatego w sukcesy – i to nie jednego zadania. Jak napisał św. Paweł, Bóg to wszystko dla nas przygotował. Życzę także kompetencji na miarę podjętej misji. Istotne jest przy tym, by umieć

rozeznać swoje kompetencje, gdy podejmuje się nowe wyzwania, i określić, czego nam brakuje. Trzeba stwierdzić, na ile jestem zdatny do wypełnienia powierzonej mi misji, ale zarazem i pokorny, by kompetencje nie stały się przyczyną mojej klęski. Życzę również miłości, która daje siłę i motywację, ale też przyczynia się do sukcesu. To właśnie ona jest najbardziej właściwą motywacją, nie tylko z punktu widzenia wiary, ale także ze względu na tych, dla których pracujemy.

Prelekcja wygłoszona podczas
Ogólnopolskiej Konferencji Dyrektorów Szkół Katolickich
Jasna Góra, 13-14 kwietnia 2015 r.

Prof. dr hab. inż. Jan Duda

Refleksja na temat roli szkoły w wychowaniu, w szczególności szkoły katolickiej

Nie jestem fachowcem, nigdy w szkole katolickiej nie byłem, moje dzieci również. Zdecydowałem się wystąpić tu przede wszystkim po to, by od Państwa dowiedzieć się, jak to jest w tych szkołach, które jak słyszę z każdej strony, mają świetną reputację. Z drugiej strony podzielę się swoimi refleksjami w formie tzw. feedbacku – jak to wygląda od strony rodzica, czego oczekuje od szkoły rodzic – ojciec, który chce wychować swoje dzieci, a w szczególności, jak sobie wyobraża misję szkoły katolickiej.

Zawodowo jestem profesorem, jestem informatykiem, zajmuję się zagadnieniem selekcji i agregacji informacji, więc śledzę pilnie, obserwuję co się dzieje w tej całej rewolucji informacyjnej, ale przede wszystkim jestem ojcem, jestem człowiekiem, który sam przeszedł przez szkoły, a ponieważ naturę mam refleksyjną, to starałem się od dziecka wszystko analizować – dlaczego pewne rzeczy wychodzą, a pewne rzeczy nie wychodzą. Nasza z żoną szczególna sytuacja, jaka powstała ostatnio, chciałbym, żeby nie była widziana jako czynnik, który upoważnia mnie

do jakiegokolwiek pouczania. Ja sam wychowałem się w rodzinie z sześciorgiem dzieci, my mamy trójkę dzieci. Staram się patrzeć na te moje refleksje ze strony przeciętnego rodzica i w pewnym sensie nauczyciela akademickiego, który obserwuje efekty wychowania.

W moim wystąpieniu chciałbym zasygnalizować jedną rzecz. Osobiście jestem konserwatystą. I tutaj w odpowiedzi na pytanie mojego przedmówcy, co zrobić wobec tego, co się dzieje na świecie, wobec tego całego zwariowanego postępu technicznego, chciałem powiedzieć krótko: Zachowajmy spokój. Swoim dzieciom zawsze tłumaczyłem, kiedy przychodziły i mówiły: „Tato, ty nie wiesz, co się dzieje, w jakim my żyjemy świecie, presja czy naciski na takie czy inne zachowania". A ja mówię zawsze: Przeczytajcie sobie *Biblię*, przeczytajcie *Wyznania św. Augustyna* i przeczytajcie sobie współczesną książkę. Człowiek w swojej istocie pozostaje taki sam. Te najważniejsze, najgłębsze odczucia, potrzeby pozostają takie same. My się różnimy od Abrahama tylko tym, czym się posługujemy na co dzień, jak się komunikujemy, ale potrzeby mamy takie same. Nie dajmy się zwariować.

Uważam, że szkoła powinna być takim lotniskowcem, który tnie wody oceanu bez względu na to, co się dookoła dzieje, mając wyznaczony cel, będąc niewrażliwym na te zwariowane sygnały ze świata – takie byłoby moje ogólne przesłanie.

Ja funkcjonuję w środowisku akademickim, jestem członkiem Akademickiego Klubu Obywatelskiego im. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, i z tego tytułu również interesujemy się oświatą. Spotkaliśmy się z nauczycielami, z dyrektorami gimnazjów krakowskich. I moje osobiste odczucie jest takie, że niepotrzebne są nam rewolucyjne zmiany. Szkoda jeszcze jednego pokolenia tracić na bałagan organizacyjny, według mnie szkoda ponosić na to koszty. Natomiast musimy zadbać o to,

by te zmiany były ewolucyjne, bo one są potrzebne. Tyle byłoby tytułem wstępu, legitymacji do tej wypowiedzi.

Jako człowiek jestem pasjonatem wychowania. Swoje dzieci wychowywałem z wielką przyjemnością. Postrzegam w każdym człowieku kosmos, każdy człowiek jest indywidualnością.

Nasza rola w wychowaniu to jest stała interakcja. To jest staranie się w sposób przemyślany, żeby ten kosmos, tę indywidualność wpasować w inne kosmosy, żeby ona mogła funkcjonować, ku chwale Bożej przede wszystkim, dla nas ludzi wierzących, ale ogólnie ku chwale społeczeństwa – wdrożyć swoje dzieci do służby Panu Bogu i społeczeństwu. Ja widzę ten proces jako proces stałej interakcji, gdzie wychowujący uczy się również od wychowanka. Obserwuję teraz trzyletnią wnuczkę. Ile jest w niej indywidualności, ile jest w niej potrzeby dysponowania pewnym obszarem swobody. To samo jest w szkole podstawowej, średniej i tak dalej. Ja w tym procesie wychowawczym nie oczekuję jednolitości oddziaływań, wręcz przeciwnie – liczę na to, że dziecko stykając się z różnymi ludźmi, z różnymi środowiskami będzie musiało wypracować sobie własne sposoby obrony własnych wartości, tych które będzie miało. Te oddziaływania, które my uważamy za właściwe są niezbędne, bo to my rodzice, potem wychowawcy w szkole, jesteśmy odpowiedzialni za efekt wychowania. Ale nie możemy narzekać, że dziecko podlega wpływom różnych środowisk, które przekazują treści, których nie chcielibyśmy żeby były przyswojone. Te treści postrzegam jako formę szczepionki. Naszą rolą jest, żeby z bakterii zrobić szczepionkę, żeby osłabić efekt tych oddziaływań, których sobie nie życzymy, a próbować internalizować, przekonywać do tych rzeczy, które chcielibyśmy przekazać dzieciom. Z tego między innymi powodu, chcąc uniknąć monokultury wychowawczej, nie wysyłałem swoich dzieci do szkoły

katolickiej, ponieważ uważałem, że tę rolę, której ja oczekuję od szkoły katolickiej jako obserwator, spełnia nasza rodzina. W tym oddziaływaniu wielorakim ja widzę takie cztery środowiska, w których człowiek się wychowuje. Pierwsze środowisko to jest oczywiście dom. I tutaj chyba nie trzeba przypominać, że to dom powinien być tym głównym miejscem, gdzie się kształtuje osobowość.

Drugim miejscem, które tutaj ośmielę się uznać za absolutnie niezbędne jest szkoła. Szkoła, gdzie człowiek musi podlegać pewnym wymogom koniecznym. Musi być zmuszony do pewnych zachowań, gdzie człowiek musi przejść przez pewną dobrze usystematyzowaną, prowadzoną metodologicznie procedurę wychowawczą, ale również i pedagogiczną. Trzecie środowisko, od którego oczekujemy również pozytywnych oddziaływań to są instytucje, które mają misje wychowawcze. Do nich przede wszystkim zaliczamy Kościół. Kościół spełnia rolę wychowawczą nie wprost, ale właśnie poprzez przekazywanie treści religijnych, poprzez pokazywanie wagi wspólnoty, wspólnej modlitwy, wspólnego działania. Obok tego są również inne instytucje; nie każdy z natury swojej jest pobożny, wiara jest darem, więc dzieci mogą być wychowywane przez instytucje typu harcerstwo, i inne różnego rodzaju organizacje. To też jest bardzo cenne środowisko, od którego oczekujemy, że dziecko nabierze tam ogłady, że zostanie tam przygotowane do życia. No i wreszcie czwarte środowisko to jest tak zwane podwórko, którego też nie powinniśmy unikać. To jest kontakt z rówieśnikami, to jest kontakt z różnymi oddziaływaniami, nie zawsze, choć czasami, z punktu widzenia nas ludzi dorosłych, niekorzystny, ale uważam, że też potrzebny.

Moje refleksje dotyczą roli szkoły, jak ja postrzegam rolę szkoły w tym konglomeracie środowisk, oddziaływań wychowawczych. Przede

wszystkim tak jak wspomniałem, osobiście uważam, że szkoła jest tym elementem, środowiskiem niezbędnym. Tutaj będzie za chwilę referat na temat nauczania domowego, ja bardzo chętnie posłucham. Dlaczego, bo ja w tych dyskusjach, w których również biorę udział, akcentuję że szkoła powinna przede wszystkim spełniać trojakie role. Pierwszą, taką najważniejszą rolą jest wdrożenie takiego młodego czy trochę już starszego człowieka do życia w społeczeństwie. To jest według mnie podstawowa rola. Drugie to jest gimnastyka umysłu, im człowiek młodszy, tym ten umysł bardziej, że tak powiem, jest skłonny się wygimnastykować, „żeby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa", żebyśmy mieli tę sprawność logicznego rozumowania, żebyśmy mieli pamięć dobrą. I tutaj chciałem zwrócić uwagę, że ta gimnastyka jest potrzebna i nie możemy redukować tak zwanego kształcenia pamięciowego. Nie możemy. Wierszyki, wzory, tabliczka mnożenia, to są te rzeczy, które ćwiczą umysł – studenci potem mówią, po co tabliczka mnożenia, kiedy mamy komputerek. W szkole jest to potrzebne, nawet kiedy w życiu nie będzie to nigdy wykorzystane. Po to, by wygimnastykować umysł. I wreszcie trzeci element to jest przygotowanie do następnego etapu życia. I to jest ten element, który w moim odczuciu w tej chwili w szkole dominuje, a nie powinno tak być. To jest dydaktyka. Pierwszy element to jest czysta pedagogika można tak powiedzieć, chociaż dydaktyka też tam jest. Trzeci element to jest czysta dydaktyka. Ja sprzeciwiam się, gdzie tylko mogę sprowadzaniu szkoły do zakładu usług edukacyjnych – przygotowania do zdawania egzaminów. To jest oczywiście potrzebne, rodzice tego chcą, bo rodzice chcą, żeby ich dzieci dostawały się do dobrych gimnazjów, do dobrych liceów, na dobre studia, czy też zdobyły porządny zawód. Ale to jest cel, który powinien być widziany jako cel obok, ale nie tylko jedyny. Według mnie najważniejszym celem jest ten pierwszy,

to znaczy przygotowanie młodego człowieka do życia w społeczeństwie czyli rola pedagogiczna szkoły. W tym zadaniu oczywiste jest, że szkoła musi współpracować przede wszystkim z rodziną, ale pamiętajmy o tym, że są różne rodziny. I nie każdy rodzic, nie wszyscy rodzice mają czas, niektórzy nie mają również dobrej woli, żeby ten wysiłek pedagogiczny podjąć. Niektórzy nie mają przygotowania, czują się bezradni wobec tego natłoku sygnałów, ludzie czują się po prostu zwariowani, czują, że nie są przygotowani do życia przez to na przykład, że dzieci potrafią lepiej posługiwać się komputerem. Proszę Państwa, nic bardziej mylnego. To, że moja wnuczka biega i posługuje się telefonem komórkowym lepiej niż ja, bynajmniej nie znaczy, że ja nie mam żadnych kompetencji, żeby ją wdrażać również w umiejętność pozyskiwania informacji chociażby. W tym dziele szkoła musi współpracować z rodzicami, jeśli tej współpracy nie ma, to musi za rodzinę wykonać ten ciężki obowiązek. Co się składa na to przygotowanie? Przede wszystkim przekazanie wartości, przekazanie szacunku do wartości. I tu musimy być jako środowiska chrześcijańskie, katolickie, absolutnie nieustępliwi. Nie może być tak, żeby ktokolwiek kwestionował rolę religii, jako lekcji religii w szkole.

W dyskusji z kolegami, którzy kwestionowali: po co ta religia, przecież dobrze było jak było – jeszcze w latach 90-tych – w salkach katechetycznych, dawałem taki prosty przykład – akurat to byli humaniści – ile razy wykorzystywałeś w swoim życiu właściwości funkcji trygonometrycznych, twierdzenie sinusów? – od szkoły nigdy. A ile razy podejmujesz decyzje o charakterze moralnym, etycznym? Właściwie bez przerwy. Każdy krok wiąże się z pewnymi rozstrzygnięciami natury moralnej. Mnie jako nauczyciela: czy ja mam dać dwóję uczniowi czy raczej mu poluzować, czy dziecko skarcić czy nie zauważyć, pozwolić mu czy nie. Czy mam cisnąć bardziej pracownika czy mniej. To są cały czas decyzje

o charakterze moralnym. Gdzie się mamy tego nauczyć? To jest tak samo pewna wiedza. Ona musi być w pewien sposób usystematyzowana i przekazana. Wobec takich argumentów nie ma kontrargumentów. Najważniejszy przedmiot to jest religia. Ja swoim dzieciom tłumaczyłem: ja od was wymagam, byście mieli piątki z dwóch przedmiotów: z religii i z języka polskiego, a reszta to jest wasza sprawa. Jak będziecie mieli złe oceny, to będziecie ostatni po prostu. Ale ja wymagam z religii i z języka polskiego czyli z tego przedmiotu, który daje taką najszerszą bazę duchową i intelektualną do życia w społeczeństwie. A‘propos tego języka polskiego, ponieważ sam kiedyś miałem zainteresowania raczej takie precyzyjne, nie mówię ścisłe, ale precyzyjne, bo również bardzo lubię historię, myślałem również o tym, żeby iść na prawo, buntowałem się jednak przeciwko czytaniu lektur. To znaczy czytałem je chętnie, ale dyskutowałem z moją panią profesor: Po co mi tyle lektur czytać, przecież ja w tym czasie, kiedy przeczytam trzytomową książkę, jestem w stanie nauczyć się wszystkiego, czego przez rok mnie uczą z fizyki. A pani mi wtedy powiedziała: Jasiu, Jasiu, tego, co w tej książce jest, nie nauczysz się przez całe życie. Bo to jest uczenie przez skórę, to jest uczenie przez przykłady. To jest pokazywanie na jednym, na dwóch przykładach, jak to życie naprawdę wygląda – i to była mądra odpowiedź. Od tego czasu czytam książki. Po prostu to przygotowanie do życia to jest literatura, to jest odpowiedni zestaw lektur, to są przerwy międzylekcyjne, proszę Państwa. Przerwa jest według mnie bardzo ważnym elementem wychowania, bo przerwa socjalizuje. Szkoła jako jedno ze swoich głównych zajęć powinna przyjąć właśnie wbudowanie tego kosmosu w inne kosmosy. Pod kontrolą doświadczonych ludzi, doświadczonych pedagogów, bo rodzice nie zawsze mają dobre wyczucie, skłonni są preferować swoje dzieci w sporach z rówieśnikami. Szkoła jest od tego.

Uważam, że ocena z zachowania powinna być jedną z fundamentalnych ocen promowania ucznia. Mało tego, uważam, że powinna być absolutnie, bardziej niż dotychczas, egzekwowana frekwencja. Ja sobie nie wyobrażam, że człowiek, który opuszcza połowę lekcji, może być dobrze przygotowany do lekcji życia. Nieuczęszczanie na lekcje dla mnie jest przejawem lekceważenia i szkoły i nauczyciela i całego otoczenia. Dyskutując ze swoją synową, która jest nauczycielką, nie mogłem wyjść ze zdumienia, że toleruje się nieobecności. W naszych czasach, za tzw. komuny, tego nie było, wymagało się po prostu – musisz chodzić na lekcje, wszystko jedno czy ci to się podoba czy nie. Także to jest ten obszar wdrożenia do życia w społeczeństwie, który uważam za najważniejszy w szkole.

W ten zakres celów według mnie, wchodzi przede wszystkim nauczenie rozumienia świata. Ja bym skromnie podpowiedział tu reformatorom, którzy się zastanawiają co wybrać z tego olbrzymiego zasobu wiedzy ciągle się zmieniającej. Wybrać umiejętność myślenia czyli rozumienia świata. To nie chodzi o to, byśmy mieli przekonanie, że czarna dziura to jest dogmat, w związku z tym zawsze istnieje, bo jutro się okaże, że nie ma czarnych dziur, nie ma ciemnej masy w kosmosie. Jutro się okaże, że gen, który uważaliśmy za przyczynę koloru oczu, wcale nie jest odpowiedzialny za kolor oczu, tylko jest również odpowiedzialny za szybkość wzrostu paznokci, więc dzieci trzeba nauczyć rozumienia świata, między innymi tej podstawowej zasady, że świat jest tak naprawdę do końca niepoznawalny. Ja mówię, że człowiekowi, który zajmuje się badaniem świata – do tych ludzi należę – chyba łatwiej jest być człowiekiem wierzącym, ponieważ styka się na co dzień z tajemnicą świata. I dzieciom to trzeba przekazać, że to nie jest prawdą, że dzisiaj zbudowaliśmy maszynę parową; jutro zbudujemy żywy organizm, tak jak to głoszono zaraz po rewolucji październikowej. Ja takie książeczki

dzieciom kupowałem, żeby zobaczyły, jakie bzdury ludzie wypisywali parę lat temu. Szkoła powinna pokazać, to jest chyba dość trudne, bo to nawet uczonym się nie udaje, jakie są granice ludzkiego poznania. Co jest w perspektywie tych najbliższych lat możliwe do obalenia, do zbadania, do przeanalizowania, a co pozostanie nierozpoznawalne, nieprzewidywalne. To jest powrót do tego jeszcze arystotelesowskiego stwierdzenia, że natura ludzka i życie społeczne nie podlega prawom ścisłym, jednoznacznym, że tam można mówić tylko o jakichś statystykach. To powinna przekazać szkoła. Może nie w formie wiedzy, ale takich ogólnych paradygmatów. Żeby dziecko, wchodząc w życie, nie bało się, że świat za kilka lat zniknie. Do tego potrzebna jest też wiedza ścisła, to są przedmioty przyrodnicze, to jest fizyka, to jest biologia, i tak dalej, i tak dalej.

W tym rozumieniu świata upatrywałbym też dużą rolę dla nauczania wpływu mediów na życie społeczne. Osobiście uważam, że przedmiot medioznawstwo powinien być w szkole podstawowej, żeby uodparniać młodzież, dzieci na działania propagandowe, na działania również i reklamy. Mnie się wydaje, że jesteśmy tu nadmiernie wykorzystywani jako społeczeństwo polskie, nieodporne na przekaz telewizyjny, na przekłamania tego przekazu świadome lub może też nieświadome. W każdym razie uważam, że jest to bardzo ważny element przygotowania do życia w społeczeństwie.

Następna sprawa, która jest z tym związana, jeśli chodzi o te dwa podstawowe elementy, tzn. gimnastyka umysłu i przygotowanie do następnego etapu, to jest wielkie zadanie dla specjalistów, od dydaktyki przede wszystkim. Ale chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz – rewolucja informacyjna oczywiście niesie bardzo dużo korzyści i daje szansę na poradzenie sobie z problemem napływu informacji. Po prostu

dostarcza nam narzędzi selekcji informacji, w związku z tym traci na znaczeniu wiedza pamięciowa a rośnie znaczenie myślenia. Ja uczę na wydziale zarządzania, gdzie mam kontakt ze studentami zarządzania i studentami, którzy mają być inżynierami – to jest zarządzanie i inżynieria produkcji – i widzę, że są ludzie, którzy mają różne predyspozycje, i są osoby które potrafią w sposób zdyscyplinowany myśleć, ale są tacy, którzy tego nie potrafią. I uznałem, że taka jest już natura rzeczy. To jest zadanie dla specjalistów od dydaktyki, jak ustawiać te programy. W moim odczuciu osobistym dużo lepiej jest nauczyć solidnie podstaw. Ja bym nie ulegał szantażowi świata, że dziecko musi coraz więcej wiedzieć. Niech się dobrze nauczy mnożyć, dzielić, niech opanuje podstawową wiedzę w zakresie biologii, tej która pozwala rozumieć świat, a tych innych rzeczy nauczy się na odpowiednim etapie edukacji czy to w szkole średniej czy na studiach. Ja mówię wszędzie, że ja nie miałem w szkole podstawowej statystyki w ogóle, teraz żyję ze statystyki, bo jest ona moim bardzo ważnym narzędziem pracy, nie miałem systemów dwójkowych i proszę Państwa żyję z tego, nauczyłem się tego błyskawicznie, w ciągu paru dni jako student na pierwszym roku.

To nie jest tak, że młody człowiek musi wiedzieć wszystko. Patrząc z punktu widzenia odbiorcy efektów procesów kształcenia w szkole średniej, powiem tyle, że my bardzo wielu rzeczy uczymy tak jakby od nowa i wolelibyśmy, by narzędziowo był sprawny ten młody człowiek, niż by od razu wszystko wiedział. Tym bardziej, że rewolucja informacyjna powoduje, że jest bardzo łatwo zdobywać wiedzę powierzchowną, i ta wiedza wystarcza bardzo często do osiągnięcia tego pierwszego celu – rozumienia świata. Natomiast, no niestety, szkole pozostaje przekonanie ucznia, że niektóre rzeczy warto też wiedzieć dogłębnie, a to już nie jest takie fajne. Bo trzeba przeczytać coś, nie wystarczy kliknąć, nie

wystarczy sprawdzić w Wikipedii. Dlatego uważam, że rolą szkoły w tej rewolucji informacyjnej jest przede wszystkim nauczyć się uczyć – to po pierwsze, a drugie – przekonać młodego człowieka do tego, że warto pewne rzeczy znać dogłębnie, że w to trzeba włożyć pewien wysiłek. Studentom, którzy mówią – no po co mam to robić, skoro mam Wikipedię, odpowiadam – Słuchaj, ty młody człowieku musisz być twórcą tych haseł w Wikipedii, ty musisz wnieść tam jakiś swój wkład, więc musisz się też czegoś konkretnego nauczyć. Możesz korzystać, bo nie będziemy się uczyć wszystkiego.

W procesie praktycznym kładłbym nacisk na selekcję, wyselekcjonowanie zagadnień, na których przykładzie można tak naprawdę nauczyć się uczyć wszystkiego. Nie przejmowałbym się tym, że się co chwilę zmieniają osiągnięcia naukowe, że wiedza się rozszerza. Np. w sporze na temat miejsca historii w kształceniu, moja odpowiedź jest taka: tutaj absolutnie nie rugowałbym tych podstawowych treści, których uczono jeszcze mnie i mojego ojca, dziadka, czyli rozumienia własnej historii, na konto powiększenia wiedzy na temat działania komputera. Po co? Komputer to jest takie narzędzie jak pralka automatyczna, dlaczego nikt nie uczy obsługi pralki automatycznej? Jak trzeba będzie to młody człowiek tego nauczy się sam. Trzeba mieć takie przeświadczenie, które trzeba wdrażać w świadomość młodych ludzi, że my musimy uczyć się sami wielu rzeczy, musicie się nauczyć uczyć, bo będziecie musieli się douczać bez przerwy.

Jak ja postrzegam rolę szkoły katolickiej? Przede wszystkim jako człowiek, który obserwuje szkoły katolickie z boku muszę powiedzieć, że szkolnictwo katolickie powinno być chlubą Kościoła. Wiemy wszyscy, że św. Józef Kalasanty był założycielem pierwszej w Europie bezpłatnej szkoły podstawowej, 1597 rok – jesteśmy prekursorami tego, co

cały świat uznał za niezbędne. To jest dowód na wielkość Kościoła, na słuszność jego misji. Kościół jest skromny, nie chwali się tym, ale ja myślę, że tej reklamy przydałoby się więcej. Obserwując działania szkół katolickich, ze wszystkich stron spotykam się z pochwałami. I to dotyczy nie tylko Polski. Bywałem na stażach, wyjazdach zagranicznych, rozmawiałem z ludźmi w Anglii, którzy posyłają dzieci do szkół katolickich, uważają, że są najlepsze. W Krakowie mieliśmy dość niedawno taki przykład, że całkowicie upadająca szkoła została przejęta przez jezuitów i nagle stała się świetną szkołą. To jest wielka tajemnica jak to się dzieje. Ja myślę, że źródło tego sukcesu – to jest moje odczucie – tkwi w tym, że tak naprawdę proszę Państwa, młodzi ludzie, nawet ci z tak zwanych środowisk marginesu, chcą być prowadzeni, chcą mieć przewodników, chcą, żeby ktoś im narzucił dyscyplinę, żeby pokazał, co można, a czego nie można. I to nie jest prawdą, że młodzież chce luzu. Ja tutaj słyszę z różnych źródeł, m.in. z anonimowej ankiety, że młodzi ludzie chcą nosić mundurki, nie chcą, żeby w szkole była rewia mody, że chcą nosić tarcze – mimo że się będą buntować przeciwko temu. Naturą młodych ludzi jest to, że się buntują. Niech się buntują, ale ten bunt jest im potrzebny. Moje pokolenie wychowało się na lekturze „Wspomnień niebieskiego mundurka" – widzimy, jak wiele jest tam miłych wspomnień o tym, co właśnie było opresyjne ze strony szkoły. Nie bójmy się narzucać dyscypliny. I wydaje mi się, że szkoła katolicka trzyma się tej zasady, trafnie odczytując oczekiwania samej młodzieży. Chociaż tutaj powiem, że dla mnie było takim intrygującym problemem, dlaczego wielu absolwentów szkół katolickich odchodzi od wiary, albo nie chce być aktywnym uczestnikiem życia Kościoła. I dochodziłem do wniosku, że to jest między innymi cena, jaką Kościół płaci za wykonywanie tej swojej misji, że wprowadza szkołę, którą ja tutaj – przepraszam

– pozwolę sobie nazwać, opresyjną. Bo szkoła katolicka powinna być szkołą opresyjną, powinna być szkołą, gdzie się wprowadza pewne zasady. I jeśli młody człowiek, z natury swojej nie lubi takich ograniczeń, to on odrzuca potem, ma złe nastawienie do swojej własnej szkoły.

Obserwując tę inwazję środowisk ateistycznych na Kościół, zastanawiam się np. dlaczego nikt nie bierze w obronę sierocińców Irlandii. Był taki reportaż, w którym panie, wychowanki sierocińców irlandzkich, wyrażały się w najgorszy sposób o tych swoich szkołach, ale wszystkie miały dobre domy, wszystkie założyły rodziny. I nie zauważały, nie zastanawiały się, co by było, gdyby znalazły się w innych środowiskach, gdzie nie wymagano by, aby po sobie posprzątać, żeby zjeść porządnie śniadanie, żeby się nauczyć tego, co się miano nauczyć. A tego wymagały te siostry, i dlatego były bardzo złe, siostry miały stare metody, więc karciły, czasami się dostawało lanie. Ktoś to odbiera, jako straszną rzecz, że dostał lanie, ale jak się zastanowi to wie, że Pan Bóg w Biblii nakazuje karcić. Nakazuje karcenie z miłości. I te siostry karciły z miłości. Ja się zastanawiam, dlaczego nikt nie bierze w obronę tych sióstr, dlaczego nikt nie uświadamia, że to jest ta cena, jaką Kościół płaci za to, że wyprowadza ludzi, często o złych tendencjach, na dobrą drogę, że te osoby będąc potem już na dobrej drodze, są w stanie występować w mediach, wypowiadać się elegancko, choć uderzając bezpośrednio w swoich wychowawców.

Mówiąc więc o szkole katolickiej, chciałbym Państwu powiedzieć: Nie bójmy się! Nie bójmy się, że będziecie Państwo krytykowani za to, że wprowadzacie dyscyplinę, za to, że zmuszacie młodzież do modlitwy. Bo szkoła katolicka dla mnie, w tym spektrum, jakie stawia sobie normalna szkoła, powinna, w szczególności akcentować wartości. W normalnej szkole wartości są na drugim planie, bo wartości powinna przekazywać

przede wszystkim rodzina. To jest rola rodziny. Niektórzy rodzice buntują się: dlaczego szkoła ma wychowywać: ja mam wychowywać swoje dziecko, szkoła ma tylko uczyć. Nie, ja się nie zgadzam. Każda szkoła ma wychowywać, bo robi to w sposób metodyczny, przemyślany, fachowy, i tak dalej. Ma również przekazywać wartości. To, że czasem przekazuje antywartości, że jest presja, żeby przekazywała antywartości, to jest już rola rodziców, żeby rodzice bronili się przed tymi tendencjami, żeby protestowali. Natomiast pytanie jest, czy szkoła w mniejszym lub większym stopniu przekazuje wartości? Szkoła publiczna (prowadzona przez administrację publiczną) nie musi. Natomiast szkoła katolicka ma jako swoje główne przesłanie właśnie przekazywanie wartości i ci, którzy posyłają swoje dzieci do szkoły katolickiej powinni być tego świadomi i nie powinni z tego tytułu protestować. Ja mówię dlaczego ja nie wysyłałem dzieci do szkół katolickich, bo uważałem, że nie potrzebna jest im monokultura. Bo ja wychowanie katolickie daję w domu, wychowanie katolickie daje również Kościół, moje dzieci były blisko Kościoła, syn, jak wiemy, był ministrantem przez lata, podobnie jak ja. Córki uczestniczyły w różnego rodzaju scholach, więc tam dostawały to wychowanie. Ja się obawiałem monokultury, może niesłusznie, ale przez to uważałem, że mam więcej zadań do wykonania. Ale często posyłają dzieci do szkół katolickich rodzice odpowiedzialni, ale nie przywiązujący wagi do wartości. Wiedzą sami, że nie przywiązują, że nie są w stanie sprostać tym wymaganiom, i chcą, żeby ich dzieci przeszły tę szkołę. I ci rodzice potem czasami się buntują, ja to słyszę, bo mam znajomych, zresztą na tę okoliczność rozmawiałem z tymi znajomymi, jak oni oceniają wychowanie w szkole katolickiej, i różnie, na ogół bardzo pozytywnie. Ale buntują się: po co tyle modlitwy, po co taka szczegółowa wiedza z religii. Ja mówię, no trudno, wysłałeś dziecko do szkoły

katolickiej, musisz się z tym zgodzić, szkoła ma taką misję, że ma więcej niż inne szkoły przekazywać wartości, przekazywać wiedzy religijnej.

Na zakończenie tych moich refleksji jeszcze jedna uwaga. Mianowicie, według mnie bardzo ważna jest współpraca z rodzicami. Jedną rzecz chciałem tutaj uwypuklić, zasugerować. Otóż w tej współpracy szkoły z rodzicami, ja bym ze strony szkoły kładł przede wszystkim nacisk na to, żeby uświadamiać rodzicom, że rodzice muszą dbać w domu o autorytet nauczyciela. Nie może być tak, żeby rodzice w domu buntowali dzieci przeciwko swoim nauczycielom. Miałem w swoim życiu taką sytuację, że nauczyciel mojego dziecka, dobry nauczyciel, przyszedł do pracy w stanie wskazującym… I dzieci zakpiły, po prostu okazały mu brak szacunku. Potem sprawa wyszła na zebraniu rodziców. Ja nie zabierałem głosu na ten temat, bo nie chciałem się wypowiadać, nie czułem się kompetentny, ale swojemu dziecku zrobiłem w domu burę i kazałem iść przeprosić nauczyciela za nie okazanie szacunku. Bo to jest grzech biblijnego Chama. My musimy zadbać o to, żeby dzieci miały szacunek dla nauczycieli bez względu na to, jak nauczyciele działają. Bez względu na to. To, żeby działali dobrze, to jest rola dyrekcji, ale nie może być tak, żeby rodzice podważali autorytet nauczycieli. To trzeba rodzicom uświadamiać na zebraniach. Ja się spotykałem dość rzadko z tego typu apelem, i dlatego tutaj o nim mówię. To jest tak, że jest autorytet nauki i jest autorytet nauczyciela. Ja uważam, że autorytet nauki nie musi być podparty autorytetem nauczyciela, aczkolwiek jest bardzo dobrze, jak jest. Na pewno autorytet nauczyciela jest rzeczą bardzo ważną.

Z drugiej strony ja jako rodzic czułem się również zobowiązany, żeby w pewnych sytuacjach bronić swoje dziecko wobec szkoły. I to też bym chciał, żeby szkoła uświadamiała. To nie jest tak, że w szkole zawsze wszystko jest idealnie, że dziecko zawsze jest sprawiedliwie ocenione,

bo jak dzieci moje narzekały, że niesprawiedliwą ocenę dostały, to ja mówiłem: Wiesz co, a czy w życiu będziesz miał zawsze sprawiedliwie? Przecież nauczyciel to też człowiek, zmęczony, trzydzieścioro dzieci, nie panuje nad sytuacją, musisz uszanować to, że chciał. Ale jeśli konsekwencją koniecznej czasem niesprawiedliwości, koniecznej czasem ze względu na słabości ludzkie, na ograniczoność ludzkich możliwości, jest to, że dziecko czuje się skrzywdzone, to według mnie, rodzic ma obowiązek bronić dziecka.

Chciałbym, żebyście Państwo to również uświadamiali rodzicom, żebyście ich uodważniali, że oni mają prawo przyjść i mieć zastrzeżenia. Nauczyciel może oczywiście tego nie uwzględnić, ale to jest taki sygnał. Ten feedback jest potrzebny, również i negatywny.

I tymi skromnymi uwagami chciałem zakończyć moje wystąpienie. Dziękuję bardzo.

Wystąpienie wygłoszone podczas Ogólnopolskiej Konferencji Dyrektorów Szkół Katolickich Jasna Góra, 20 sierpnia 2015 r.

Ks. dr Marek Studenski

Wychowywać w Kościele i dla Kościoła

(Tekst na podstawie nagrania konferencji)

Proszę Państwa, w czasie wakacji przed trzema laty, byliśmy z grupą księży w państwach nadbałtyckich byłych republik Związku Radzieckiego, dziś już samodzielnych państw. Przepiękna wycieczka: Litwa, Łotwa, Estonia… Będąc w stolicy Estonii, w Tallinnie, nagle widzimy, że gdzieś tam wydobywają się jakieś zapachy, związane z jedzeniem. Byliśmy akurat głodni, szukamy więc tego miejsca – no i zaskoczeni widzimy, że jest olbrzymia katedra – z surowej cegły, bez dachu – i właśnie z tej katedry przez okna, przez otwór po dachu wydobywa się dym, zapach jakiegoś grilla. Wchodzimy do środka, rzeczywiście wszyscy grillują, jest scena, jakaś impreza – wielkie grillowanie. Okazało się, że to są resztki po tamtejszej katedrze katolickiej. Przykro nam się zrobiło… Ten widok pozostanie gdzieś tam w sercu chyba do końca życia. Słyszymy raz po raz o kościołach zamienianych na… w najlepszym wypadku galerie, muzea, a bardzo często w krajach zachodnich nawet na restauracje.

Tymczasem w „Gościu Niedzielnym" ukazał się swego czasu artykuł pod tytułem: „Po co nam kościoły?" Ten artykuł mówi o jeszcze bardziej

wstrząsających rzeczach. Otóż we Francji w majestacie prawa burzy się kościoły. Widzimy na zdjęciu: przyjeżdża buldożer i zgarnia z powierzchni ziemi piękny, zabytkowy kościół. Autor artykułu pisze, że od 2000 roku wyburzono we Francji 20 świątyń katolickich, kolejnym 250 grozi to w najbliższym czasie, a docelowo do rozbiórki szacuje się 2800 kościołów katolickich. Wszystkie kościoły zbudowane przed 1905 r. na mocy dekretów Rewolucji Francuskiej są własnością państwa. Dlatego państwo może sobie z nimi zrobić co chce. Béatrice de Andie z Centrum Dokumentacji Dziedzictwa Religijnego pisze, że po raz pierwszy niszczymy miejsca kultu bez widocznego powodu, aby zrobić miejsce na parkingi, restauracje, sklepy, place czy mieszkania. Przesłanie niszczycieli jest jasne: religijne dziedzictwo, które nie przynosi zysku musi odejść.

Jak ten kościół gdzieś tam jeszcze stoi, nawet jeżeli jest zamieniony na jakąś galerię, na muzeum, to jest wieża, jest bryła architektoniczna, która mówi, że to było miejsce modlitwy. Jeszcze ktoś się może zatrzyma, jeszcze może pomyśli nad swoim życiem, ale kiedy kościół zostanie zupełnie usunięty, kiedy wszelki ślad po nim zaginie, będzie parking, jakiś park, to już nikt nie pomyśli sobie o wierze. Nie postawi sobie niepotrzebnych pytań, ale chyba właśnie o to chodzi…

Zanim zaczęły znikać te kościoły zbudowane z cegieł i z kamieni, musiało stać się coś wcześniej. Musiały upaść kościoły – te w ludzkich sercach, o których mówi św. Paweł, że każdy z nas jest taką wewnętrzną świątynią. Każdy z nas jest świątynią Ducha Świętego. To się musiało stać wcześniej.

Szkoła katolicka, jest nie tylko szkołą, która działa w Kościele, ale musi wychowywać dla Kościoła. To jest jej misja. Pierwszą rzeczą, którą musimy sobie uświadomić, powinniśmy sobie uświadomić to, że szkoła, w której uczymy, w której Państwo są dyrektorami, z własnego wyboru

jest szkołą katolicką. Bo albo jest to szkoła założona przez Kościół: przez diecezję czy przez zgromadzenie zakonne, albo jest to szkoła, która powstała i jej założyciele: rodzice, nauczyciele chcieli otrzymać tą katolicką tożsamość. Zgłosili się świadomie i dobrowolnie do biskupa miejsca prosząc o nadanie statusu szkoły katolickiej. Tak czy inaczej każda ze szkół wybrała świadomie bycie szkołą katolicką, jakby przyjęła świadomie, w pełnej wolności katolicką tożsamość. To jest wybór, to nie jest coś, co zostało narzucone z zewnątrz. Państwo również to wybierają, bo Państwo również uczą w tej szkole – nie na siłę, tylko chcecie być nauczycielami tej szkoły.

Co to znaczy być szkołą katolicką? Do tego dzisiejszego wystąpienia nie musiałem się specjalnie przygotowywać, dlatego że ten temat cały czas jest dla mnie bardzo ważny, leży mi na sercu. Między innymi z tym tematem związany jest taki podtemat: jak to jest, że niektórzy absolwenci szkoły katolickiej tracą potem w życiu swoją katolicką tożsamość? Można być uczniem szkoły katolickiej, a potem odwrócić się od Kościoła, bo i takie wypadki się zdarzają. Jak temu zapobiegać? Z tym pytaniem cały czas chodzę i szukam na nie odpowiedzi.

Co to znaczy szkoła katolicka? Ja myślę, że kapitalnie na to pytanie odpowiedział Pan Adam Fudali, były prezydent Rybnika, który dziś tutaj był, otrzymał tytuł Przyjaciela Szkół Katolickich. Kiedy zwróciły się do niego siostry Urszulanki, by założyć szkołę, zgodził się na założenie publicznej katolickiej szkoły podstawowej w Rybniku. I wtedy powiedział tak: „szkoły podstawowej nie potrzebuję, środków finansowych nie mam, ale tu chodzi o coś więcej". Ja myślę, że chyba nie da się lepiej ująć tego, czym jest szkoła katolicka. Właśnie tu chodzi o coś więcej.

Co zrobić, żeby uczeń szkoły katolickiej był formowany w tej szkole skutecznie, owocnie, w duchu miłości do Kościoła? To znaczy, żeby

odchodząc z tej szkoły nie stracił tej swojej tożsamości. To pytanie o wychowanie w duchu miłości do Kościoła można sformułować w sposób jeszcze bardziej ostry: co zrobić, żeby ucznia już np. wierzącego, kochającego Kościół, nie zniechęcić do Kościoła? „Primum non nocere" – papież Franciszek użył kiedyś tego porównania do wędrówki człowieka w górę, kiedy świat ściąga w dół. Świat – w tym sensie biblijnym, ściąga człowieka w dół. My mamy iść do Pana Boga, mamy wspinać się w górę. Teraz użyjmy takiego obrazu ruchomych schodów. Schody ruchome, które kierują się w dół, ściągają tego, kto na nich stoi na dół. Człowiek, gdyby wyobrazić sobie idącego pod prąd, pokonuje opór tych schodów – idzie pod prąd – i sukcesem jest, jeśli taki człowiek stoi w miejscu. Wyobraźmy sobie jakąś galerię handlową, schody, które ściągają w dół – jadą w dół, ktoś idzie pod górę. Jeżeli ktoś stoi na tych schodach w miejscu, jeżeli się nie cofa wraz z tymi schodami – to znaczy, że pokonuje pewien opór. Idzie pod prąd, cały czas idzie. On niby stoi w miejscu, ale jednak idzie. Gdyby nie szedł, to by zjechał tymi schodami na dół. Więc bardzo często mówimy: to nie jest skuteczne wychowanie, bo uczeń się nie zmienia, nie staje się lepszy. Ktoś mówi: ja cały czas się spowiadam i widzę, że ciągle stoję w miejscu.

To bardzo dobrze, bo gdybyś nic nie robił, to byś się staczał w dół. To, że stoisz w miejscu, to już jest wielki sukces. Więc co zrobić, żeby uczeń, który przychodzi z rodziny wierzącej – po ukończeniu szkoły katolickiej takim pozostał, albo żeby jeszcze bardziej pokochał Kościół? Na to pytanie znakomity trop w odpowiedzi dali mi państwo Monika i Marcin Gajdowie, autorzy dwóch wspaniałych książek. Myślę, że warto by tutaj kiedyś się pojawili. Pierwsza książka: „Rodzice w akcji", druga – poświęcona rozwojowi. Myślę, że jest lekturą dla każdego wychowawcy i rodzica katolickiego, i tam właśnie podają takie pierwsze

najważniejsze kryterium. Oni to odnoszą do rodziny, ale my to odniesiemy do szkoły katolickiej. Chodzi o to, żeby w rodzinie – czy powiedzmy, w szkole katolickiej – rozwijać nie religijność, ale wiarę. Tam, gdzie jest sama tylko religijność, dokonujemy czegoś odwrotnego od zamierzonego celu. Zniechęcamy ucznia do wiary, do Pana Boga. Jeżeli jest sama religijność, same tylko rytuały bez wiary, to jest najgorsza z możliwości. Uczeń, który uczestniczy w narzuconych praktykach, których w ogóle nie rozumie, których nie chce – uczestniczy bo tak trzeba, bo tak wszyscy… i tylko czeka, kiedy wyjdzie z tej szkoły, kiedy nie będzie musiał w tym wszystkim być.

Czyli rozwój wiary. Co to znaczy wiara? Nie chodzi o wiarę w istnienie Boga, chodzi o wiarę Bogu, czyli zaufanie Bogu, bo w Boga wierzy nawet szatan. On nie ma żadnych wątpliwości w wierze – wie, że Bóg istnieje, bo Go zobaczył twarzą w twarz i się przeciwko Niemu zbuntował i przegrał. Wie, kto go pokonał na krzyżu, więc szatan wierzy w istnienie Boga. A więc nie religijność ale wiara, i nie wiara w istnienie Boga ale wiara Bogu. Jak to robić?

Tylko i wyłącznie poprzez umożliwienie doświadczenia wiary. Oczy mi się otworzyły kiedyś w konfrontacji z moją studentką. Pracowała w sieci księgarskiej i mówi: proszę księdza, dostałam nową pracę i to takim przypadkiem, że bym się tego w ogóle nie spodziewała. Otóż pracuję w sieci […], w tej księgarni każdy sprzedawca ma obowiązek zaproponować klientom, którzy płacą za książki czy płyty, jakiś gadżet, taki w promocji. Byłam przy kasie, podchodzi pewna pani, płaci za książki i… akurat to był pendrive do komputera. Ta studentka powiedziała mi, że – właśnie to był jej największy problem też przed zatrudnieniem się w tej księgarni – nigdy nie proponowała klientowi czegoś, do czego sama nie jest przekonana. Rzeczywiście to jest taka dziewczyna o wielkiej etyce wewnętrznej,

i mówi: albo sama kupiłam tą rzecz wcześniej i jej używałam, albo podpytałam kogoś, kto się tym posługiwał. Wtedy byłam spokojna, że mogę to proponować innym klientom. Więc tu był pendrive do komputera i pytam się tej klientki czy nie chciała by tego pendrive'a, trochę go tam zachwaliłam, a ona mówi: niech go Pani też zapakuje. Potem mówi: a czy Pani by nie chciała zmienić pracy, bo prowadzę firmę i potrzebuję takich pracowników jak Pani. A czym ja Panią przekonałam? No właśnie tym, że jest Pani bardzo przekonująca. Tak Pani świetnie reklamowała ten pendrive, że lepiej nie można, więc potrzebuję takiego pracownika. I ta studentka mówi: mam nową pracę, i to na dobrym stanowisku.

Potrafiła przekonać, bo sama była przekonana. Tylko przekonany może być przekonujący, może przekonywać. I tu jest odpowiedź, co zrobić, żeby przekazać wiarę i miłość do Kościoła. Trzeba mieć świadków, którzy sami są przekonujący. Kto jest najbardziej przekonujący? Ten kto ma autorytet u młodzieży i kto sam wierzy. Nie tylko spełnia praktyki, ale jest autentycznie wierzący. Gdybym miał państwa teraz poprosić, kogoś tutaj na środek, nieraz z młodzieżą można przeprowadzić taki eksperyment, żeby opisać: co to znaczy słodki smak? Co to znaczy słodycz bez podawania przykładów słodkich potraw, no to każdy mówi: to coś takiego jak lody – nie, nie podawać nazwy, no to ciastko – nie, nie można podawać nazwy i nie można podawać konkretnych słodkich rzeczy, tylko opisać definicję słodkości. Nikt tego nie jest w stanie zrobić. To się nie da, tego się nie da zrealizować. Trzeba by wziąć łyżeczkę czegoś słodkiego i zaproponować: skosztuj, no właśnie, to jest coś słodkiego.

Tak samo jest z wiarą. Doświadczenie wiary można przekazać tylko umożliwiając udział w wierze – najpierw w wierze świadka. Tak działał katechumenat w pierwotnym Kościele, że było to podążanie krok w krok

za świadkiem. Albo będą świadkowie w naszej szkole, albo możemy sobie dać spokój z przekazywaniem wiary, bo to będzie niemożliwe. Mieć nauczycieli świadków. Najlepiej, żeby spełniali dwa warunki: żeby byli ludźmi, którzy się cieszą wielkim powodzeniem u młodzieży, żeby mieli autorytet, żeby byli lubiani i przy okazji, żeby byli ludźmi wierzącymi.

Przeglądałem ankietę z XV Forum Młodzieży Forum Młodzieży. Interesowało mnie też, ile punktów zdobyłem u tej młodzieży. Patrzę, no wszystkich pobił Pan Woronowicz – zdecydowanie, wszyscy inni prelegenci na szarym końcu. On dziesięć razy tyle punktów zdobył – dlaczego? Bo jest rozpoznawalnym człowiekiem, jest aktorem, no i jest człowiekiem wiary. Pociągnął młodzież tym swoim świadectwem – więc mieć wuefistę, jakiegoś biologa, nauczyciela języków, który jest lubiany i jest wierzący. On będzie wtedy przyciągał sobą do Pana Boga. Ile zrobił dobra Przemysław Tytoń, kiedy obronił bramkę w meczu z Grecją na Euro i się przeżegnał. On zrobił Kościołowi reklamę tym znakiem krzyża. Kamil Stoch, który mówi, że modli się nie tylko, żeby wygrać w konkursie, ale i za swoich przeciwników. Przecież to jest reklama dla Kościoła.

Więc mieć nauczyciela w szkole, który jest wierzący a przy tym lubiany, to jest coś nie do przecenienia. Ale i odwrotnie – oby nie było nikogo, kto jest niby religijny czy nawet wierzący, ale jest nielubiany przez uczniów, bo może zniechęcić do Kościoła.

Druga bardzo ważna rzecz to jest to, że trzeba wychowywać uczniów w takim krytycznym odbiorze kultury. To jest jednak bardzo ważne zadanie, bo każdy młody człowiek prędzej czy później spotka się z takim Kościołem w nieciekawym wydaniu – z Kościołem grzesznym. Wiadomo, w Kościele jest Bóg – ale są ludzie. Tam, gdzie jest człowiek, tam jest grzech. Państwo Gajdowie w swojej książce o rodzicach, odnoszą to do

domu rodzinnego. Mówią tak, że dzieci w pewnym momencie muszą skonfrontować swoją wiarę ze słabością Kościoła. W pierwszym rzędzie to będzie grzech ich własnych rodziców – mówią Państwo Gajdowie, czyli nasz. W następnej kolejności trafią na niemiłą panią od religii czy opryskliwego księdza, wreszcie dowiedzą się (bo muszą się dowiedzieć) z mediów o skandalach, które niestety raz po raz wybuchają, bo Kościół składa się z grzeszników.

I teraz wychowywać w takim duchu, że to, że w Kościele jest grzech – to jeszcze nie przekreśla sensu Kościoła. Tak bym to streścił. To trzeba robić na historii, na lekcjach wychowawczych, na języku polskim, gdzieś tam między wierszami.

Mieliśmy w naszej diecezji parę lat temu konferencję, w której wziął udział Ksiądz profesor Edward Staniek. Podał on kapitalny przykład. On pewnie do nas może bardziej przemówi, gdzieś tam w podświadomości można go mieć i przekazywać też młodzieży. Mówi tak: że Kościół to jest życie, to jest dynamizm, to są charyzmaty, to jest Duch Święty, który działa, i używając obrazu jajka – to jest to żółtko. Tam jest zalążek życia, stamtąd się bierze życie. Ale żeby było jajko, to żółtko musi być w czymś osadzone, musi być ta skorupka – to są struktury Kościoła. My byśmy chcieli, żeby każde jajko było czyściutkie, żeby miało tą skorupkę bielutką, nawet żeby to była pisanka wielkanocna, pomalowana, kolorowa, piękna, lśniąca. Ale czasami ta skorupka bywa brudna, zwłaszcza jak to jajko jest wzięte prosto z kurnika, takie prosto z fermy – to bywa bardzo ubrudzone. Skorupka nam się nie podoba, ale dalej jest skorupką. Nawet w tak zwanych ciemnych czasach Kościoła hierarchia spełniała swoją rolę, bo była tą skorupką – raz lepszą, raz gorszą.

My to rozumiemy – nie wszyscy jednak wychowankowie to rozumieją. Trzeba spokojnie w tym duchu ich wychowywać, żeby w sposób

bardzo krytyczny podchodzili do tego, co odbierają w mediach. Od tego nie uciekniemy. Cały czas jest to jedno z najważniejszych zadań wychowawczych, ponieważ czwarta władza w polityce, za którą uchodziły media, dzisiaj staje się pierwszą władzą w wychowaniu – nawet rodzicami.

Widzimy, ile znaczy internet. Telewizja już nie stanowi dla ludzi w wieku średnim i młodym podstawowego źródła informacji o świecie – tylko internet. Ponieważ media są często tą pierwszą władzą wychowawczą, trzeba wychowywać cały czas do dojrzałego korzystania z mediów, zwłaszcza elektronicznych – z internetu.

Jeden z księży dokonał podsumowania pewnej platformy internetowej – wszystkie artykuły z danego roku, które ukazały się na temat Kościoła. Drobnym maczkiem wypisał tematy tych artykułów. Wszystkie, gdzie padło słowo „Kościół" – tym słowem kluczowym się posłużył. To było kilka stron A4, same tytuły tych artykułów. Okazało się, że gdyby ktoś się kierował tym wykazem, to dojdzie do wniosku, że Kościół jest najbardziej zbrodniczą organizacją świata. On wziął wszystkie artykuły, wszystkie wiadomości: i dobre i złe, i pozytywne i neutralne. Wyszło na to, że to jest najbardziej mafijna organizacja, która robi najwięcej szkód na świecie. Tak ta platforma przedstawia Kościół.

Nikt tej platformy nie zamknie, nie ma takiej możliwości, tacy ludzie będą – więc wychowywać młodzież do krytycznego odbioru środków społecznego przekazu. To jest jedno z podstawowych zadań, także szkoły katolickiej.

Co jest sprawdzianem głębokiej wiary? Ja bym zwrócił uwagę na dwie rzeczy. Pierwsza to jest to, czy my mamy zaufanie do Pana Boga? Ktoś może się cieszyć, że ma taką linę taterniczą w domu i żyć w takim spokojnym przekonaniu: jestem bezpieczny, bo jak pójdę w Tatry, to mam linę, na niej mogę się oprzeć, mogę zawisnąć i nic mi nie grozi. Ale

gdy dojdzie co do czego, przyjdzie sytuacja próby, to wtedy się sprawdzi czy on ufa tej linie, bo będzie musiał na niej zawisnąć.

W szkole mamy bardzo często takie przypadki, gdy jesteśmy w sytuacji podbramkowej, sytuacji próby – i młodzież to widzi: jak reaguje dyrektor, jak reagują nauczyciele. Czy potrafią ufać Panu Bogu? Jest ten słynny przykład, taki kaznodziejski, już „oklepany", ale trafny, że ktoś się modli o deszcz, a potem chodzi bez parasola. Modliłeś się o deszcz, to gdzie masz parasol? Czy ja ufam Panu Bogu?

Druga rzecz: to jest zdolność do rezygnacji na rzecz Pana Boga czy bliźniego. Czy ja potrafię coś ofiarować, coś zostawić? Dlaczego te zgromadzenia zakonne, gdzie rzeczywiście duch ubóstwa jest dziś bardzo mocno brany na serio cieszą się u ludzi wierzących większym powodzeniem, a już w ogóle siostry klauzurowe, które żyją tylko z tego, co mają z dnia na dzień? Bo są wiarygodne, bo jeżeli komuś nie zależy, żeby się czegoś dorobić tylko potrafi coś zrobić za darmo, to on jest wiarygodny. I młodzież to wyczuwa, o co w naszej szkole chodzi. Taki duch ofiary, obok ducha zaufania Bogu jest wielkim sprawdzianem wiary, takim weryfikatorem. Młodzież to dokładnie, doskonale wyczuwa. Warto też o to zadbać, żeby dawać takie świadectwo młodym ludziom.

Trzecia rzecz, o której jeszcze dziś na zakończenie chcę powiedzieć, to jest to, by tym młodym ludziom dać okazję takiego wolnego zaangażowania się w życie Kościoła. Dobrze byłoby, żeby właśnie w szkole katolickiej mogli coś zrobić dla Kościoła, w Kościele. Nie na siłę, tylko na zasadzie jakiegoś wolontariatu – zaangażować się. Jeżeli szkoła jest przy parafii, może żeby wzięli też udział w życiu tej parafii.

Czytałem w czasopiśmie „Familia Christiana", to było wydanie francuskie, historię młodej dziewczyny, która wzięła udział w spotkaniu z Ojcem Świętym z okazji Światowego Dnia Młodzieży, 21 sierpnia

1997 r. Kiedy rektor Sorbony (bo ona była studentką czwartego roku wydziału prawa na Sorbonie) zaproponował tej dziewczynie, że będzie wraz z siedemdziesięcioma młodymi ludźmi z całego świata witać Ojca Świętego Jana Pawła II – to dla niej to był koniec świata. Nie chciała zasmucać rektora, no trudno, trzeba… .

Opisuje to spotkanie w świadectwie zawartym w czasopiśmie „Familia Christiana". Artykuł nosi tytuł: „Przez 5 minut podtrzymywała rękę papieża". Otóż mówi, że kiedy znalazła się przy ołtarzu, na podwyższeniu, wśród siedemdziesięciu młodych ludzi, Papież stał kilka stóp od niej. Biskup Boccardo wymieniał z nazwiska wszystkich znajdujących się przy ołtarzu, podając ich kraj pochodzenia. Wtedy zauważyła, że lewa ręka Papieża bardzo się trzęsła. W ułamku sekundy przypomniała sobie, że kiedyś w telewizji zauważyła jak Papieżowi drżała ręka i wtedy ksiądz Dziwisz podsunął mikrofon i oparł tę drżącą rękę o statyw mikrofonu. I pisze tak: „Nie zawahałam się ani sekundy, widziałam jak bardzo cierpi, powiedziałam sobie: muszę to zrobić. Podeszłam do Papieża i chwyciłam jego drżącą rękę moją prawą dłonią. Zauważyłam, że On trzymał mnie naciskając moją rękę i opierał się na mnie. Nie ruszałam się z miejsca, stałam tak, a On opierał się na mnie przyjmując żydowskich i muzułmańskich reprezentantów. Pomyślałam sobie: chciałabym stać tu całe życie i podpierać Jego rękę. Również powiedziałam do siebie: ci wielcy dostojnicy innych religii całują Jego rękę z szacunkiem ale ja jestem jego córką w wierze. Mogę trzymać jego rękę tak, jak córka bierze rękę ojca. Nagle zaczęłam się niespodziewanie modlić: „Panie weź moją młodość, daję ci 10 lat mojego życia, żebyś mógł dać to Jemu". Kardynał Lustiger dał znak, Papież musiał usiąść i trzeba było odejść – prędzej czy później musiało to nastąpić. Kiedy szłam z powrotem do domu, w popołudnie tego niezapomnianego czwartku, byłam już innym człowiekiem.

Otrzymałam znak. Pomyślałam sobie: „Papież mnie potrzebuje, potrzebuje mojej młodości, mojego serca i moich dłoni. Uświadomiłam sobie, jak wielka łaskę otrzymałam i zaczęłam płakać jak dziecko".

Popatrzmy, jak w życiu tej młodej dziewczyny wystarczyło jedno takie doświadczenie, które całkowicie zmieniło jej życie. Poczuła się potrzebna Kościołowi. Podtrzymując drżącą rękę Papieża – miała takie szczęście, uświadomiła sobie, że ci inni, którzy z szacunkiem Go całują w pierścień, to są ludzie z zewnątrz – a ona jest jego córką w wierze. Jedno takie doświadczenie potrafi zmienić człowieka. To już jest coś, czego się nie da zaplanować, nie da się tego może w programie szkoły ująć, ale o takie doświadczenia trzeba się modlić.

Myślę, że to jest już sprawa z pogranicza planowania ludzkiego a spraw bożych, na które nie mamy wpływu. Właśnie chyba całe szczęście i cała nasza nadzieja polega na tym, że jako szkoły katolickie działamy na granicy nieba i ziemi. Dlatego możemy z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Ks. dr Marek Studenski

Homilia wygłoszona na Jasnej Górze 12 listopada 2015 r.

Drodzy Księża, Nauczyciele, a zwłaszcza Dyrektorzy szkół katolickich w Polsce,

Umiłowani w Chrystusie Panu Bracia i Siostry,

dzisiaj w pierwszym czytaniu z Księgi Mądrości usłyszeliśmy jakimi cechami odznacza się Mądrość Boża. Jeśli ktoś utożsamiał mądrość tylko z inteligencją czy z wiedzą, z jakimś zasobem informacji, to po tym dzisiejszym czytaniu siódmego rozdziału Księgi Mądrości już tak nie myśli, bo czytamy, że w mądrości jest duch rozumny, święty, jedyny, wieloraki, subtelny, rączy, przenikliwy, jasny, niecierpiętliwy, miłujący dobro, bystry, niepowstrzymany, wszystkowidzący, wszechmogący, przenikający wszelkie duchy. A więc mądrość to nie tylko wiedza tak jak to potocznie nieraz rozumiemy, ale to coś o wiele więcej. Mądrość Boża to sam Bóg, a zatem człowiek, który jest obdarzony Mądrością Bożą widzi świat tak, jak widzi go Bóg.

Dzieciom można to wytłumaczyć w takim obrazowym ujęciu, że człowiek ubiera takie specjalne okulary i odtąd widzi świat i tak go ocenia jak widzi go Pan Bóg. Mądrość Boża jest odbiciem samego Boga.

Trzeba to pierwsze czytanie zestawić z dzisiejszą Ewangelią. Tak się składa, że pod koniec roku liturgicznego Ewangelie dotyczą przemijania naszego życia doczesnego i mówią o przyjściu Syna Człowieczego. Człowiek, który kieruje się Bożą Mądrością, patrzy na życie nie tylko w kategorii doczesności, ale patrzy w kategoriach wieczności. Widzi życie w całej rozciągłości. Głupota, w tym rozumieniu biblijnym, to ograniczanie swej wizji świata tylko do doczesności. Głupi – w sensie biblijnym – jest ten człowiek, który nie uwzględnia ostatecznego celu swojego życia.

Mama wysyła swoją małą córeczkę do sklepu – hipermarketu, żeby zrobiła zakupy na kolację. Po drodze dziewczynka może kupić sobie jeszcze, wychodząc ze sklepu, przy kasie, paczkę cukierków, jakichś dropsów, coś słodkiego, ale ma kupić chleb, wędlinę masło, żeby było co podać na stół, żeby można było w domu przygotować kolację. Dziewczynka wchodzi do sklepu i jest olśniona tym, co widzi na półkach. Najpierw zwraca uwagę na słodycze – różne bombonierki, czekoladki. Potem wchodzi na stoisko z zabawkami – tak się zainteresowała, tak się zachłysnęła tym co widzi, że zapomniała po co w ogóle do tego sklepu przyszła. Ale kiedy wychodziła, po drodze, widzi przy kasie te cukierki i przypomniała sobie: aha, miałam kupić paczkę cukierków. Wraca do domu. Mama mówi: a gdzie są zakupy, gdzie jest chleb, gdzie jest coś do jedzenia? Wracaj do sklepu i zrób porządne zakupy, bo w tym celu cię tam posłałam. Dziewczynka rzeczywiście przypomina sobie: tak, po to byłam tam wysłana. Wraca do sklepu, robi zakupy i naprawia swój błąd. Mama mówi: widzisz, o cukierkach to nie zapomniałaś, a zakupy, te właściwe, to był cel twojej wizyty w sklepie, to już całkowicie ci to wyleciało z głowy.

Moi Kochani, to jest dobry obraz naszego życia. Bardzo często kierujemy się w życiu tylko tym co widzimy, co można zdobyć, zobaczyć,

czym się można tutaj trochę pocieszyć. Widzimy różne przyjemności, a zapominamy o celu naszego życia; o tym, dlaczego Pan Bóg nas tu posłał na świat. Tylko między sytuacją tej dziewczynki a naszą jest jednak pewna różnica, bo ta dziewczynka mogła drugi raz wrócić do sklepu, żeby zrobić właściwe zakupy – a my mamy tylko jedno życie. Drugiego życia nie będzie. Nie będziemy mieli drugiej szansy, żeby tu na świecie jeszcze raz wszystko przeżyć.

Wisława Szymborska, nasza noblistka napisała w jednym z wierszy:

Choćbyśmy uczniami byli
Najtępszymi w szkole świata,
Nie będziemy repetować
Żadnej zimy ani lata.

Nie można drugi raz przeżyć życia i zostać tak jak się na drugi rok zostaje w tej samej klasie – dostać jeszcze jednej szansy.

Więc mądrość polega na tym, żeby widzieć życie w całej rozciągłości i dobry nauczyciel, dobry wychowawca tak wychowuje swoich wychowanków. I to jest właśnie misja szkoły katolickiej.

Szukałem w dokumentach Kościoła jakiegoś miejsca, jakiegoś tekstu, który by określił w sposób taki pełny misję nauczyciela. I znalazłem, ale nie w tych akurat dokumentach katechetycznych czy wychowawczych, ale w Encyklice Benedykta XVI „Spe Salvi" fragment, który mówi w sposób wręcz doskonały – nic dodać nic ująć – określa misję nauczyciela. Posłuchajmy tych słów: „Pod koniec trzeciego wieku – pisze Papież – po raz pierwszy spotykamy w Rzymie, na sarkofagu pewnego dziecka, w scenie wskrzeszenia Łazarza, postać Chrystusa jako prawdziwego filozofa, który w jednej ręce trzyma Ewangelię, a w drugiej kij wędrowca, typowy dla filozofa. (…) W tym obrazie, który długo powracał w sztuce sarkofagowej, jawi się to, co zarówno ludzie wykształceni, jak i prości

odnajdywali w Chrystusie. On mówi nam, kim w rzeczywistości jest człowiek i co powinien czynić, aby prawdziwie być człowiekiem. (…) On też wskazuje drogę poza granice śmierci. Tylko ten, kto to potrafi jest prawdziwym nauczycielem życia." Jeszcze raz posłuchajmy tego ostatniego zdania: „Jezus wskazuje drogę poza granice śmierci. Tylko ten, kto to potrafi jest prawdziwym nauczycielem życia."

A więc misja prawdziwego nauczyciela, rodzica, pedagoga w szkole, polega na tym, by wskazywać drogę poza granice śmierci, żeby człowiek był szczęśliwy tu na ziemi, a potem w wieczności. Nie tak jak ta dziewczynka, która tylko pamiętała o cukierkach a zapomniała o właściwym celu zakupów. Chodzi o to, żeby i mieć cukierki – a więc korzystać z tych uroków życia, które Pan Bóg nam tutaj dał na ziemi – przecież życie jest piękne i mamy wiele przyjemności, ale żeby nie stracić z oczu ostatecznego celu naszej egzystencji. Tego, po co Pan Bóg posłał nas na ziemię, żeby być szczęśliwym na ziemi i w wieczności. I to jest misja szkoły katolickiej.

Drodzy Bracia i Siostry,

słyszeliśmy w ostatnim czasie dyskusję medialną, która przewijała się przez wszystkie media, nad sensem katechezy w szkole. W tym czasie, w mieście, z którego tu przyjeżdżam – w Bielsku-Białej, miało miejsce wydarzenie, które potwierdziło sens katechezy, i chyba wszyscy, którzy się o tym dowiedzieli nie mają żadnych wątpliwości, że warto dzieciom mówić o Bogu w szkole. Otóż dwie uczennice klasy I gimnazjum wracały ze szkoły w parafii Bielsku-Białej – Hałcnowie, tam gdzie jest diecezjalne Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej. Wracały idąc przez taki duży wiadukt, który niedawno został wybudowany. Czterdzieści metrów pod tym wiaduktem jest druga droga, przejeżdżały

samochody i te dwie dziewczynki (jest artykuł z Gościa Niedzielnego właśnie o Patrycji i Kai) widzą, że na tym wiadukcie stoi starszy pan, gdzieś około sześćdziesięciu lat, i stoi już poza barierkami. Jedną nogę ma na zewnątrz, drugą przekłada i chce zeskoczyć w dół. Podchodzi do niego jedna z tych dziewczynek i mówi: „co Pan robi, przecież życie jest największą wartością." Wypowiada hasło, które dla tych krytyków katechezy w szkole jest sloganem, mówi „życie jest największą wartością". A on mówi tak: „ale ja nie chcę żyć". „Proszę Pana, wielu ludzi na Pana miejscu – chorych, śmiertelnie chorych, chciałoby móc żyć a nie jest im to dane". „Tak mówisz?" Wziął jedną nogę, drugą, przełożył, był z powrotem na wiadukcie. Był już uratowany. Potem w rozmowie z dziennikarzami, policją mówi: „Bo ja myślałem, że na mnie już nikomu nie zależy". Dziewczynki – jedna jest oazowiczką zaangażowaną w życie parafii, obie uczestniczyły w lekcjach religii – wypowiedziały zdanie, które zazwyczaj często pojawia się w zeszycie do katechezy: „życie jest największą wartością", i to zdanie uratowało życie temu człowiekowi. Dzięki temu dalej może żyć.

Moi Kochani, czytamy w Księdze Mądrości, że miarą mądrości wcale nie musi być długowieczność i liczbą lat się jej nie mierzy. Ktoś może żyć krótko, a przeżyć czasu wiele. Te dziewczynki okazały się być mądre Bożą Mądrością. To jest cel wychowania – w domu, w szkole, w szkole katolickiej. Żeby być prawdziwym nauczycielem życia nie wystarczy przekazać ludzką mądrość. Trzeba kształtować dzieci w duchu Bożej Mądrości, która czyni człowieka szczęśliwym już tu na ziemi, ale zapewnia mu szczęśliwą wieczność, coś co się nigdy nie skończy. To jest najlepsze ubezpieczenie na całe życie. Żadna z agencji ubezpieczeniowych w tym świecie tak daleko nie potrafi nas ubezpieczyć, jak Mądrość Boża.

Moi Kochani, kiedy patrzy się na oblicze Matki Bożej Częstochowskiej – od dziecka mam takie wrażenie – z tej twarzy przede wszystkim przebija niesamowita mądrość. Pierwsze moje skojarzenie, kiedy patrzę na twarz Czarnej Madonny – to jest odzwierciedlenie, odbicie Bożej Mądrości. Niesamowicie mądre oblicze. Jesteśmy w domu Maryi – Stolicy Mądrości. Ona w sposób najdoskonalszy w swoim życiu odzwierciedliła Bożą Mądrość.

Maryjo, naucz nas tej Mądrości. Pozwól, żebyśmy choć troszkę, w jakimś stopniu w swoim życiu odbijali Mądrość Pana Boga, żebyśmy patrzyli na świat Jego oczyma, i żebyśmy tą mądrością potrafili się dzielić z tymi, których Pan Bóg powierzył naszej pieczy wychowawczej.

Maryjo, Stolico Mądrości, módl się za nami. Amen.